

89. PLEBISYCYT „PS” DZIŚ NOMINOWANI Z NUMEREM 11 ORAZ 12.
TO PÓŁFINALISTKA AUSTRALIAN OPEN I NAJLEPSZY POLSKI GOLFISTA

STRONY
42-43

ukazuje się od 21 maja 1921 roku

Redaktorzy prowadzący: Marcin Dobosz, Kamil Drag, Bartosz Gębicz

PRZEGLĄD SPORTOWY WEEKEND

PIĄTEK-NIEDZIELA
8-10 grudnia 2023

STOP
WOJNIE!

Cena 6,00 zł
(w tym 8% VAT)

Nr 100
(19582)

Nr indeksu
350389

Od ponad 100 lat piszemy o sporcie!



foto © William West/AFP/East News, David Grey/AFP

PRZEGLĄD
SPORTOWY

w pakiecie onet premium

POZNAJ NASZĄ
ATRAKCYJNĄ
CYFROWĄ OFERTĘ



2:1

KORONA CIERNIOWA

LEGIA PRZEGRZAŁA

W KIELCACH I NIE OBRONI
PUCHARU POLSKI. STRATY
W LIDZE SĄ OGROMNE,
A W LKE NIE WOLNO
PRZEGRĄĆ Z ALKMAAR.
PRZED WARSZAWSKIM
ZESPOŁEM MIESIĄC
PRAWDY.

strony 2-3

PILKA RĘCZNA

UDANY FINISZ

Biało-Czerwone źle rozpoczęły mecz II rundy MŚ z Serbią, jednak w końcówce pokazały charakter i wygrały.

STRONY 32-33



foto © Lukasz Lashorski/Presfocus

SKOKI NARCIARSKIE

CZEKAMY NA PRZEŁAMANIE

Bez Kamila Stocha, ale m.in. z Maciejem Kotem Polacy zaczynają w Klingenthal trzeci weekend PŚ.

STRONA 36



foto © Kasper Kinkenski/400mm

OLAF LUBASZENKO



BĘDZIE RÉWOLUCJA

Urodzinowa rozmowa ze znakomitym aktorem, który diagnozuje problemy polskiego futbolu.

STRONY 14-15

foto © Aleksander Majdański

PKO Bank Polski
EKSTRAKLASA

O PKO BP Ekstraklasie strony 4-12

PS HISTORIA

ROZNIOWY TEKST O GÓRNIKU ZABRZE ORAZ WYWIAD ZE SŁYNNYM TYCZKARZEM, MISTRZEM OLIMPIJSKIM WŁADYSŁAWEM KOZAKIEWICZEM, KTÓRY KOŃCZY 70 LAT

STRONY 21-28



TROFEEUM JUŻ BEZ OBROŃCZY

Legia, która w maju po raz 20. zdobyła Puchar Polski, odpadła z rozgrywek w 1/8 finału. Trener Kosta Runjaić ma coraz mniej na swoje usprawiedliwienie.



Robert BŁOŃSKI

@robert_bloncki

Cios jest bardzo bolesny. Przegrywając 1:2 z Koroną w Kielcach po dogrywce, warszawianie stracili szansę startu w eliminacjach Ligi Europy, a taki przywilej będzie miał zdobywca PP, o ile nie wywalczy tytułu mistrza Polski, oraz możliwość zarobienia pięciu milionów złotych premii od PZPN za zdobycie trofeum. Za niespełna dwa tygodnie może się okazać, że zespół Runjaicia będzie największym przegranym rundy, a przecież jeszcze pod koniec września wydawał się walcem nie do zatrzymania, który po porywającym widowisku wygrał z Aston Villą, tocząc wcześniej pamiętne boje w eliminacjach Ligi Konferencji. Był też liderem w lidze.

Sądny grudzień dla Runjaicia

Do 20 grudnia Legia rozegra cztery mecze: ligowe z ŁKS i dwa z Cracovią oraz pucharowy – z AZ Alkmaar.

W przyszły czwartek rozstrzygną się losy drużyny w Europie. Do Warszawy przyjedzie trzeci zespół Eredivisie i jeśli wygra, wyrzuci Legię z pucharów. Każdy inny wynik premiuje zespół Runjaicia, ale w obecnych okolicznościach wyszarpanie nawet remisu będzie niezwykle trudne. Bo pomijając okoliczności i awantury przy okazji pierwszego starcia w Alkmaar, Holendrzy to klasowa drużyna, dla której pokonanie Legii nie jest „mission impossible”. A na pucharach zależy im bardziej niż na wynikach w lidze – w Europie pokazują najlepszych piłkarzy. W poprzednim sezonie



dotarli do półfinału LKE i potem sprzedali pięciu zawodników za prawie 60 mln euro. Na nowych wydali cztery razy mniej. Ale i Legia prezentuje się w pucharach lepiej niż na własnym podwórku. Choć w klubie powtarzają, że priorytetem jest odzyskanie mistrzostwa, to panuje poczucie, że żal byłoby wypuścić okazję awansu z grupy LKE. To byłby wynik ponad stan, ale trzy grupowe zwycięstwa rozbudziły apetyty. Tym bardziej że po meczu w Alk-

Trener Legii Kosta Runjaić ma o czym myśleć po odpadnięciu z Pucharu Polski. Teraz nie może już sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

maar wśród piłkarzy panował niedosyt – przez ponad pół godziny grali z przewagą zawodnika, ale nie odrobili straty (0:1). Dodatkowo do czwartkowego starcia ambicjonalnie podejść również władze Legii – holenderscy ochroniarze poturbowali właściciela klubu Dariusza Mioduskiego, a piłkarze Radovan Pankov i Josue spędzili noc w areszcie. Mecz z Alkmaar nabiera symbolicznej rangi. Po nim Legię czekają dwa starcia z Cracovią. Rundę skończą

20 grudnia w Krakowie. Dla gości będzie to 34. mecz w sezonie, dla Pasów 22. Z zawodników z pola najwięcej minut mają w tym momencie Virgil Ghita (Cracovia; 1650) i Bartosz Slisz (Legia; 2347). W Legii jeszcze dwóch graczy przekroczyło granicę dwóch tysięcy minut, czterem następnym brakuje niewiele. To pokazuje, dlaczego trener Cracovii Jacek Zieliński nie zgodził się na przełożenie meczu na wiosnę, co proponowała Legia.

Bilans ośmiu ostatnich spotkań ligowych Legii to dwa zwycięstwa, dwa remisy i cztery porażki. Na 24 możliwe punkty zdobyła osiem. W tabeli wyprzedzają ją cztery zespoły, strata do Śląska wynosi dziewięć punktów, wiosną czekają ją mecze m.in. w Częstochowie oraz w Poznaniu. Trudno zakładać, że tegoroczne rozgrywki ligowe na pewno zakończą trzema wygranymi z rzędu. To pokazuje skalę trudności, jaka stoi przed Runjaicem i jego drużyną. Całkiem niedawno Mioduski zapewniał, że choć porażki w lidze go denerwują, to zachowuje spokój, bo obecna ekipa „gwarantuje przewyższenie kryzysu”. Na koniec grudnia na pewno spojrzy w tabelę, będzie wiedział, gdzie znajduje się w Europie, już wie, gdzie jest w Pucharze Polski, i zastanowi się, co dalej. Trzy zwycięstwa w lidze i zmniejszenie straty do lidera Ekstraklasy to jedyne, co musi zrobić Runjaić, by trochę uspokoił nastroje po tym, co z Legią działo się w październiku, listopadzie i na początku grudnia.

Dogrywki, ale bez niespodzianek

Odpadnięcie obrońcy trofeum z rozgrywek było największą sensacją wtorkowych i środowych spotkań 1/8 finału. Zespoły z ligowej czołówki miały swoje problemy, ale awansowały. Raków i Pogoń zdobywały zwycięskie bramki w dogrywkach, zawodnicy Jagiellonii pokonali bramkarza Warty dopiero po przerwie. Trzecioligowa Carina Gubin dzielnie postawiła się Piastowi Gliwice. Choć do przerwy przegrywała 0:2, to później odrobiła straty, jednak w końcówce straciła trzy gole i odpadła.

Losowanie par 1/4 finału w piątek. Mecze tej fazy pod koniec lutego.

| POGÓŃ SZCZECIN | 2 (1, 0) | JAGIELLONIA BIAŁYSTOK | 2 (0) | PGE STAL MIELEC | 1 (0) | RAKÓW CZĘSTOCHOWA | 1 (0, 0) | KORONA KIELCE | 2 (1, 1) | CARINA GUBIN | 2 (0) | WISŁA KRAKÓW | 4 (0) | |
|--|-----------------|--|--------------|---|--------------|--|--|---|-----------------|---|---|---|---|--|
| GÓRNIK ZABRZE | 1 (1, 0) | WARTA POZNAŃ | 0 (0) | WIDZEW ŁÓDŹ | 2 (1) | CRACOVIA | 0 (0, 0) | LEGIA WARSZAWA | 1 (1, 1) | PIAST GLIWICE | 5 (2) | STAL RZESZÓW | 1 (0) | |
| Po dogrywce. | | Bramki: Imaz 63, Nene 75. | | Bramki: Wołkiewicz 69 – Rondić 38, Sanchez 85. | | Po dogrywce. | | Po dogrywce. | | Bramki: Matuszewski 50 i 64 – Tomaszewicz 20, Dzięczek 27, Ameyaw 83, Mosór 87, Chrapek 90+4 z karnego. | | Bramki: Sztó 7, Rodado 50, Talar 52, Gogó 67 – Kądziołka 66. | | |
| Bramki: Grosicki 72, Borges 95 – Musiolik 90. | | JAGIELLONIA: Abramowicz – Stojinović (90+1 Olszewski), Skrzypczak, Dieguez z, Wdowik – Marczuk (86 Kupisz), Romanczuk, Nene (86 Saček), Lewicki (72 Pululu) – Imaz, Naranjo z. Trener: Siemieniec. | | PGE STAL: Jatocha – Gerstenstein (59 Stepień), Esselink (59 Guillaumier z), Matras, Painowski, Getinger (89 Wołczyński) – Domański z, Trąbka, Wlazło, Hinokio (59 Wołkiewicz z) – Meriluo (46 Szkurin). Trener: Kiereś. | | Bramki: Rondić 93. | RAKÓW: V. Kovačević – Tudor (46 Svarnas), Racovitan, Rondić – Sorescu (118 Plavšić), Lederman (50 Berggren z), Koczerhin, Drachal z – Cebula (81 Crnac), Nowak – Zwoliński (81 Piasecki). Trener: Szwarga. | KORONA: Forenc – Podgórski, Zator, Kwiecień z (80 Trojak), Hofmeister, Briceag – Deaconu (73 Godinho), Takać z (104 Remacle), Nono, Konstantyn (73 Bak z) – Dalmau (73 Błanik). Trener: Kuzera. | | LEGIA: Tobiasz – Jędrzejczyk z, Augustyniak, Kapuadi z – Wszofek (67 Josue), Celhaka (67 Slisz z), Elitim z (90+1 Kun), Dias – Rosolek z (90+1 Kramer), Pekhart, Gual (67 Muci). Trener: Runjaić. | CRACOVIA: Hrošo – Kakabadze, Rapa, Hoskonen, Ghita z, Skovgaard (106 Zaucha) – Atanasov (106 Kolec), Knap z (99 Różga), Oshima – Smiglewski (69 Doba z), Källman (90+5 Bochnak). Trener: Zieliński. | LEGIA: Tobiasz – Jędrzejczyk z, Augustyniak, Kapuadi z – Wszofek (67 Josue), Celhaka (67 Slisz z), Elitim z (90+1 Kun), Dias – Rosolek z (90+1 Kramer), Pekhart, Gual (67 Muci). Trener: Runjaić. | PIAST: Plach – Mokwa, Mosór z, Czerwiński (46 Huk), Katranis (55 Holubek) – Kadzior (46 Pyrka), Dzięczek (69 Chrapek), Tomaszewicz, Szczepański (89 Bykowski), Ameyaw – Felix. Trener: Vuković. | STAL: Bieszczad – Warczak, Paško, Kościelny, Simćak z – Kłos (46 Diaz), Bukowski (46 Thil), Kądziołka, Danielewicz (56 Lysiak), Prokić (57 Łyczko) – Da Silva (77 Salamon). Trener: Zub. |
| Sędziował: Sylwestrzak (Wrocław). | | Sędziował: Raczkowski (Warszawa). | | Sędziował: Kos (Wejherowo). | | Sędziował: Stefański (Bydgoszcz). | | Sędziował: Przybył (Kluczbork). | | Sędziował: K. Arys (Szczecin). | | Sędziował: Wajda (Zywiec). | | |
| Widzów: 7187. | | Widzów: 3897. | | Widzów: 1787. | | Widzów: 3804. | | Widzów: 6563. | | Widzów: 999. | | Widzów: 9580. | | |

Mecz Arka Gdynia – Lech Poznań zakończył się po zamknięciu wydania.

KLUBY Z NAJLEPSZYM DOROBKIEM W HISTORII PUCHARU POLSKI

| KLUB | LICZBA TRIUMFÓW | LICZBA PRZEGRANE FINAŁY | WIELKIMI LITERAMI WYRÓZNIŁO ZESPOŁY, KTÓRE AWANSOWAŁY DO CZWIERĆFINAŁÓW OBECNYCH ROZGRYWEK. |
|---------------------------|-----------------|-------------------------|---|
| Legia Warszawa | 20 | 6 | 112,75 |
| Górnik Zabrze | 6 | 7 | 57,50 |
| Lech Poznań | 5 | 6 | 45,75* |
| WISŁA KRAKÓW | 4 | 6 | 43,75 |
| Ruch Chorzów | 3 | 6 | 43,50 |
| GKS Katowice | 3 | 5 | 33,25 |
| Zagłębie Sosnowiec | 4 | 1 | 26,25 |
| ŁKS Łódź | 1 | 1 | 22,75 |
| Śląsk Wrocław | 2 | 1 | 20,25 |
| Arka Gdynia | 2 | 2 | 20,00* |
| POGOŃ SZCZECIN | 3 | 0 | 20,00 |
| Lechia Gdańsk | 2 | 2 | 18,50 |
| RAKÓW CZĘSTOCHOWA | 2 | 2 | 16,50 |
| Amica Wronki | 3 | 1 | 16,00 |
| WIDZEW ŁÓDŹ | 1 | 0 | 15,75 |
| Polonia Warszawa | 2 | 0 | 15,50 |
| JAGIELLONIA BIAŁYSTOK | 1 | 2 | 13,75 |
| Zagłębie Lubin | 3 | 0 | 13,75 |
| Gwardia Warszawa | 1 | 1 | 12,25 |
| Cracovia | 1 | 0 | 11,25 |
| Polonia Bytom | 3 | 0 | 11,25 |
| Wisła Płock | 1 | 1 | 11,00 |
| Szombierki Bytom | 0 | 0 | 10,50 |
| Stal Mielec | 1 | 0 | 10,25 |
| Odra Opole | 0 | 0 | 10,25 |
| Zawisza Bydgoszcz | 1 | 0 | 9,75 |
| Stal Rzeszów | 1 | 0 | 9,00 |
| PIAST GLIWICE | 2 | 0 | 8,50 |
| Dyskobolia Grodzisk Wlkp. | 1 | 1 | 8,25 |
| KORONA KIELCE | 1 | 0 | 8,25 |
| GKS Bełchatów | 2 | 0 | 7,0 |
| Miedź Legnica | 1 | 0 | 6,25 |

OGÓŁEM LICZBA KLUBÓW, KTÓRE GRAŁY NA KOŃCOWYCH SZCZEBŁACH PUCHARU POLSKI

TRIUMF 23

FINAŁ 34

PÓŁFINAŁ 61

1/4 FINAŁU 112

1/8 FINAŁU 167

ZDOBYWCY PUCHARU POLSKI WEDŁUG MIAST



* zestawienie nie uwzględnia meczu Arka Gdynia - Lech Poznań, który zakończył się po zamknięciu wydania. Zespołom zaliczono tylko udział w 1/8 finału.



Kapitan reprezentacji Polski Ewa Pajor (numer 9) strzeliła pięć goli w minionej edycji dywizji B Ligi Narodów.

Pozostały niepokonane

Wygraną 2:0 z Grecją Polki zamknęły swój udział w pierwszej edycji Ligi Narodów.



Jakub SZYPROWSKI @SzyprowskiJakub

Pięć zwycięstw, jeden remis - to bilans reprezentantek Polski w zakończonych właśnie Lidze Narodów. Biało-Czerwone w efektywnym stylu awansowały do dywizji A, co oznacza, że w przyszłym roku zagrają o awans do mistrzostw Europy. Bez porażki na koncie rozgrywki skończyło także osiem innych drużyn narodowych, licząc wszystkie dywizje. Podopieczne Niny Patalon zdobyły 16 punktów, ale teraz czeka je o wiele trudniejsze zadanie - eliminacje do mistrzostw Europy, które w 2025 roku odbędą się w Szwajcarii.

Z Grecją bez znaczenia

Rozgrywki LN zakończyły pierwszą fazę eliminacji EURO. Wtorkowy mecz z Grecją nie miał dla Biało-Czerwonych żadnego znaczenia, ponieważ polskie piłkarki zapewniły sobie awans do dywizji A już w poprzedniej kolejce, zwyciężając 1:0 z Ukrainą. Rozegrane w Sosnowcu spotkanie z Greczynkami miało być testem przed kolejnymi meczami, które czekają Polki. Był to ostatni moment, by cokolwiek sprawdzać albo testować, ponieważ wiosną, kiedy wrócą kobiece rozgrywki międzynarodowe, nie będzie już miejsca na jakiegokolwiek próby. Rozpoczną się spotkania o punkty. Mimo to podopieczne Patalon potraktowały starcie z Greczynkami na serio i już do przerwy prowadziły różnicą dwóch goli. Pierwszego strzeliła Ewa Pajor, której dwa wcześniejsze trafienia nie zostały uznane, bo była na spalonym. Na 2:0 podwyższyła Kinga Kozak, siostra Miłosza, piłkarza Ruchu Chorzów. Wiosną zaczniesz się poważna gra o awans na 14. kobiece ME.

Na ten moment wiadome jest tylko to, że na pewno zagramy w barażach.

Najpierw grupa, potem baraże?

Możemy jednak walczyć o bezpośredni awans, co na pewno nie będzie łatwe. Szesnaście reprezentacji z dywizji A zostanie podzielonych na cztery czterozespołowe grupy. Dwa najlepsze zespoły uzyskają bezpośredni awans. O osiem pozostałych miejsc w turnieju powalczą drużyny z miejsc trzecich i czwartych właśnie we wspomnianych barażach z zespołami dywizji B i C Ligi Narodów.

W fazie grupowej rywalkami Polek mogą być m.in. mistrzyni świata Hiszpanki, wicemistrzyni Europy Niemki czy ćwierćfinalistki ostatniego mundialu Francuzki. W żadnym z tych spotkań nasze zawodniczki nie będą faworytkami, ale w razie niepowodzenia zostanie baraże.

| | | |
|---------------|----------|-----|
| POLSKA | 2 | (1) |
| GRECJA | 0 | (0) |

Bramki: Pajor 37, Kozak 59.

POLSKA: Szemik - Adamek (46 Padilla), Zieniewicz, Woś, Matysik - Kozak (90 Domin), Pawollek, Achcińska (71 Szymczak) - Kamczyk (82 Krezyman), Pajor, Wiankowska. **Trenerka:** Patalon.

GRECJA: Nasi - Paterna, Palama, Sidira z (82 Kapnis), Mitkou - Markou (66 Chalatsogianni), Kakambouki, Sarri - Chamalidou (82 Georgantzi), Spyridonidou (66 Kaldaridou), Giannaka (46 Moraitou). **Trener:** Katikaridis.

Sędziowała: Pejčović (Chorwacja).

Widzów: 3694.

GRUPA B3

| | | | | |
|----------------------------------|---|----|------|--|
| Serbia - Ukraina 0:1 (Hiryn 55). | | | | |
| 1. Polska | 6 | 16 | 11-4 | |
| 2. Serbia | 6 | 10 | 10-5 | |
| 3. Ukraina | 6 | 6 | 5-7 | |
| 4. Grecja | 6 | 3 | 3-13 | |

1. - awans do dywizji A; 2. - baraże o awans; 3. - baraże o utrzymanie; 4. - spadek do dywizji C.

LIGA EUROPY

| | | | | |
|--|---|----|------|--|
| GRUPA F (MECZ ZALEGLY): Villarreal - Maccabi 0:0. | | | | |
| 1. • Stade Rennais | 5 | 12 | 11-3 | |
| 2. • Villarreal CF | 5 | 10 | 6-5 | |
| 3. Panathinaikos Ateny | 5 | 4 | 6-8 | |
| 4. Maccabi Hajfa | 5 | 2 | 1-8 | |

1. - 1/8 finału; 2. - 1/16 finału (* - zapewniony awans co najmniej do tej fazy); 3. - 1/16 finału LKE.

TABELA

| | | | |
|------------------|----|----|-------|
| 1. ŚLĄSK | 17 | 37 | 29-14 |
| 2. JAGIELLONIA | 17 | 34 | 38-22 |
| 3. LECH | 17 | 32 | 30-22 |
| 4. RAKÓW (M) | 16 | 29 | 32-18 |
| 5. LEGIA | 16 | 28 | 26-20 |
| 6. POGOŃ | 17 | 26 | 29-19 |
| 7. KGHM ZAGŁĘBIE | 17 | 24 | 19-27 |
| 8. RADOMIAK | 17 | 22 | 21-20 |
| 9. GÓRNIK | 17 | 22 | 18-20 |
| 10. WIDZEW | 17 | 22 | 21-24 |
| 11. PGE STAL | 16 | 21 | 23-24 |
| 12. PIAST | 16 | 18 | 14-14 |
| 13. WARTA | 17 | 18 | 17-20 |
| 14. KORONA | 16 | 17 | 19-20 |
| 15. CRACOVIA | 16 | 17 | 18-24 |
| 16. PUSZCZA (B) | 16 | 16 | 20-31 |
| 17. RUCH (B) | 17 | 11 | 19-31 |
| 18. ŁKS (B) | 16 | 8 | 11-34 |

1. - I runda el. Ligi Mistrzów; 2-3. - II runda el. Ligi Konferencji; 16-18. - spadek. Triumfator Fortuna Pucharu Polski: I runda el. Ligi Europy.

LIGA POD CIŚNIENIEM

Antoni BUGAJSKI

PULULU POTRAFI ROZGRZAĆ

Gdy dostał ofertę z Jagiellonią, nie miał pojęcia o nowym klubie, ale to samo mogła powiedzieć zdecydowana większość kibiców Jagiellonii na jego temat. Zagrał kiedyś osiem meczów w 1. Bundeslidze, ale to były „ogony”, razem ledwie 62 minuty, czyli średnio niecałe 8 minut na jedno spotkanie, bez gola i asysty. Teraz Afimico Pululu jest jednym z najciekawszych napastników PKO BP Ekstraklasy i chyba już ulubieńcem Białegostoku.



Wprawdzie do statusu Tomasa Frankowskiego jeszcze dużo mu brakuje, nawet do Marca Guala, czyli drugiego króla strzelców w barwach Jagiellonii nie może się równać. Oczywiście Jesus Imaz też dla Dumy Podlasia zrobił dużo więcej. Wystarczy te przykłady, bo lista jest znacznie dłuższa, ale Pululu w krótkim czasie poka-

zał, że jest na dobrej drodze, by ludzie z Białegostoku ciepło go wspominali przez wiele lat. Na razie to on ich rozgrzewa, także wtedy, kiedy w niespecjalnie imponującej liczbie, bo późny grudniowy wieczór i przenikliwy chłód, przyszli na mecz Pucharu Polski z Wartą Poznań (2:0). Pululu wszedł na boisko i od razu zaczęło się coś dziać. Grał dopiero od 73. minuty, ale zdążył wypracować drugą bramkę, kiedy pięknie, wręcz altruistycznie wyłożył piłkę do kolegi z drużyny, choć mógł kończyć akcję, bo był już w polu karnym w dogodnej sytuacji do oddania strzału.



Pululu do tej pory zagrał w 14 meczach, z czego w ośmiu był w wyjściowym składzie. Strzelił sześć goli (trzy z karnych) i miał jedną asystę, co jest wynikiem wskazującym na jego potencjał i dla niego samego zwyczaj-

nie istotnym. Bo nigdy nie był zawołanym snajperem, przynajmniej nie wiadczyć tego w seniorskich statystykach. Ostatnio więcej niż sześć trafień w jednym sezonie miał w 2018 roku, kiedy zbierał 14 goli, ale osiemnastolatek grał wtedy w drużynie rezerw FC Basel, na trzecim poziomie rozgrywkowym. W sezonie 2020/21 miał najwięcej meczów w lidze szwajcarskiej z pierwszą drużyną z Bazylei. W 25 występach strzelił jednak trzy gole, zatem dwa razy mniej od tego, ile już w rundzie jesiennej osiągnął w Jagiellonii.



Nie próbuję porównywać wymagań stawianych przed piłkarzami w obydwu ligach, nie zamierzam się o to kłócić, bo byłaby to kłótnia wynikająca co najwyżej ze złośliwej przekory. Wystarczy sprawdzić, ile razy szwajcarskie kluby grały w fazie grupowej

RUCH CHORZÓW - KGHM ZAGŁĘBIE LUBIN

Chorzów, piątek, godz. 18.00, Canal+ Sport, Canal+ Family

Patryk Gryckiewicz (Toruń) 5 27/1 karne: 2 śr. not: 4,20

REZERWOWI: 1 Buchalik (7/-12/1; 5,29), 24 Barański M (2/0/0; -), 27 Długosz (5/0/0; 4,67), 10 Foszmańczyk (9/0/0; 5,00), 16 Sedlak (2/0/0; 5,00), 88 Skwierczyński M (5/0/0; 4,00), 20 Szymański (15/0/0; 4,53), 19 Feliks (13/2/0; 4,90), 18 Steczyk (11/0/0; 4,33).
NIEOBECNI: Barnowski (choroba), Podstawski, Sadlok (kartki), Sikora, Wójtowicz (kontuzje).
TRENER: Woś.
REZERWOWI: 22 Weirauch M (8/-10/2; 4,88), 13 Grzybek (14/0/1; 4,92), 3 Kirkeskov (9/0/0; 4,44), 77 Bohar (10/1/0; 5,33), 7 Chodyna (17/2/5; 5,00), 17 Mróz (13/0/0; 4,57), 20 Poletanović (11/0/0; 4,33), 11 Woźniak (14/0/0; 4,57), 18 Munoz (10/1/0; 4,67).
NIEOBECNI: Dioudis (czerwona kartka; 3/6) Kocaba (kontuzja).
TRENER: Fornalik.

BILANS W EKSTRAKLASIE 5 OSTATNICH SEZONÓW

| | | | |
|----------------|-----------|-----|-----|
| ogółem: | gospodarz | RCH | ZAG |
| 47 (14*-15-17) | 2023/24: | - | 1:2 |
| bramki 47-54 | 2022/23: | - | - |
| na boisku RCH: | 2021/22: | - | - |
| 23 (7-8-8) | 2020/21: | - | - |
| bramki 21-26 | 2019/20: | - | - |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

RCH: LCH/w 0:2 RAD/d 0:0 WID/w 1:2 KOR/d 1:1 CRA/w 4:4
ZAG: RAD/d 2:3 RCZ/w 0:5 WID/d 1:1 ŁKS/w 2:0 LEG/d 0:3

RADOMIAK RADOM - GÓRNIK ZABRZE

Radom, sobota, godz. 15.00, Canal+ Sport

Damian Kos (Wejherowo) 7 38/1 karne: 2 śr. not: 4,71

REZERWOWI: 31 Bąkowski M (1/-2/0; 4,00), 92 Cestor (11/0/0; 4,44), 14 Jakubik (6/0/0; 4,33), 5 Sa (0/0/0; -), 77 Donis (17/1/2; 4,86), 9 Leandro (7/0/0; 4,50), 11 Pik (1/0/0; 5,00), 70 Castaneda (15/1/1; 4,18), 17 Rocha (17/1/0; 4,14).
NIEOBECNI: Alves, Machado (kontuzje).
TRENER: Kędziorek.
REZERWOWI: 32 Szromnik (0/0/0; -), 16 Oikowski (11/1/0; 4,67), 13 Triantafyllopoulos (7/0/0; 4,50), 96 Dadok (15/0/1; 4,56), 17 Lukoszek M (12/0/0; 5,00), 6 Rasak (16/1/0; 4,88), 18 Yokota (16/6/0; 5,44), 21 Krawczyk (11/0/1; 3,75), 10 Podolski (12/1/1; 4,08).
NIEOBECNI: Janża (kartki+czerwona kartka; 0/2), Sekulic (kartki).
TRENER: Urban.

BILANS W EKSTRAKLASIE 5 OSTATNICH SEZONÓW

| | | | |
|----------------|-----------|-----|-----|
| ogółem: | gospodarz | RAD | GÓR |
| 7 (2-3-2) | 2023/24: | - | 2:0 |
| bramki 4-6 | 2022/23: | 0:3 | 0:0 |
| na boisku RAD: | 2021/22: | 1:0 | 0:0 |
| 3 (1-1-1) | 2020/21: | - | - |
| bramki 2-4 | 2019/20: | - | - |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

RAD: ZAG/w 3:2 LEG/d 0:1 RCH/w 0:0 ŚLĄ/d 0:1 WID/w 3:0
GÓR: ŁKS/w 5:0 CRA/d 1:0 STM/w 1:2 PUN/w 1:2 POG/d 1:0

POGOŃ SZCZECIN - WARTA POZNAŃ

Szczecin, piątek, godz. 20.30, Canal+ Sport, Canal+ 4K

Marcin Szczerbowski (Olsztyn) 5 26/1 karne: 2 śr. not: 5,20

REZERWOWI: 81 Klebaniuk M (4/-6/0; 4,75), 4 Borges (9/0/0; 4,40), 25 Lisowski (4/0/0; 4,50), 41 Stolarski (4/0/0; 4,00), 21 Gamboa (15/0/0; 4,86), 71 Korczakowski M (1/0/1; 6,00), 73 Przyborek M (8/0/1; 5,00), 61 Smoliński (5/1/0; 5,00), 10 Zahović (14/1/1; 4,80).
NIEOBECNI: Biczachczjan (kartki), Lončar (kontuzja), Wędrychowski M (po kontuzji), Stipica (odsunięty od zespołu).
TRENER: Gustafsson.
REZERWOWI: 1 Lis (6/-8/1; 5,00), 34 Pleśnierowicz (16/0/0; 4,80), 31 Krzyżak M (2/0/0; -), 15 Kopczyński (3/0/0; 5,00), 21 Kuczek (16/2/0; 5,00), 8 Mäenpää (15/0/0; 5,00), 7 Szmyt M (17/5/1; 5,12), 9 Eppel (6/2/0; 4,33), 97 Kamiński M (6/0/0; 5,00).
NIEOBECNI: Borowski M (kartki), Przybytko, Zrelak (kontuzja).
TRENER: Szulczek.

BILANS W EKSTRAKLASIE 5 OSTATNICH SEZONÓW

| | | | |
|----------------|-----------|-----|-----|
| ogółem: | gospodarz | POG | WAR |
| 11 (7-3-1) | 2023/24: | - | 1:0 |
| bramki 17-8 | 2022/23: | 3:1 | 2:1 |
| na boisku POG: | 2021/22: | 1:1 | 1:1 |
| 5 (3-2-0) | 2020/21: | 1:1 | 2:1 |
| bramki 10-4 | 2019/20: | - | - |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

POG: JAG/d 2:1 PUN/w 2:0 RCZ/d 1:1 STM/d 2:3 GÓR/w 0:1
WAR: PIA/d 1:1 WID/w 1:0 PUN/d 0:2 LEG/w 2:2 JAG/d 1:2

CRACOVIA - PGE STAL MIELEC

Kraków, sobota, godz. 17.30, Canal+ Sport

Damian Sylwestrzak (Wrocław) 11 52/0 karne: 3 śr. not: 4,91

REZERWOWI: 31 Hroščo (0/0/0; -), 15 Gliik (4/1/0; 3,75), 17 Bochnak (15/0/0; 4,42), 36 Jodłowski (1/0/0; -), 4 Jaroszyński (10/1/0; 5,00), 38 Mysior M (8/0/0; 4,25), 63 Różga M (2/0/0; -), 73 Zaucha (3/0/0; -), 21 Smiglewski M (11/0/1; 4,50).
NIEOBECNI: Kakabadze (czerwona kartka; 1/1), Rakoczy (kartki), Hebo Rasmussen, Jablonsky (po kontuzji).
TRENER: Zieliński.
REZERWOWI: 13 Jalocha (0/0/0; -), 7 Gerstenstein M (13/1/0; 4,38), 4 Pajnowski (5/0/0; 3,80), 8 Hinokio (15/3/1; 5,29), 22 Santos (4/0/0; -), 27 Stepien M (13/0/0; 4,67), 18 Wlazło (12/0/1; 4,67), 42 Meriluoto (12/1/0; 4,38), 25 Wolsztyński (5/0/0; 4,00).
NIEOBECNI: Ehmman (kontuzja).
TRENER: Kiereś.

BILANS W EKSTRAKLASIE 5 OSTATNICH SEZONÓW

| | | | |
|----------------|-----------|-----|-----|
| ogółem: | gospodarz | CRA | STM |
| 13 (3-6-4) | 2023/24: | - | 2:2 |
| bramki 18-19 | 2022/23: | 3:1 | 0:2 |
| na boisku CRA: | 2021/22: | 2:3 | 2:1 |
| 6 (1-4-1) | 2020/21: | 1:1 | 0:0 |
| bramki 8-8 | 2019/20: | - | - |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

CRA: LP/d 1:1 GÓR/w 0:1 ŚLĄ/d 0:1 RCZ/w 1:1 RCH/d 3:4
STM: WAR/d 0:1 LEG/w 3:1 JAG/w 0:4 GÓR/d 2:1 POG/w 3:2

Po nazwisku kolejno: liczba meczów/goli/asyst (u bramkarzy: liczba meczów/wpuszczonych goli/czystych kont+ew. asyst); średnia not w „PS”
■ - zagrożenie pauzą za kartki; ■ - młodzieżowiec (Polacy urodzeni w 2002 roku i młodszy); przy herbie: liczba minut młodzieżowców oraz procent wymogu (w jednym meczu można zyskać maksymalnie 270 minut); ■ - występ pod znakiem zapytania



Ligi Mistrzów i innych europejskich pucharów, a ile polskie. I pewnie dlatego Pululu potrafi zaistnieć jako snajper w Polsce, a nie potrafił w Szwajcarii, a potem w Niemczech i to nawet w 2. Bundeslidze. Jaga okazuje się klubem idealnie dla niego skrojonym – może jej dodać jakości i zarazem sam się rozwijać. Jeżeli sprowadzać do polskiej ligi cudzoziemców, to właśnie takich, którzy nie są jeszcze wypaleni i nastawieni wyłącznie na zarabianie i przede wszystkim potrafią grać w piłkę. Pokazują to na boisku, a nie w wywiadach, w których z lubością opowiadają, z kim kiedyś dzieliłi piłkarską szatnię i trenowali.



Pululu ma 24 lata. Trochę za dużo, by liczyć na karierę w wielkim europejskim klubie, i w sam raz, by zostać gwiazdą Ekstraklasy oraz zapracować jeszcze na całkiem sensowny transfer do innego kraju, choć o Bayernie i PSG to już może

zapomnieć. Rośnie też szansa, że wreszcie trafi do drużyny narodowej. Od wczesnego dzieciństwa mieszkał z rodziną we Francji, lecz urodził się w Angoli. Nie ukrywa, że działacze z jego ojczystego kraju kontaktowali się z nim, próbowali powołać do reprezentacji. Do tej pory z tego nie skorzystał, ale wyobrażam sobie, że zaproszenie było bardziej grzecznościowe niż perswazyjne. Nie mogło być inaczej, skoro chłopak w poprzednim sezonie 2. Bundesligi w mocno przeciętnym Greuther Fürth zagrał w 13 meczach (i to zawsze wchodząc z ławki!), w których strzelił jednego gola. Teraz, gdy potrafi urzecz szybkością i techniką w Jagiellonii, na pewno ma większe szanse na debiut w reprezentacji Angoli. I byłoby dobrze, gdyby w ciężkiej pracy nad stabilizowaniem formy i wzmacnianiem kondycji wziął sobie taką motywację do serca. Dobrze dla niego i dla Jagiellonii, która wciąż nas zaskakuje dzięki takimi graczom jak Afimico Pululu.

NASTĘPNA KOLEJKA

| | | | |
|-----------------------|------------------|----------------------------|------------------|
| Górnik - Warta | pt, 15.12, 18.00 | ŁKS - Ruch | nd, 17.12, 12.30 |
| KGHM Zagłębie - Śląsk | pt, 15.12, 20.30 | Raków - Korona | nd, 17.12, 15.00 |
| Puszcza - Jagiellonia | sb, 16.12, 15.00 | Legia - Cracovia | nd, 17.12, 17.30 |
| Widzew - Pogoń | sb, 16.12, 17.30 | Piast - PGE Stal | pn, 18.12, 19.00 |
| Radomiak - Lech | sb, 16.12, 20.00 | Cracovia - Legia (zaległy) | śr, 20.12, 19.00 |

ŁKS ŁÓDŹ - LEGIA WARSZAWA

Łódź, niedziela, godz. 15.00, Canal+ Sport, Canal+ 4K 2°C

Tomasz Musiał (Kraków) 11 46/2 karne: 3 śr. not.: 5,09

ŁKS ŁÓDŹ
1374 45,8%

LEGIA WARSZAWA
1445 48,2%

REZERWOWI: 1 Bobek (14/-29/1; 4,93), 5 Flis (11/0/0; 4,27), 37 Głowacki (16/0/1; 4,07), 4 Monsalve (12/0/0; 3,92), 3 Tutyskinas (9/1/0; 4,17), 11 Hoti (15/1/0; 4,50), 28 Lorenc (5/0/0; 4,67), 23 Siłwa (13/0/0; 4,25), 6 Balongo (0/0/0; -).

NIEOBECNI: Letniowski (kontuzja), Łabędzki (przesunięty do ŁKS III).

TRENER: Stokowiec.

REZERWOWI: 30 Hładun (1/-1/0; 4,00), 4 Burch (5/0/0; 0,00), 55 Jędrzejczyk (11/0/0; 4,73), 5 Ribeiro (12/0/1; 4,83), 21 Celhaka (10/0/0; 4,71), 17 Dias (10/0/0; 4,83), 86 Strzalek (7/1/0; 4,50), 9 Kramer (10/1/0; 5,00), 7 Pekhart (15/6/0; 4,67).

NIEOBECNI: Kapustka (choroba), Mustafajew (kontuzja).

TRENER: Runjaić.

REZERWOWI: 1 Bobek (14/-29/1; 4,93), 5 Flis (11/0/0; 4,27), 37 Głowacki (16/0/1; 4,07), 4 Monsalve (12/0/0; 3,92), 3 Tutyskinas (9/1/0; 4,17), 11 Hoti (15/1/0; 4,50), 28 Lorenc (5/0/0; 4,67), 23 Siłwa (13/0/0; 4,25), 6 Balongo (0/0/0; -).

NIEOBECNI: Letniowski (kontuzja), Łabędzki (przesunięty do ŁKS III).

TRENER: Stokowiec.

REZERWOWI: 30 Hładun (1/-1/0; 4,00), 4 Burch (5/0/0; 0,00), 55 Jędrzejczyk (11/0/0; 4,73), 5 Ribeiro (12/0/1; 4,83), 21 Celhaka (10/0/0; 4,71), 17 Dias (10/0/0; 4,83), 86 Strzalek (7/1/0; 4,50), 9 Kramer (10/1/0; 5,00), 7 Pekhart (15/6/0; 4,67).

NIEOBECNI: Kapustka (choroba), Mustafajew (kontuzja).

TRENER: Runjaić.

| BILANS W EKSTRAKLASIE | 5 OSTATNICH SEZONÓW |
|-----------------------|---------------------|
| ogółem: | gospodarz ŁKS LEG |
| 131 (39-29-63) | 2023/24: - 0:3 |
| bramki 146-234 | 2022/23: - - |
| na boisku ŁKS: | 2021/22: - - |
| 65 (29-15-21) | 2020/21: - - |
| bramki 88-84 | 2019/20: 2:3 1:3 |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

ŁKS: LPW/d 1:3 GÓR/d 0:5 ŚLĄ/w 1:2 PIA/d 0:3 ZAG/d 0:2

LEG: STM/d 1:3 RAD/w 1:0 LPO/d 0:0 WAR/d 2:2 ZAG/w 0:0

ŚLĄSK WROCŁĄW - KORONA KIELCE

Wrocław, sobota, godz. 20.00, Canal+ Sport, Canal+ 4K 1°C

Daniel Stefański (Bydgoszcz) 8 49/1 karne: 7 śr. not.: 4,63

ŚLĄSK WROCŁĄW
1506 50,2%

KORONA KIELCE
1735 57,8%

REZERWOWI: 35 Trelowski (1/-3/0; 2,00), 3 Borthwick-Jackson (2/0/1; 6,00), 33 Macenko (12/0/0; 5,56), 14 Wróblewski (0/0/0; -), 18 Borys (8/2/0; 5,80), 26 Ince (8/2/0; 5,80), 23 Łukasik (3/0/0; -), 21 Szwedzik (8/1/0; 4,67), 7 Zohore (5/0/0; 4,50).

NIEOBECNI: Leiva (czerwona kartka; 3/4), Bejger, Pokorny, Poprawa (kontuzje), Klimala (niezawierzony do gry).

TRENER: Magiera.

REZERWOWI: 1 Forenc (0/0/0; -), 5 Briceag (5/0/0; 4,80), 94 Kwicień (3/0/0; 4,33), 14 Turek (0/0/0; -), 19 Konstantyn (10/1/0; 5,13), 6 Podgórski (16/0/0; 4,94), 13 Strzeboński (7/0/0; 5,50), 25 Bak (1/0/0; -), 9 Szykowska (16/2/1; 4,56).

NIEOBECNI: Nono (kartki), Czyżyci, Łukowski, Petrow (kontuzje).

TRENER: Kuzera.

| BILANS W EKSTRAKLASIE | 5 OSTATNICH SEZONÓW |
|-----------------------|---------------------|
| ogółem: | gospodarz ŚLĄ KOR |
| 28 (6-12-10) | 2023/24: - 1:1 |
| bramki 33-35 | 2022/23: 1:1 1:3 |
| na boisku ŚLĄ: | 2021/22: - - |
| 12 (4-5-3) | 2020/21: - - |
| bramki 14-10 | 2019/20: 2:1 0:1 |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

ŚLĄ: RCH/w 2:2 ŁKS/d 2:1 CRA/w 1:0 RAD/w 1:0 RCZ/d 1:1

KOR: PUN/d 0:3 PIA/w 0:0 JAG/d 2:2 RCH/w 1:1 LPO/d 0:1

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK - RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Białystok, niedziela, godz. 17.30, Canal+ Sport -1°C

Krzysztof Jakubik (Siedlce) 8 28/0 karne: 5 śr. not.: 5,25

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK
1967 65,6%

RAKÓW CZĘSTOCHOWA
618 20,6%

REZERWOWI: 50 Abramowicz (0/0/0; -), 36 Lewicki (9/2/0; 5,14), 32 Matysik (8/0/0; 5,50), 19 Olszewski (6/0/0; 4,75), 3 Stojniowicz (7/0/0; 4,50), 18 Kupisz (13/0/0; 5,17), 77 Łaski (8/1/0; 5,00), 38 Wojdakowski (1/0/0; -), 51 Rybak (3/0/0; -).

NIEOBECNI: Hansen, Kubicki, Nastić, Nguimamba (kontuzje), Haliti (niezawierzony do gry).

TRENER: Siemieniec.

REZERWOWI: 12 Tsiftsis (1/0/1; 6,00), 15 A. Kovacevic (11/0/0; 4,50), 7 Tudor (13/0/2; 5,38), 77 Cebula (14/0/2; 5,08), 21 Drachal (12/3/2; 5,82), 93 Kittel (11/3/1; 5,09), 22 Soresecu (9/1/1; 5,14), 19 Crnac (8/2/1; 4,63), 9 Zwoliński (11/3/0; 4,70).

NIEOBECNI: Arseniç, Gryszkiewicz, Lederman, Lopez, Papanikolaou, Pestka (kontuzje).

TRENER: Szwarga.

| BILANS W EKSTRAKLASIE | 5 OSTATNICH SEZONÓW |
|-----------------------|---------------------|
| ogółem: | gospodarz JAG RCZ |
| 9 (1-2-6) | 2023/24: - 0:3 |
| bramki 9-18 | 2022/23: 1:2 2:2 |
| na boisku JAG: | 2021/22: 3:0 0:5 |
| 4 (1-1-2) | 2020/21: 0:0 2:3 |
| bramki 4-3 | 2019/20: 0:1 1:2 |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

JAG: POG/w 1:2 STM/d 4:0 KOR/w 2:2 PIA/d 0:0 WAR/w 2:1

RCZ: WID/d 1:1 ZAG/d 0:0 POG/w 1:1 CRA/d 1:1 ŚLĄ/w 1:1

LECH POZNAŃ - PIAST GLIWICE

Poznań, niedziela, godz. 12.30, Canal+ Sport 4°C

Karol Arys (Szczecin) 9 29/0 karne: 4 śr. not.: 5,11

LECH POZNAŃ
2047 68,2%

PIAST GLIWICE
3000 100%

REZERWOWI: 35 Bednarek (3/-2/1; 4,67), 5 Andersson (13/0/1; 4,75), 44 Czerwiński (12/1/0; 4,36), 55 Pingot (2/0/0; 4,00), 21 Hotić (9/0/2; 5,11), 30 Kwekweski (8/0/1; 4,75), 10 Marchwiński (16/5/2; 5,13), 90 Sobiech (9/0/1; 4,60), 17 Szymczak (16/1/1; 4,67).

NIEOBECNI: Ba Lou, Dagerstål (kontuzje), Salamon (zawieszenie).

TRENER: van den Brom.

REZERWOWI: 26 Plach (15/-14/5; 5,13), 5 Huk (8/0/0; 4,67), 22 Mokwa (2/0/0; 5,50), 3 Munoz (3/0/0; 5,00), 24 Hateley (3/0/0; 3,00), 96 Kostadinov (1/0/0; -), 30 Szczepański (10/0/0; 4,63), 29 Bykowski (5/0/0; -), 10 Wilczek (2/0/0; 3,50).

NIEOBECNI: Katranis (czerwona kartka; 3/3), Hateley, Krykun, Mucha (kontuzje).

TRENER: Vuković.

| BILANS W EKSTRAKLASIE | 5 OSTATNICH SEZONÓW |
|-----------------------|----------------------|
| ogółem: | gospodarz LPO PIA |
| 30 (18-7-5) | 2023/24: - 2:1 |
| bramki 56-23 | 2022/23: 1:0 1:1 |
| na boisku LPO: | 2021/22: 1:0 2:1 |
| 14 (9-4-1) | 2020/21: 0:0 4:1 |
| bramki 29-6 | 2019/20: 3:0 1:1:2:0 |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

LPO: CRA/w 1:1 RCH/d 2:0 LEG/w 0:0 WID/d 1:3 KOR/w 1:0

PIA: POG/d 0:0 WAR/w 1:1 KOR/d 0:0 ŁKS/w 0:3 JAG/w 0:0

PUSCZA NIEPOŁOMICZE - WIDZEW ŁÓDŹ

Kraków, poniedziałek, godz. 19.00, Canal+ Sport 2°C

Paweł Raczkowski (Warszawa) 10 61/1 karne: 9 śr. not.: 5,10

PUSCZA NIEPOŁOMICZE
1867 62,2%

WIDZEW ŁÓDŹ
1422 47,4%

REZERWOWI: 13 Wróblewski (2/-4/0; 5,00), 3 Jakuba (16/1/2; 4,38), 27 Sołowiej (15/5/1; 4,50), 11 Cholewiak (15/2/2; 4,86), 44 Cichoń (1/0/0; -), 20 Gil (0/0/0; -), 93 Poczobut (10/1/0; 4,75), 19 Stec (3/0/0; 3,50), 24 Mešanović (11/0/0; 4,36).

NIEOBECNI: Kidrić, Komar, Majchrzak, Pieczek, Tomalski (kontuzje).

TRENER: Tutacz.

REZERWOWI: 33 Krzywański (1/-1/0; 4,00), 23 Zieliński (5/0/0; 4,50), 4 Ciganin (15/2/0; 4,38), 88 Dawid (4/0/0; -), 19 Pawłowski (14/4/3; 5,38), 80 Przybutek (4/0/0; 4,75), 13 Terpiłowski (12/1/0; 4,60), 8 Tkacz (9/0/0; 4,56), 99 Rondić (15/2/1; 4,75).

NIEOBECNI: Kerk, Mitoš, Shehu, Szota (kontuzje).

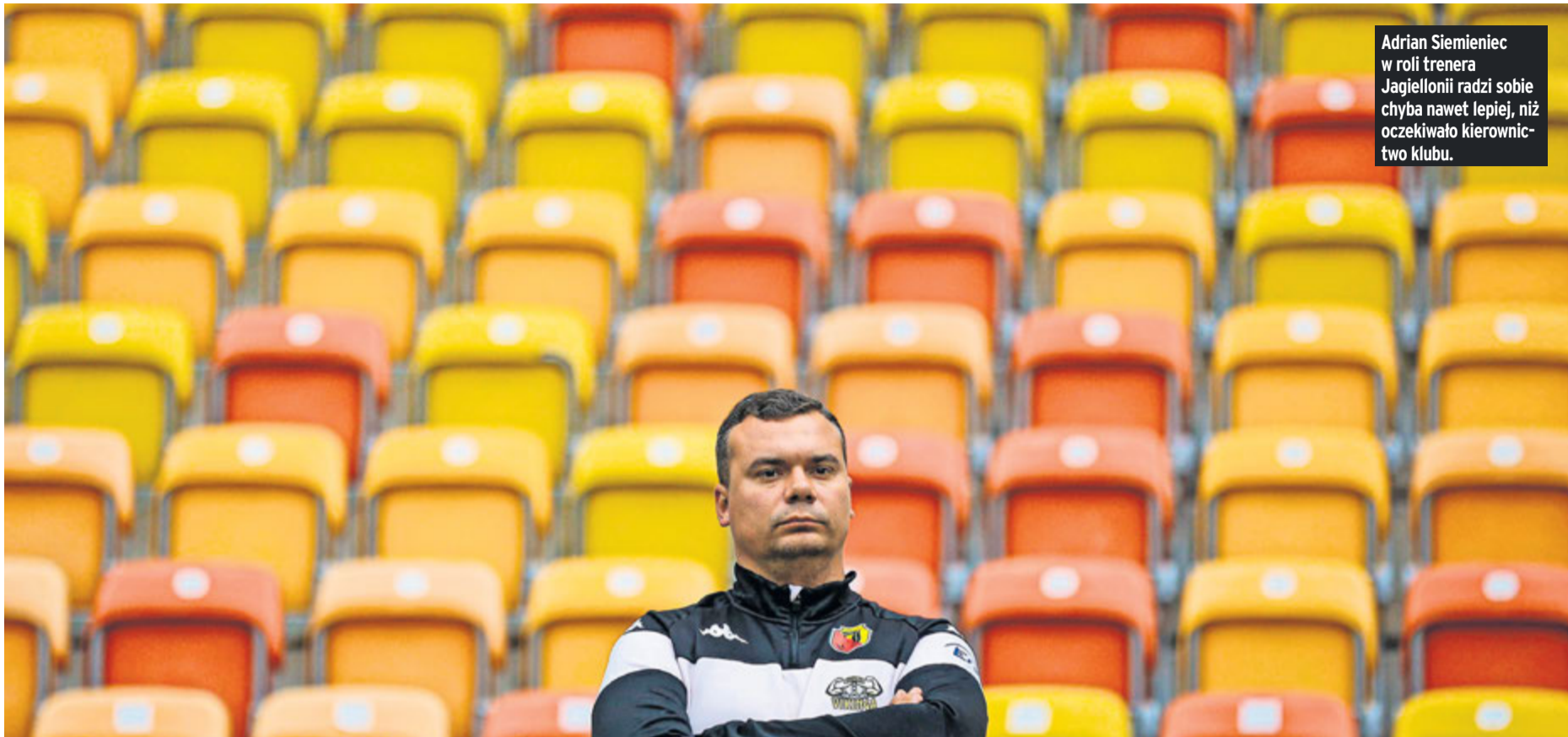
TRENER: Mysliwiec.

| BILANS W EKSTRAKLASIE | 5 OSTATNICH SEZONÓW |
|-----------------------|---------------------|
| ogółem: | gospodarz PUN WID |
| 1 (0-0-1) | 2023/24: - 2:3 |
| bramki 2-3 | 2022/23: - - |
| na boisku PUN: | 2021/22: - - |
| nie grali | 2020/21: - - |
| | 2019/20: - - |

OSTATNIE MECZE W EKSTRAKLASIE

PUN: CRA/d 1:1 KOR/w 3:3 POG/d 0:2 WAR/w 2:0 GÓR/d 2:1

WID: WAR/d 0:1 ZAG/w 1:1 RCH/d 2:1 LPO/w 0:1 RAD/d 0:3



Adrian Siemieniec
w roli trenera
Jagiellonii radzi sobie
chyba nawet lepiej, niż
oczekiwało kierownictwo
klubu.

fot. © Kamili Świątkiewicz/Dyjasport

Na swoim boisku Jagiellonia jest niepokonana od lutego. Teraz będzie gościć Raków Częstochowa, ostatni zespół, który zdołał wygrać w Białymstoku, ale ma podstawy, by czekać na mecz z optymizmem.

Rok temu po 17 ligowych kolejkach Jagiellonia Białystok zajmowała dopiero 13. miejsce w tabeli PKO BP Ekstraklasy, mając raptem dwa punkty przewagi nad strefą spadkową. W obecnych rozgrywkach Duma Podlasia na tym samym etapie sezonu znajduje się tuż za plecami lidera, a do spotkania z Rakowem Częstochowa przystąpi z przewagą pięciu oczek nad mistrzem Polski.

Szybko zbudował twierdzę

Kiedy Adrian Siemieniec obejmował Jagiellonię, nikomu na Podlasiu nie było do śmiechu. Białostoczanie zajmowali 14. lokatę w tabeli, a od czerwonej strefy dzieliły ich dwa punkty. Młody szkoleniowiec musiał wówczas reagować na bieżąco i jak sam często podkreślał, w tamtym momencie liczyły się dla niego przede wszystkim wyniki. Te poprawiły się bardzo szybko, bo już w czterech pierwszych meczach za jego kadencji Jaga wygrała trzykrotnie: pokonując Lechię Gdańsk (1:0) i Wartę Poznań (3:1) u siebie oraz Wisłę Płock (4:2) na wyjeździe.

Tymi triumfami Siemieniec zdołał zapoczątkować rewelacyjną serię meczów domowych. Stadion przy ulicy Słonecznej stał się terenem, gdzie Jagiellonia nie tylko nie przegrywa meczów, ale zazwyczaj nawet ich nie remisuje. Spośród dwunastu rozegranych spotkań w Białymstoku pod wodzą 31-letniego szkoleniowca Jaga wygrała aż dziewięć i tylko trzykrotnie dzieliła się punktami. Do tego w rozgrywkach Pucharu Polski odprawiła z kwitkiem Śląsk Wrocław i Wartę Poznań. – Od początku chcieliśmy zrobić wszystko, aby uczynić z Białegostoku twierdzę, z której mało kto będzie mógł wywieźć punkty – mówił sam Siemieniec, któremu to zadanie zdecydowanie się udało.

W 2023 roku jedynym zespołem, który wywodził z Podlasia komplet punktów, jest... Raków Częstochowa. W lutym mistrzowie Polski triumfowali przy Słonecznej nad zespołem

Ostatni, którzy znaleźli sposób

prowadzonym przez Macieja Stolarczyka 2:1. Tamto spotkanie przez fanów Jagi zostało już dawno zapomniane, podobnie zresztą jak lipcowa potyczka obu drużyn w Częstochowie, kiedy zespół Dawida Szwargi rozbił Jagiellonię 3:0. W 16 kolejnych meczach ligowych białostoczanie odnieśli bowiem aż 10 zwycięstw i zdobyli 38 bramek, co czyni ich najsukcesywniejszym zespołem w PKO BP Ekstraklasie.

Budować można było od lata

Po tym jak w poprzedniej kampanii Jagiellonia wywalczyła pozostanie na najwyższym poziomie rozgrywkowym, Adrian Siemieniec mógł skupić się na budowie drużyny. – Ocena Jagiellonii w tym sezonie nie powinna sprowadzać się do suchych wyników, a tym bardziej do pojedynczych meczów. Nie wyznaczamy sobie celów, tylko otwarcie mówimy o tym, że chcemy rozwijać projekt i ustabilizować swoją pozycję w Ekstraklasie – przyznawał w wywiadzie dla „Przeгляdu Sportowego” sam szkoleniowiec.

Siemieniec obrał drogę, która uczyniła Jagiellonię jedną z najbardziej atrakcyjnie grających drużyn w lidze. Dumę Podlasia charakteryzuje przede wszystkim to, że bez względu na rywala oraz wynik piłkarze cierpliwie rozgrywają piłkę od tyłu. Ich podejścia nie zmieniają nawet najtrudniejsze okoliczności, czego dowodem był październikowy mecz w Poznaniu z Lechem. Nawet kiedy gospodarze prowadzili 3:0, Jaga i tak nie zrezygnowała ze swojego stylu i ostatecznie to pozwoliło jej wywalczyć remis 3:3.

Jednym z kluczowych piłkarzy, który doskonale odnajduje się w takiej taktyce, jest Adrian Dieguez. Hiszpański stoper, który został sprowadzony ze spadającej do trzeciej ligi hiszpańskiej Ponferradiny. Na półmetku obecnych rozgrywek 27-latek jest liderem klasyfikacji podań (1181), podań celnych (1008) oraz podań do przodu (408). Przy Dieguezie doskonale radzi sobie również Mateusz Skrzypczak, który w 2022 roku trafił do Białegostoku z Lecha Poznań. O ile jego pierwszy sezon przy Słonecznej był dość przeciętny, o tyle teraz na dobre zadomowił się w jedenastce kosztem Miłosza Matysika. – Oprócz tego, że Adrian jest klasowym piłkarzem, to mogę powiedzieć, że nauczyłem się od niego kilku hiszpańskich słówek! Sportowo jest obrońcą, który znakomicie wyprowadza piłkę i świetnie operuje lewą nogą. To jego najmocniejsza strona i zdecydowanie na-

leży go podpatrywać w tym kontekście – przyznał sam Skrzypczak, opisując swojego starszego partnera ze środka defensywy.

Przed sezonem kibice Jagiellonii mogli obawiać się tego, jak zespół będzie sobie radzić bez Marca Guala. Król strzelców poprzednich rozgrywek zagwarantował białostoczanom aż 16 goli, często biorąc odpowiedzialność za wynik na swoje barki. – To bardzo dobry napastnik, który pomógł drużynie i mi osobiście. Na pewno dołożył cegiełkę to tego, że dzisiaj możemy rozmawiać w bardzo dobrych nastrojach – uważa Siemieniec.

Trener Jagi sprawił jednak, że w tym sezonie wszystkie bramki, które zdobył jego zespół, rozkładają się na dziesięciu zawodników, a wśród trójki najlepszych strzelców nie ma Jesusa Imaza, czyli drugiego najsukcesywniejszego piłkarza ubiegłych rozgrywek (14 goli). Obecnie Hiszpan, który miał przerwę w grze spowodowaną problemami zdrowotnymi, trafił do siatki czterokrotnie.

Radzą sobie z kontuzjami

Po 17 rozegranych kolejkach można przyznać, że sprawdzają się niemal wszystkie transfery poczynione przez klub latem. Oprócz Dieguezę znakomicie spisuje się młodzieżowiec Dominik Marczuk, który jest liderem klasyfikacji asyst Ekstraklasy (6), pewne miejsce w składzie ma Jose Naranjo, pięć bramek dla Jagi zdobył już Kristoffer Hansen, a sześć trafień na koncie ma nowy napastnik Afimico Pululu. Drużynie w osiąganiu zadowalających rezultatów nie przeszkadzają kontuzje, a przeciż w tym sezonie nie brakowało spotkań, w których Siemieniec nie mógł korzystać z kilku piłkarzy podstawowego składu.

Podobnie zresztą może być w niedziele, bo jak przyznał sam szkoleniowiec, w ligowym meczu z Wartą Poznań (2:1) urazu nabawił się wspomniany Hansen. – Na ten moment nie jestem w stanie stwierdzić, kiedy Norweg powróci do gry i ile potrwa jego przerwa – powiedział Siemieniec, który z usług piłkarza nie mógł skorzystać już w pucharowej potyczce z Zielonymi (2:0).

W czwartek klub z Białegostoku ogłosił swój pierwszy transfer przed rundą wiosenną. Kontrakt z wiceliderem PKO BP Ekstraklasy podpisał obrońca Jetmir Haliti, który ostatnio występował w sztokholmskim AIK. Dla jednokrotnego reprezentanta Kosowa, który urodził się w Szwecji, będzie to pierwszy wyjazd poza Skandynawię. Sprowadzenie Halitego jest prawdopodobnie zabezpieczeniem się na wypadek odejścia młodzieżowca Matysika. Wychowanek Jagi jest bliski przenosin do cypryjskiego Arisu Limassol.

Bartłomiej Płonka

@bart_plonka



Nowe horyzonty Rakowa

W Rakowie od kilku lat regularnie udowadniają, że da się z sukcesami budować klub, działając w nieco inny sposób niż zdecydowana większość naszych ligowców. Czy można się zatem dziwić, że także wybór dyrektora sportowego w Częstochowie był dość nieoczywisty? Funkcję tę objął Samuel Cardenas.

Selekcja trwała naprawdę długo, ale ostateczny wybór padł na pochodzącego z Meksyku wychowanego w Niemczech 28-latką. Samuel Cardenas płynnie posługuje się językami angielskim, niemieckim i hiszpańskim. W piłkę grał jedynie dla zabawy, bardziej interesowała go trenerka, a jeszcze bardziej analityka i skauting. W Wielkiej Brytanii studiował zarządzanie w sporcie. Jego pierwszą pracą było wylawianie młodych talentów dla Southampton. Ma za sobą staże w Athletic Bilbao, Burnley, Hoffenheim, Red Bullu Salzburg czy Valenci. Po powrocie do Niemiec jako skaut znalazł angaż w FC Schalke 04 oraz Stuttgarter Kickers. Ostatnio przez niemal trzy lata pracował w belgijskim KAA Gent. To klub, który jako pierwszy wyrzucił Raków z pucharów w jego debiutanckim sezonie 2021/2022. W Gandawie Cardenas nie mógł jednak znaleźć wspólnego języka z trenerem Heinem Vanhaezebrouckiem, który pracuje tam od wielu lat. Pod koniec października oficjalnie pożegnał się z Gent i ten moment postanowili wykorzystać w Częstochowie.

Jakie jest jego największe dokonanie na rynku transferowym? Za wizytówkę należy uznać transfer Gifta Orbana, napastnika z Nigerii. Na początku tego roku grał w drugiej lidze norweskiej, Cardenas sprowadził go do Gent za 3,3 mln euro, a obecnie Tottenham jest gotów wyłożyć za niego 20 mln euro, klub z Gandawy zaś chce 10 mln więcej. W Belgii Orban zrobił prawdziwą furorę. W 43 meczach zdobył oszałamiającą liczbę 31 bramek! Doskonale zapamiętali go choćby piłkarze Pogoni Szczecin, której w eliminacjach Ligi Konferencji strzelił trzy gole.

Wstrzelili się w moment

Rakowowi trzeba oddać, że ma dużą zdolność do korzystania z nadarzających się okazji. Tak było przed laty z Franem Tudorem. Przejściem wówczas klubowi z Polski nie udało się zapewne pozyskać piłkarza tej klasy, gdyby nie fakt, że Chorwat chwilę wcześniej przeliczył i znalazł się na lodzie. Powiedział, że przyjmie pierwszą ofertę, jaka się pojawi, i akurat zgłosił się Raków. Z Cardenasem było podobnie. Meksykanin szukał posady dokładnie w tym samym momencie, w którym mistrz Polski rozglądał się za dyrektorem sportowym. W klubie dowiedzieliśmy się, że rekomendowała go jedna z polskich agencji – Grupa ProSport Manager Marcina Lewickiego i Macieja Zielińskiego. Właśnie ci menedżerowie stali za najdroższym transferem z Rakowa, czyli Kamila Piątkowskiego za 6 mln euro do Salzburga. Cardenas ściągnął go później do Gent, a samą transakcję wszystkie zainteresowane strony bardzo sobie chwaliły.

Wyższy level

Cardenasa charakteryzuje skuteczność. W Rakowie liczą, że dzięki jego przyjeździu wskoczą na jeszcze wyższy poziom. – Raków ma bardzo duży potencjał. Jest tu dużo do wygrania i to jeden z głównych powodów, dla których się tu pojawiam. To miejsce, gdzie wciąż jest duża przestrzeń do zagospodarowania, wyzwania nie brakuje – powiedział nowy dyrektor na pierwszej konferencji prasowej. – Ten transfer wpisuje się w naszą strategię stawiania na młodych, perspektywicznych i głodnych wyzwań ludzi. Moment kariery Samuela i miejsce, w którym znajduje się Raków, są spójne. Chcemy umocnić Raków na najwyższym poziomie ligowym i na stałe grać w pucharach – komentował objęcie funkcji przez Cardenasa prezes Piotr Obidziński.



Samuel Cardenas został zaprezentowany jako nowy pracownik Rakowa we wtorek 5 grudnia.

– Po rozstaniu z Robertem Grafem szukaliśmy pomysłu, w głowach mieliśmy wielu kandydatów, przefiltrowaliśmy naprawdę sporo nazwisk. Długo się nad tym zastanawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że ta kandydatura jest najciekawsza i daje szansę na otwarcie na nowych piłkarzy. Wychodzimy nieco poza krąg, w którym polskie kluby się poruszały. Czuć u Samuela taką determinację i wolę udowodnienia, że zna się na swojej pracy. Traktujemy to jako duże wzmocnienie klubu – dopowiada przewodniczący rady nadzorczej Rakowa Wojciech Cygan, gdy pytamy go, co zadecydowało o takim wyborze.

– Jak w przypadku każdego dyrektora sportowego – po owocach go poznać. Kierunek trochę nieoczywisty, ale głównym powodem tego jest fakt, że na rynku polskim dyrektorów sportowych w naszym rozumieniu po prostu nie ma. Najlepszym w Polsce był ten, z którym się rozstaliśmy, czyli Robert – dodaje nieskromnie członek zarządu mistrza Polski Rafał Niewmierzycki.

Jak pracuje Cardenas?

Niemiec o meksykańskich korzeniach obserwację piłkarzy dzieli na kilka etapów. Na początku wyszukuje ich na platformach analitycznych i skautingowych. Dopiero jeśli liczby są interesujące, przychodzi czas na przyjrzenie się na żywo. Zwraca uwagę na takie elementy jak: funkcjonowanie w grupie, poruszanie się bez piłki czy osobowość, po czym tworzy raport. Trzecim etapem jest weryfikacja przeszłości. Jeśli po rozmowach z trenerami, znajomymi zawodnika nadal jest zainteresowany graczem, przychodzi czas na kontakt z jego agentem. Po spotkaniu z piłkarzem jego rola się kończy, decyzja należy do klubu. Tak przynajmniej było do tej pory. – Samuel ma duże doświadczenie w trochę poważniejszej piłce niż nasza. Odnosił sukcesy na polu obserwacji zawodników, ma do tego oko. Potrzebował też nowych wyzwań i tak się nasze drogi połączyły. Ma niestandardowe spojrzenie, a takiego potrzebujemy. Aby wyprzedzić konkurencję, niekoniecznie trzeba sięgać po oczywiste transfery, tylko szukać głębiej piłkarzy pasujących do naszej koncepcji – mówi Niewmierzycki.

Inny świat

Praca w Częstochowie zapewne będzie się mocno różnić od standardów wypracowanych w Belgii. To przede wszystkim inne realia finansowe. Gent miał zdecydowanie większy budżet transferowy od Rakowa, choć i tam ewentualne pomyłki wiązały się z poważnymi konsekwencjami. – Im jesteś mniej zamożny, tym większe znaczenie ma zarządzanie ryzykiem. Mający mniej pieniędzy na transfery, siłą rzeczy ryzykują więcej – mówi Cardenas.

Raków na tegoroczne wzmocnienia przeznaczył rekordowe 4,7 mln euro. Aby w Gent znaleźć okienko poniżej 10 mln, trzeba się cofnąć w czasie o blisko 8 lat. To pokazuje, jaka jest skala różnicy. Posada dyrektora sportowego brzmi jednak dumnie, a tam nie miał co o niej marzyć. – Na pewno nie będziemy się zamykać na jeden konkretny kierunek transferowy. Samuel też będzie musiał przełożyć myślenie z klubu belgijskiego na polską Ekstraklasę. Na pewno nie będzie to taka sama praca, bo obie ligi jednak dość znacznie się różnią. Ma jednak duży potencjał intelektualny i powinien sobie z tym poradzić bez problemu – stara się rozwiewać ewentualne obawy Wojciech Cygan.

– Młody wiek nie powinien być przeszkodą, bo w dzisiejszym świecie odgrywa on coraz mniejszą rolę. Raków lubi stawiać na młodych ludzi. Takich, w których widzi potencjał na przyszłość. Teraz zdecydowanie wcześniej rozpoczynają oni swoje kariery. Znajomość kilku języków też staje się coraz powszechniejsza. Czy to był dobry ruch, czy niekoniecznie, przekonamy się za jakiś czas, ale zakładam, że nikt przypadkowo do Rakowa by nie trafił. Na pewno są z nim związane spore nadzieje i ja też jestem optymistą. Piłkarzy weryfikuje boisko, a dyrektorów sportowych trafność transferów – uważa były gracz Rakowa Robert Załęski.

Oczekiwania

Cardenas oficjalnie pracę w Rakowie rozpoczął 1 grudnia. Podpowiadał częstochowianom jednak już wcześniej, ponieważ jak sam podkreśla, „dział skautingu i pion sportowy działa w Rakowie bardzo dobrze”. Za najbliższe okno transferowe odpowiada już osobiście. – Zimą dostępność zawodników jest zdecydowanie mniejsza, ale pierwszych ruchów możemy spodziewać się po tej rundzie. Rewolucji nie będzie, jednak kilku transferów chcemy dokonać. Po sugestii Samuela z jednego zawodnika zresztą już zrezygnowaliśmy, bo od jakiegoś czasu konsultujemy z nim pewne kwestie. Zdążył się trochę wdrożyć w nasz system – zdradza nam Niewmierzycki.

Konfliktu nie będzie?

Pewne obawy może wzbudzać silna osobowość Cardenasora oraz konflikt z trenerem w poprzednim miejscu pracy. Dawid Szwarga nie jest wprawdzie Markiem Papszunem, który miał w Rakowie władzę absolutną, ale również nie pozwolił sobie na podważanie swoich kompetencji. – Po ich spotkaniu wiem, że współpraca powinna być na dobrym poziomie. Osoby zarządzające klubem na pewno będą ich mocno wspierać, aby poziom drużyny był jak najwyższy – uspokaja Cygan. Problemu na tej płaszczyźnie nie widzi również zapytany przez nas Załęski, który zwraca uwagę na jeszcze jeden szczegół: – Konflikt w Gent o niczym nie świadczy. Może się okazać, że z Dawidem Szwargą będą nadawali na tych samych falach. Ktoś odchodzi z jednego klubu, a w drugim może mu iść jeszcze lepiej. Spójrzmy na Śląsk Wrocław, gdzie świetnie odnalazł się były dyrektor Rakowa David Balda. Czy przed nowym szefem pionu sportowego w Rakowie zostały wyznaczone jakieś konkretne cele? – Nawet jeśli tak, to na pewno teraz nie będziemy o nich publicznie rozmawiać. Podobnie jak o tym, jakich zawodników szukamy. Wierzę, że wzmocnimy kadre optymalnie – kończy Cygan.

LICZBA

3.

DYREKTOREM SPORTOWYM

Rakowa zatrudnionym przez Michała Świerczewskiego jest Samuel Cardenas. Przed nim funkcję tę sprawowali: David Balda (04-07.2016) i Robert Graf (10.2021-09.2023).

Mariusz Rajek

@przeglad





Gwizdy zamieniłem na oklaski

ŁKS mnie wychował, dał przepustkę do rozpoczęcia fantastycznej przygody z piłką. W Legii osiągałem sukcesy, które zapamiętam do końca życia – mówi **były bramkarz Zbigniew Robakiewicz**, który przez większość swojej kariery związany był z ŁKS i Legią.

MACIEJ FRYDRYCH: W niedzielę ŁKS podejmuje Legię. W Łodzi zmierzą się zespoły, które nie mogą być zadowolone z wyników w ostatnich tygodniach. Oba kluby solidarnie gubią punkty.

ZBIGNIEW ROBAKIEWICZ (BYŁY BRAMKARZ LEGII I ŁKS): Szczególnie łodzianom się nie wiedzie. Nie mogą się przełamać. Sporo ostatnio przegrywają, nawet remisy stają się dla nich nieosiągalne. Aż dziewięć punktów straty do Cracovii, która znajduje się tuż nad strefą spadkową – to dużo. Szkoda mi łodzian.

Zespół Piotra Stokowca, który zastąpił Kazimierza Moskała, nie wygrał żadnego z 11 ostatnich meczów ligowych. Trudno sobie przypomnieć tak słabą serię łodzian.

Nawet takiej nie pamiętam. Wygląda to źle, więc przed trenerem i zespołem bardzo trudne wyzwanie.

Aktualny sezon może przypominać rok 2020, gdy ŁKS – zaraz po awansie do Ekstraklasy – spadł do I ligi. W Łodzi nie nauczyli się na błędach?

Szkoda, że klub nie wyciągnął wniosków. Ponownie zostały popełnione błędy, z powodu których drużyna znajduje się w takim, a nie innym miejscu.

W sezonie 2019/20 trener Kazimierz Moskał również został zwolniony, tyle że pod koniec rozgrywek. Zastąpił go Wojciech Stawowy. Czy teraz decyzja o zmianie szkoleniowca została podjęta za szybko?

Trener musi mieć szansę dłużej pracować z zespołem. Moskał ponownie awansował z ŁKS do Ekstraklasy, więc jego pożegnanie nastąpiło za szybko. Wszyscy myślą, że nowy szkoleniowiec od razu poukłada zespół, a drużyna wróci na właściwe tory, pojawiają się wyniki, ale często to tak nie wygląda. W tej sytuacji efekt nowej miotły nie zadziałał. Szkoleniowiec potrzebuje czasu.

Problemy, choć nieco mniejsze, ma Legia, która do liderującego Śląska traci dziewięć punktów. Mistrzostwo Polski ucieka warszawiakom?

Legia ma na tyle mocny zespół, że do końca sezonu może skutecznie gonić lidera, na pewno nie odpuści. Wierzę, że warszawiacy zdobędą mistrzostwo Polski. Na razie nic nie jest przesądzone.

Kiedyś mówiło się, że „Legia bramkarzami stoi”. Z czego to wynikało?

Przede wszystkim chodziło o rywalizację, ale zdrową, która jest ważna. Kiedy o miejsce w pierwszym składzie walczyłem z Maciejem Szczęsnym, obaj poprawialiśmy swoje umiejętności. Legia zawsze miała świetnych bramkarzy. Był Władysław Grotyński, Jacek Kazimierski, później pojawiali się następni.

Swego czasu współpracował pan z Krzysztofem Dowhaniem. Na czym polega fenomen tego trenera, który wychował wielu świetnych bramkarzy?

Mimo że nie pracowaliśmy długo, poznałem jego świetny warsztat. Przykłada się do pracy, co później gwarantowało wyniki. Wystarczy popatrzeć na golkiperów Legii. Kacper Tobiasz to solidny bramkarz. Z pewnością nie raz popełni błąd, bo w wieku 21 lat takie będą mu się przydarzały. Widać, że ma potencjał, co z pewnością jest sporą zasługą trenera Dowhania.

Niekiedy powtarza się stwierdzenie, że Tobiasz nie dokonuje cudów w bramce Legii.

Bramkarz to ostoja. Musi radzić sobie w trudnych sytuacjach w każdym meczu, powinien dawać impuls reszcie drużyny. Bardzo ważna jest koncentracja. W kwestii Tobiasza trzeba pamiętać o jego wieku, swoje musi wpuścić. Przed nim jeszcze cała kariera.

Mówił pan o rywalizacji. Czy ona jest ważna w młodym wieku? W tym sezonie Tobiasza niekiedy zastępował Dominik Hładun.

Kiedy rywalizowałem o miejsce w składzie ze Szczęsnym, trener Krzysztof Etmanowicz powiedział, że stawia na mnie, ale jeden błąd spowoduje utratę miejsca w składzie. Zagrałem 12 świetnych spotkań, nagle przyszedł 13. mecz, dla mnie ta liczba zawsze była pechowa. Rywalizowaliśmy ze Stalą Stalowa Wola. Wybroniłem rzut karny, ale później po moim błędzie straciliśmy gola. To spotkanie spowodowało, że nie wystąpiłem w następnym meczu. To nie było odpowiednie podejście. Dobrze, że teraz w Legii jest inaczej.

Co powiedziałby pan młodemu bramkarzowi? Na przykład Tobiaszowi, który w wieku 21 lat jest pierwszym golkiperem warszawiaków, może niedługo wyjedzie z Polski.

Musi być silny psychicznie. Przed bramkarzem jest dziesięciu zawodników. On jest ostatnim, za nim jest już tylko linia bramkowa. Każdy z piłkarzy z pola może się pomylić, ale on nie, bo zespół straci gola. Tobiasz musi być pozytywnie nastawiony. Jeżeli zawali bramkę, nie może tego rozpamiętywać, czasu nie cofnie. Po popełnionym błędzie łatwo jest się poddać. W takim momencie trzeba pokazać mocną psychikę, bo zespół potrzebuje cię jeszcze bardziej.

Pan miał okazję trenować Arkadiusza Malarza.

W GKS Bełchatów brakowało nam golkipera, dlatego sprowadziliśmy Arka. Przyjechał do klubu, szybko stwierdził, że nam pomoże. Grał świetnie, ale przede wszystkim pamiętam go jako dobrego człowieka.

Później wiele osiągnął z Legią, w której teraz jest trenerem bramkarzy.

Pamiętam, że podczas obozu przygotowawczego w Turcji wpłynęła dla niego oferta z Legii. Zastanawialiśmy się, czy ją zaakceptować. Od razu powiedziałem, że tak. Były głosy sprzeciwu, ale chciałem, by Arek rozwijał się na wyższym poziomie. Można powiedzieć, że to do mnie należała decyzja.

Okazała się trafna.

Dla Arka, ale również GKS. Nie wiadomo, czy w naszym zespole dalej by się rozwijał, a w Legii wskoczył na jeszcze wyższy poziom.

Czy spodziewał się pan, że w przyszłości Malarz będzie trenerem w Legii?

Tak, bo od początku miał do tego predyspozycje. Na każdym treningu dawał z siebie wszystko i z ogromną dokładnością wykonywał wszelkie ćwiczenia. Był tytanem solidnej pracy. Wiedziałem, że za parę lat będzie szkolił następnych golkiperów. Zwłaszcza gdy trafił do Legii, spodziewałem się, że zostanie w klubie po zakończeniu kariery.

Który mecz ŁKS z Legią szczególnie zapadł panu w pamięć?

W 1994 roku, gdy w barwach Legii pokonaliśmy ŁKS w Łodzi 1:0. Pamiętam również, że kiedyś na tym samym stadionie zawałem bramkę w bardzo ważnym meczu. Wcześniej nie wybroniłem jedenastki, ale później zawodnik zmieścił piłkę między moimi nogami. Ten gol obciążał moje konto.

Urodził się pan w Opocznie, więc w mieście południkowo położonym między Łodzią a Warszawą. Czy kariera w łódzkich klubach i Legii była panu pisana?

Mogło tak być. ŁKS mnie wychował, dał przepustkę do rozpoczęcia fantastycznej przygody z piłką. W Legii osiągałem sukcesy, które zapamiętam do końca życia. Poznałem świat, mogłem zagrać w europejskich pucharach, rywalizować z Manchesterem United, a w 2001 roku od Canal+ otrzymałem Oscara dla najlepszego bramkarza sezonu. Tylko jeden golkiper w historii Legii rozegrał więcej spotkań ode mnie i to nieznacznym – Jacek Kazimierski (259 spotkań). Ja wystąpiłem z „elką” na piersi 250 razy, trzecie miejsce zajmuje Władysław Grotyński (199 spotkań). Możliwe, że nikt mnie już z podium nie zrzuci. Wiele zawdzięczam ŁKS i Legii, oba kluby zapamiętam do końca życia.

Jak wychowanek ŁKS odnalazł się w Legii?

Mój transfer spowodowany był służbą wojskową. Wiele osób było zaskoczonych, obawiali się, jak zostanie przyjęty w Warszawie. Wszedłem do szatni Legii, gdzie było wielu reprezentantów Polski, ale każdy bardzo dobrze mnie traktował. Później, gdy wróciłem do ŁKS, również nie miałem żadnego konfliktu. Ani w Warszawie, ani w Łodzi nikt mi nie ubliżał. Niczego nie musiałem się obawiać, bo w obu tych miejscach kultura była na najwyższym poziomie.

Nawet ze strony kibiców?

Wszędzie, gdzie byłem, miałem szacunek. Na ulicy kibice grzecznie się ze mną witali i rozmawiali. Nawet gdy przebywałem w Łodzi, reprezentując barwy Legii, zawiści nie odczułem.

Juliusz Kruszankin opowiadał w lipcowym wywiadzie dla „PS”, że gdy przeniósł się z ŁKS do Legii, łódzka prasa nazywała go zdrajcą, a młodzi kibice pluli na kłamek jego mieszkania.

Ja takich sytuacji nie miałem. Po każdej łódzkiej dzielnicy mogłem poruszać się ze spokojem. To wynikało z mojego charakteru. Nigdy nie powiedziałem złego słowa na temat Legii, ŁKS czy Widzewa, w którym również grałem. W każdej z tych drużyn broniłem najlepiej, jak tylko potrafiłem. Gdzie nie pojedzie, każdy pozytywnie mnie wspomina.

Kibice Widzewa nie gwizdali na pana w pierwszych meczach?



Zbigniew Robakiewicz trenuje obecnie bramkarzy w SMS Łódź.

foto © Marcin Szymczył/FotoPK

Tylko podczas debiutu, ale szybko zapracowałem na ich szacunek. Miałem pomóc zespołowi w utrzymaniu. Dobrze broniłem, więc zyskałem sympatię kibiców. Każdy widział, że mi zależy, gwizdy zamieniły się na oklaski. Bramkarz zawsze może się obronić grą. Jeżeli słabo prezentujesz się na murawie, fani się odwrócą. Do dziś mieszkam w Łodzi i z kibicami ŁKS oraz Widzewa dobrze żyję.

Co u pana słychać? Pańska przygoda trenerska z Widzewem Suwałki zakończyła się ponad pięć lat temu.

Z żoną otworzyliśmy dwa stanowiska gastronomiczne. Dodatkowo trenuję młodych bramkarzy w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Łodzi.

Czyli wiedzę i umiejętności wciąż przekazuje pan młodszemu pokoleniom?

Oczywiście, że tak. Staram się, ale to młodzi muszą chcieć słuchać.

Maciej Frydrych

@MaciejFrydrych



W reprezentacji Polski zadebiutowałem wcześniej niż w PKO BP Ekstraklasie. W pewnym momencie nie dźwignąłem tego mentalnie – mówi **Rafał Leszczyński**, który w tym sezonie jest jednym z najważniejszych piłkarzy lidera tabeli Śląska Wrocław.

KAROL BUGAJSKI: Bramkarz Śląska Wrocław ma spokojne życie?

RAFAŁ LESZCZYŃSKI: Patrząc na ten sezon, myślę, że tak. Nie ma wielu powodów do nerwów po meczu, nasza gra defensywna funkcjonuje bardzo fajnie i oby tak dalej. Jest to nasz klucz do dobrych wyników.

Pytam nieprzypadkowo, bo Śląsk w tym sezonie wypracował sobie patent wygrywania jednym trafieniem i skuteczną obroną własnej bramki. Wszystko cały czas jest na styku, nie denerwuje pana to i nie podrażnia jako bramkarza?

Raczej nie, chociaż wiadomo, kiedy prowadzi się jedną bramką, to ta koncentracja cały czas musi być wysoka i nie można pozwolić sobie na chwilę rozluźnienia. To jednak chyba dobrze, bo człowiek cały czas musi być pod prądem i gotowy do działań. Najważniejsze są punkty i na razie udaje nam się punktować na bardzo dobrym poziomie.

Początek sezonu był jednak trudny zarówno dla pana, jak i całej drużyny. Po dwóch meczach stracił pan miejsce w podstawowym składzie na rzecz wypożyczonego z Rakowa Częstochowa młodzieżowca Kacpra Trelowskiego. Trener Jack Magiera jakoś to uzasadnił?

Odbyliśmy rozmowę, była bardzo krótka. Trener po prostu zakomunikował, że będzie zmiana. W zasadzie na tym rozmowa się zakończyła, nie było z jego strony żadnego tłumaczenia ani niczego innego. Takie jest życie, to trener jest szefem i ma prawo do takich decyzji.

A wiedział pan, że to będzie jednocieczowa nieobecność?

Nie, raczej nie. Wiadomo, że gdyby Kacper zagrał dobry mecz, to pozostałby w bramce. Oczywiście życzyłem mu udanego występu, ale było inaczej i szybko mogłem wrócić między słupki.

Jakie myśli miał pan wtedy? Początek sezonu nie był w pańskim wykonaniu najlepszy, bramka z Koroną (1:1) stracona w pechowych okolicznościach, później błędy w derbach z Zagłębiem (1:2).

Na pewno spory niedosyt, bo sam wiem, że stać mnie na więcej, ale czasami tak jest, że pewne rzeczy nie wychodzą. Trzeba to zaakceptować. Jak to mówią – nie myli się ten, co nic nie robi.

Po słabym starcie sezonu znowu wydawało się, że to będzie dla Śląska trudny rok, jednak mijająca runda była fantastyczna. Co się zmieniło w porównaniu do poprzedniego sezonu? Potrafiłby pan wskazać jedną rzecz, która przychodzi do głowy w pierwszej kolejności?

Myślę, że na pewno zmieniły się osoby, które siedzą w szatni, a po zakończeniu poprzedniego sezonu w górę poszedł też mental i to nas wzmocniło. Wyszliśmy z niemałych tarapatów, co też jest doświadczeniem na przyszłość. Teraz gramy spokojniej, wiemy, na co na stać i cieszymy się z tego, że tabela wygląda tak, jak wygląda.

Sezon, na który czekał pan całą karierę?

Prawda, to praktycznie pierwszy sezon w mojej karierze, w którym jestem podstawowym bramkarzem w PKO BP Ekstraklasie. W reprezentacji Polski zadebiutowałem wcześniej niż w najwyższej klasie rozgrywkowej. Na ten moment pozostaje się tylko cieszyć i trzeba to pielęgnować, dbać każdego dnia, żeby było tylko lepiej.

Namówię pana na rozmowę o celach w tym sezonie czy za trenerem Jackiem Magierą będzie pan powtarzał, że liczy się tylko najbliższy mecz?

Myślę, że cała drużyna patrzy w ten sposób. Nie zaprzatamy sobie teraz głowy tabelą, naprawdę nie analizujemy, co może być. Tabela najważniejsza jest w maju, tylko i wyłącznie wtedy się dla nas liczy. Teraz, zgoda, wygląda to fajnie, ale obecna sytuacja jeszcze niczego nam nie gwarantuje.



Na pozycji bramkarza mamy świetnych fachowców, są przede wszystkim młodszy ode mnie. Trzeba być realistą, w klubie pracować jak najlepiej, a nie myśleć o reprezentacji, bo to zamknięty temat.

Śląsk w ostatnim czasie traci bramki głównie po rzutach karnych. To sprawia, że zaczął pan przykładać większą wagę do trenowania jedenastek?

Trochę się śmieję, że trener bramkarzy Maciej Sikorski przyciąga te karne, analizując je w tygodniu. Żartowałem ostatnio, żebyśmy nie robili tych analiz i nie przyciągali takich sytuacji na meczach. Mówiąc całkiem poważnie, to jednak oczywiście nie spędza mi snu z powiek, to element piłki nożnej, trzeba z tym żyć. Wiadomo też, że dwa-trzy karne w tej rundzie były dosyć problematyczne. Gdybyśmy porównali te sytuacje do innych, które zdarzają się w PKO BP Ekstraklasie, to chyba można pokusić się o tezę, że nie zawsze były odgwisdywane słusznie.

W tym sezonie dużą rolę w Śląsku odgrywa również wyróżniony kapitańską opaską Erik Exposito. Pan ma możliwość porównać jego postawę w szatni, bo w poprzednim sezonie przed przyjściem trenera Jacka Magiera jego losy bardzo różnie się układały. Jak pan postrzega hiszpańskiego napastnika po kilkunastu miesiącach wspólnej gry?

Jeśli chodzi o jego zachowanie w szatni, to za wiele się nie zmieniło. Jasne, teraz Erik wziął trochę większą odpowiedzialność na siebie, jednak na co dzień nie ma większych zmian w jego postawie. Zawsze jest pogodny, skory do żartów, to pozytywna jednostka w naszej drużynie. Moim zdaniem zdał sobie sprawę, że jeśli będzie dobrze wyglądał i robił liczby, to będzie miał szansę podpisać najlepszy kontrakt w życiu. Jest skupiony na ciężkiej pracy, na treningach zasuwa i przynosi to efekty.

Wspomniał pan o reprezentacji Polski, to już dziesięć lat od pańskiego sensacyjnego powołania przez Adama Nawatkę. Z perspektywy czasu tamta sytuacja bardziej panu zaszkodziła czy pomogła?

Trudno powiedzieć, pewnie po części jedno i drugie. Stałem się rozpoznawalny, ale muszę przyznać, że w pewnym momencie nie dźwigną-

łem tego mentalnie. Dopiero teraz, kiedy zacząłem dojrzywać, z biegiem czasu przestałem wracać do tamtych chwil.

A myśli o grze w reprezentacji Polski jeszcze się u pana pojawiają?

Nie zaprzatam sobie tym głowy. Na pozycji bramkarza mamy świetnych fachowców, są przede wszystkim młodszy ode mnie. Trzeba być realistą, w klubie pracować jak najlepiej, a nie myśleć o reprezentacji, bo to zamknięty temat.

Nie ma pan żalu do siebie, że w trakcie kariery nie było okazji wyjechać za granicę?

Nie żałuję czegoś, co się nie wydarzyło. Cieszę się chwilą i tym, co jest w tym momencie. Staram się mocno stąpać po ziemi, to wyjątkowa chwila, więc życzylibym sobie, żeby trwała jak najdłużej.

W Trelowskim widzi pan siebie sprzed tych dziesięciu lat? Obserwując tego młodego bramkarza, może pan porównywać go do siebie czy to już inne pokolenie?

Wydaje mi się, że każdy z nas to inny typ osobowości. Kacper jest bardziej wyciszony ode mnie, mniej ekspresyjny. Mnie jest wszędzie pełno, to są główne różnice.

Jeszcze przed najbliższym meczem z Koroną dowiemy się oficjalnie, że przedłuży pan kontrakt ze Śląskiem?

Myślę, że wszystko znajduje się na dobrej drodze. Chęć dalszej współpracy jest z obu stron, zostały szczegóły, więc myślę, że będziemy mogli niedługo ogłosić pozytywne wieści.

W szesnastu meczach tego sezonu PKO BP Ekstraklasy Rafał Leszczyński puścił tylko jedenaście goli i siedem razy zakończył mecz bez straty bramki.

Karol Bugajski

@bugajski_karol



Waldek King znowu w Chorzowie

Waldemar Fornalik był trenerem Ruchu łącznie przez blisko sześć lat i nigdzie nie wyrobił sobie statusu takiej legendy jak przy Cichej. W piątek po raz pierwszy zagra przeciwko Niebieskim w Chorzowie po odejściu z klubu w sezonie 2016/17.



W pierwszej kadencji w roli trenera Ruchu Waldemar Fornalik miał średnią 1,63 punktu na mecz. W drugiej już tylko 1,23.

Historia Waldemara Fornalika w Ruchu Chorzów to rozstania, powroty oraz wzloty i upadki, którymi śmiało można byłoby obdzielić dzieje kilku innych klubów PKO BP Ekstraklasy. Obecny szkoleniowiec Zagłębia Lubin na ławce Niebieskich zadebiutował na początku maja 2009 roku, a trzy lata później skorzystał z propozycji pracy w reprezentacji po nieudanych mistrzostwach Europy na polsko-ukraińskich boiskach. Po zakończeniu przygody z kadrą wrócił na Cichą, jednak jego druga przygoda z czternastokrotnym mistrzem Polski miała zdecydowanie mniej przyjemne zakończenie.

Śląski przed modernizacją

– To trener, który ma bardzo solidny warsztat. Jest bardzo konsekwentny, dokładny w swoim postępowaniu zarówno treningowym, jak i praktycznym. Raczej surowy w zachowaniu, właściwie nie pojawiały się żarty czy momenty rozluźnienia z jego strony podczas pracy. Surowy, ale i sprawiedliwy, tak proszę napisać – podkreśla Andrzej Urbańczyk, kierownik drużyny Ruchu Chorzów. On pamięta trenera Fornalika z czasów wspólnej pracy przy Cichej i już cieszy się na ponowne spotkanie przy okazji piątkowego meczu 18. kolejki PKO BP Ekstraklasy, w którym Niebiescy podejmą Zagłębie Lubin. Fornalik swoją złotą kartę w barwach klubu z Chorzowa, która po latach doprowadziła go do szlachetnego tytułu Waldka Kinga, pisał oczywiście również jako piłkarz, a okres jego gry przypadł między innymi na ostatnie mistrzostwo Polski Ruchu zdobyte w sezonie 1988/89. Przeciwko Niebieskim miał już okazję zagrać w 1. kolejce trwającego sezonu w Lubinie (2:1), jego przyjazd do Chorzowa to jednak zupełnie inna skala wydarzeń. Starcie uświetni legendarna arena, jaką bez wątpienia jest Stadion Śląski, gdzie Fornalik miał okazję prowadzić Ruch w pierwszych tygodniach swojej pracy na Śląsku, kiedy Kocioł Czarownic dopiero czekał na gruntowną modernizację. W maju 2009 roku jego Ruch w meczach o punkty zremisował z Piastem (0:0) i wygrał z ŁKS (2:0), a w finale Pucharu Polski uległ Lechowi (0:1). – Klub zawsze o nim pamięta jako o swojej legendzie, od kilku lat cyklicznie spotykamy się z zasłużonymi piłkarzami oraz trenerami i on zawsze był zapraszany. Czasami jest okazja się zobaczyć, więc kontakt mamy, a w piątek oczywiście bardzo fajnie będzie spotkać się na Stadionie Śląskim i pewnie trochę wspominać, jeśli będzie na to czas – podkreśla kierownik Urbańczyk.

Szansa sportowa i życiowa

Fornalik najbliższej przerwania wieloletniej serii Ruchu bez mistrzostwa Polski był w 2012 roku, kiedy już jako jego szkoleniowiec do ostatniej kolejki ścigał się o złote medale ze Śląskiem Wrocław. Wtedy chorzo-

wianom musiało wystarczyć srebro, co jednak i tak było nie małym osiągnięciem, gdy weźmie się pod uwagę ówczesną finansowo-organizacyjną sytuację klubu.

– Okres naszej współpracy w Ruchu był przeplatany sukcesami i walką o utrzymanie po słabszym roku, zawsze jednak potrafiliśmy zrobić lepszy wynik w nowych rozgrywkach. Szkoda, że wtedy nie udało nam się zdobyć mistrzostwa, ale trener Fornalik dokonał przecież tego siedem lat później z Piastem Gliwice. Cierpliwy, wymagający trener, dobry fachowiec z odpowiednim warszatem. Potrafił wyciągnąć z każdego zawodnika to, co ma najlepsze, nieważne, czy wracał po kontuzji, czy dopiero zaczynał grę na najwyższym szczeblu, tak jak ja w wieku 25 lat – mówi Arkadiusz Piech, który właśnie w Ruchu Fornalika na początku 2010 roku zadebiutował w Ekstraklasie. Dla napastnika szansa od aktualnego trenera Zagłębia była pożyteczna nie tylko w wymiarze sportowym, ale co jeszcze ważniejsze życiowym, a ten za zaufanie w każdym kolejnym sezonie odpłacał się lepszą skutecznością, aż w końcu w sezonie wicemistrzowskim zdobył w lidze dwanaście bramek.

Remedium na problemy

Tamte sukcesy doskonale pamięta także Rafał Grodzicki, który dowodził defensywą Ruchu Fornalika, a sam w Chorzowie pojawił się jeszcze wcześniej od szkoleniowca, bo już w rundzie wiosennej sezonu 2007/08 po transferze z GKS Bełchatów. – To był trener bardzo wymagający, czasami też bardzo surowy, ale na pewno miał też taką czułość do szatni, kiedy trzeba wejść i podnieść głos, a kiedy tego nie robić. Umiał zaufać swoim zawodnikom i był jednocześnie cierpliwy. Bardzo dobre połączenie wielu cech osobowościowych, które przydają się w tym zawodzie. Dla mnie to był jeden z tych trenerów, z którymi najlepiej mi się współpracowało – podkreśla Grodzicki. O cierpliwości mówi również Urbańczyk, który przypomina, jak wiele w pracy trenera Fornalika w Ruchu zależało także od jego sztabu szkoleniowego na czele z bratem Tomaszem. – Czy jest spokojny, to trudno powiedzieć, bo niektórzy tłumią to w sobie, a niektórzy więcej pokazują na zewnątrz. Miał natomiast swój sposób na nawiązywanie relacji z zawodnikami, na przykład nowymi, którzy dołączali do Ruchu. Myślałem jednak, że to zawsze zasługa całego sztabu szkoleniowego, a nie tylko pierwszego trenera – podkreśla kierownik drużyny Niebieskich.

Podobnego zdania jest Grodzicki, który nie boi się powiedzieć, że Fornalik był swoistym remedium na wieloletnie, rozmaite problemy Ruchu. – Zawsze mogłem na niego liczyć, wiedziałem, że kiedy będę bez formy, to zrobi wszystko, żebym wyglądał dobrze, a kiedy byłem w dobrej dyspozycji, to z kolei starał się, żebym nie odleciał. Trener, który potrafił najpierw świetnie dobrać ludzi do swojego zespołu, a później odpowiednio przygotować motorycznie, mentalnie do tego, by mimo przeciwności losu, jakie zawsze mieliśmy w Ruchu, walczyć o najwyższe cele – ocenia były stoper Niebieskich.

Cierpliwość się skończyła

Fornalik z Ruchem rozstawał się dwa razy. Najpierw latem 2012 roku, kiedy po sezonie wicemistrzowskim i nieudanych mistrzostwach Europy pod wodzą Franciszka Smudy z PZPN zgłosił się do niego ówczesny prezes Grzegorz Lato. – Wszyscy mieliśmy wtedy świadomość, że każdy trener zawsze marzy o takiej propozycji. Fornalik z niej skorzystał, miał bazę w postaci wcześniejszych sukcesów z naszym zespołem i zdobył na pewno kolejne cenne doświadczenia – mówi Piech.

Waldek King z kadrą pracował przez niespełna półtora roku i nie wywalczył awansu na mistrzostwa świata w Brazylii w niełatwej grupie z Anglią oraz Ukrainą. Jesienią 2014 roku wrócił do Chorzowa, a niedługo po nim między innymi Grodzicki, który przyznaje, że to nazwisko szkoleniowca skłoniło



foto © Boris Gopalski/Cyfraport, Norbert Barczyk/Prasfocus

go do ponownego związania się z Niebieskimi. – Mój powrót do Chorzowa to przede wszystkim była zasługa trenera Fornalika. Na początku rundy jesiennej w Śląsku Wrocław złamałem palec u stopy, zagrałem jeszcze dwa mecze na środkach przeciwbólowych, ale później nie dałem już rady funkcjonować i musiałem się poddać. Po rundzie pojawił się kontakt ze strony trenera Fornalika i pytanie, czy nie wróciłbym do Ruchu, gdzie jest moje miejsce, a co najważniejsze spędziłem wcześniej już kawał czasu. To chyba było kluczowe, że podjąłem decyzję o rozwiązaniu kontraktu ze Śląskiem – mówi Grodzicki.

Na ostatniej prostej sezonu 2016/17 cierpliwość Fornalika wobec wszechobecnej prozorki panującej w Ruchu dobiegła jednak końca. Po zakończeniu sezonu zasadniczego (czyli na siedem kolejek przed końcem ligi w sezonie) Fornalik zrezygnował z pracy przy Cichej, wydając głośne oświadczenie, w którym nie ukrywał przyczyn swojej decyzji. Na ławce Ruchu zastąpił go Krzysztof Warzycha, ale zasłużonego klubu nie utrzymał, a Ruch do PKO BP Ekstraklasy wrócił dopiero w tym roku. – To na pewno była trudna sytuacja, można powiedzieć, że losy Ruchu wtedy zostały już praktycznie przesądzone. Było bardzo trudno, zaległości finansowe, różnego rodzaju problemy, które piętrzyły się w tamtym czasie. Skończyło się tak, że odszedł z klubu, być może miał jeszcze nadzieję, że to będzie impuls, który pobudzi drużynę w walce o utrzymanie. Czas pokazał, że to się nie udało – kończy kierownik Urbańczyk.

Zagłębie Lubin pod wodzą Waldemara Fornalika zdobywa średnio 1,53 punktu na spotkanie.

Karol Bugajski

@bugajski_karol



Prędzej czy później wrócę do Polski

DANIEL SOBIS (DZIENNIKARZ ELEVEN SPORTS): Śledzi pan mecze Ekstraklasy?

AIRAM CABRERA: Mam aplikację w telefonie. W Polsce spędziłem naprawdę przyjemny czas i wiąże się z nią bardzo dużo miłych wspomnień. Oglądam czasami mecze, a z wynikami i tabelą jestem na bieżąco.

Grat pan w Koronie Kielce, Cracovii i Wiśle Płock.

Której z tych drużyn wyniki sprawdza pan najpierw?

Korony. Mam świetne relacje z Pawłem Golańskim, aktualnym dyrektorem sportowym w klubie, któremu mocno kibicuję. Czasami rozmawiamy o piłce, o konkretnych piłkarzach, zasięga mojej opinii. Jak mogę pomóc, to zawsze jestem do dyspozycji. Tak było w przypadku Nono, którego rekomendowałem Koronie, a który jest moim przyjacielem. W Cracovii spędziłem również fantastyczny czas, zresztą wtedy byłem w najlepszej formie. Piękne miasto, żyło nam się tam bardzo dobrze. Ale z mojej ekipy został chyba tylko jeden zawodnik, więc mam mocno ograniczony kontakt. Bardzo chciałbym odwiedzić wkrótce klub, zobaczyć, jak wygląda nowy obiekt treningowy. Może się uda.

W Polsce zaadaptował się pan w miarę szybko.

Wielu piłkarzy potrzebuje znacznie więcej czasu.

W czym tkwił pana sekret?

Z tą moją aklimatyzacją też do końca nie było kolorowo, zwłaszcza na początku, kiedy przybyłem do Kielc. Wtedy po raz pierwszy wyjechałem z Hiszpanii, więc jak doleciałem do Polski, wszystko było inne – kraj, kultura, jedzenie, ludzie. Ale ja zawsze powtarzam, że aby dobrze się zaklimatyzować w jakimś kraju, trzeba mieć otwarty umysł. Ważny jest też fakt, do jakiego miasta się przyjeżdża. Jak są to duże aglomeracje, to wiadomo, że większość ludzi porozumiewa się też w innych językach, są bardziej otwarci. W Kielcach to nie takie łatwe. Komunikacja na początku była dla mnie trudna, ale z każdym dniem starałem się zintegrować nie tylko z zespołem, z kolegami z drużyny, ale także z miastem, ludźmi. I finalnie się udało. Ale z tym jest bardzo różnie, wiadomo, że gracze z Hiszpanii piłkarsko dają jakość, ale adaptacja w obcym miejscu może być kłopotem, to jest bardzo indywidualna sprawa.

Czy po zakończeniu kariery zamierza pan być trenerem?

Chciałbym, dlatego że mógłbym przekazywać innym to, czego ja się nauczyłem. I dobrych rzeczy, ale też tych złych, aby przestrzec. Jednak od wielu lat wiodę życie piłkarza, a to jest czas wiecznie na walizkach, regularnie zmieniam miejsce, co powoduje niemały stres, więc myśląc o pracy trenera, trzeba pamiętać, że będzie podobnie. A może i nawet gorzej. Bo piłkarz ma kontrakt na określony czas i ta umowa musi być uszanowana. W przypadku trenera wystarczy, że przegrasz kilka spotkań i już wysyłają cię do domu. A to jest logistycznie zwykle skomplikowane, zabrać rodzinę, dzieci ze szkoły i tak dalej. I to mnie trochę blokuje. Bardziej interesuje mnie bycie dyrektorem sportowym, praca w dziale skautingu, zwłaszcza wyłapywanie talentów. Wydaje mi się, że mam do tego predyspozycje i dobre oko. I któregoś dnia chciałbym tego spróbować.

Przed przyjazdem do Polski znał pan jakiegos polskiego piłkarza?

Niewielu. Oczywiście Roberta Lewandowskiego znałem. Ale pamiętałem też Wojciecha Kowalczyka za jego wasy. Także Tomasza Frankowskiego, który grał w Tenerife. I niewiele więcej. Nie miałem pojęcia ani o Polsce jako kraju, ani o stylu piłki nożnej, życiu. Jeżeli chodzi o Hiszpanów, to był tu już Gerard

To dla mnie poniekąd zaskoczenie, że Legia czy Lech nigdy mnie nie chciały – mówi „PS” **Airam Cabrera**, jeden z najsukceszniejszych hiszpańskich napastników, jacy występowali na boiskach PKO BP Ekstraklasy.



fot. Tomasz Markowski/newspix.pl

Badia, który przybył wcześniej i więcej nie pamiętam. Czyli stawałem się też trochę pionierem.

Z którym trenerem w Polsce najlepiej się pan dogadywał?

Miałem ich czterech, jeśli się nie mylę. Najlepiej rozumiałem się oczywiście z Marcinem Broszem, który mnie zatrudnił w Koronie. Przede wszystkim bardzo mi zaufała. A trzeba przyznać, że do tego naprawdę mi nie szło. Któregoś dnia przed meczem zapukał do mnie do pokoju w hotelu i przez tłumacza rozmawialiśmy. Powiedział: „Airam, dałem ci duży kredyt zaufania, ale jak mi teraz nie pokażesz, że potrafisz dać dużo więcej drużynie, to będę musiał podjąć jakieś decyzje”. Wyszedłem na boisko zmotywowany, strzeliłem gola i miałem jeszcze asystę. Co prawda przegraliśmy, ale zagrałem naprawdę dobry mecz. Pamiętam do dzisiaj tę rozmowę. Brosz zawsze był bardzo szczery. Poza tym Michał Probiez, człowiek instytucja, charyzmatyczny, nie ze wszystkimi miał po drodze, ale jest to bardzo, bardzo inteligentny trener. Mówiłem o tym wiele razy. Zawsze był perfekcyjnie przygotowany do każdego meczu, do każdej drużyny, miał każdego przeciwnika superprzeanalizowanego. A to jest esencja pracy trenera, przewidzieć, jak może zagrać rywal. Świetnie zarządzał drużyną. Nie dziwi mnie fakt, że został selekcjonerem reprezentacji Polski. Jestem pewien, że jeśli da mu się pracować, to osiągnie z Polską sukcesy. Podoba mi się, jaką pracę wykonał w Ra-

36-letni napastnik jest przekonany, że nie powiedział jeszcze w naszym kraju ostatniego słowa, choć już nie jako piłkarz.

CABRERA W EKSTRAKLASIE

| 2015/16 (KORONA KIELCE) | 28 | 16 | 2 | 0 |
|-------------------------|-----------|-----------|----------|----------|
| 2018/19 (CRACOVIA) | 27 | 14 | 2 | 4 |
| 2020/21 (WISŁA PŁOCK) | 5 | 0 | 0 | 0 |
| ŁĄCZNIE | 60 | 30 | 4 | 4 |

koronie Częstochowa Marek Papszun. Mam do niego ogromny szacunek.

Utrzymuje pan nadal kontakty ze swoimi byłymi kolegami z polskich klubów?

Tak. Z Nemanją Markoviciem, z którym się zaprzyjaźniłem podczas mojego pobytu w Koronie. Był moim tłumaczem, bo trochę mówił po hiszpańsku, a ja oczywiście nie znałem żadnego słowa po polsku. Ale dobre kontakty mam nadal także z Michałem Helikiem, Bartkiem Wdowiakiem czy Sergiu Hancą. Jestem kontaktowym człowiekiem, więc staram się utrzymywać dobre relacje ze wszystkimi kolegami.

Czy kiedykolwiek miał pan ofertę z Legii Warszawa czy Lecha Poznań?

Z tego, co wiem, to nie. I muszę przyznać, że jest to poniekąd dla mnie zaskoczenie, bo wydaje mi się, że zrobiłem wszystko, aby na takie zainteresowanie zasłużyć. Wielu piłkarzy, którzy strzelali gole w innych ekipach, a strzelali ich i tak mniej ode mnie, trafiali do Legii, jak Jose Kante, Carlitos, Rafa Lopes. I to jest coś, czego żałuję, bo uważam, że liczby, jakie potrafiłem wykrecić w danych klubach, powinny stanowić przynajmniej podstawę do zainteresowania moją osobą. Zwłaszcza w okresie gry w Cracovii i Koronie. Ale muszę przyznać, że jestem bardzo zadowolony z mojej kariery w Polsce i zachowuje tylko miłe wspomnienia.

Obecnie gra pan w Atletico Sanluqueno. Kiedy planuje pan zakończyć karierę?

Nadal gram i na tym się koncentruję, ale muszę przyznać, że jakiś czas temu zastanawiałem się już nad końcem. Futbol na przestrzeni lat bardzo się zmienił, coraz więcej do powiedzenia mają ego piłkarzy, ludzi związanych z piłką. A ja tego nie lubię, męczy mnie to. Nie chciałem brać w tym udziału. Ale zadzwonili do mnie działacze z Sanluqueno, gram blisko domu, z ludźmi których lubię, szanuję i naprawdę cieszę się chwilą. Powiem szczerze, że musiałoby się wydarzyć coś naprawdę niespodziewanego, abym nagle zakończył karierę, teraz o tym nawet nie myślę. Cieszę się każdą chwilą na boisku. Zdrowie mi dopisuje, pomagam drużynie, strzelam gole, dopóki nie przyjdzie jakiś młodzian i mnie wygrzyzie ze składu, to nie składam broni.

Czy kiedyś zobaczymy Airama Cabrerę jako dyrektora sportowego albo trenera w jakimś polskim klubie?

Bardzo bym chciał, powiem więcej: mam takie przeświadczenie, że moja przyszłość będzie w jakimś stopniu związana z Polską. Moja żona marzy o tym, abyśmy zamieszkali w Krakowie. Jesteśmy zauroczni tym miastem, a i ludzie tam są fantastyczni. Uważam, że mógłbym wiele dać piłce nożnej w Polsce i mam nadzieję, że w przyszłości będzie mi to dane. Nie wiem, czy jako dyrektor sportowy, czy może w dziale skautingu, ale myślę, że prędzej czy później do Polski wrócę.

Daniel Sobis

@sobis_es



PIŁKARZ SEZONU

| | | |
|------|---------------------|-------------|
| 6,44 | ERIK EXPOSITO | ŚLĄSK |
| 6,00 | PETR SCHWARZ | ŚLĄSK |
| 5,94 | KAMIL GROSICKI | POGOŃ |
| 5,92 | SRDJAN PLAVŠIĆ | RAKÓW |
| 5,83 | JOHN YEBOAH | RAKÓW |
| 5,82 | DAWID DRACHAL | RAKÓW |
| 5,82 | PIOTR SAMIEC-TALAR | ŚLĄSK |
| 5,76 | BARTŁOJEW WADOWIK | JAGIELLONIA |
| 5,75 | GUSTAV BERGGREN | RAKÓW |
| 5,70 | KRISTOFFER HANSEN | JAGIELLONIA |
| 5,65 | PEDRO HENRIQUE | RADOMIAK |
| 5,60 | ALEXANDER GORGON | POGOŃ |
| 5,60 | MŁOŚCZ KOZAK | RUCH |
| 5,59 | DOMINIK MARCZUK | JAGIELLONIA |
| 5,57 | LISANDRO SEMEDO | RADOMIAK |
| 5,56 | JEHOR MACENKO | ŚLĄSK |
| 5,50 | PATRYK JANASIK | ŚLĄSK |
| 5,50 | WŁADYSŁAW KOCZERHIN | RAKÓW |
| 5,50 | AFIMICO PULULU | JAGIELLONIA |
| 5,50 | JEAN CARLOS SILVA | RAKÓW |

Klasyfikujemy piłkarzy, którzy rozegrali ponad połowę meczów i nie odeszli z ligi. W przypadku tej samej średniej/dorobku o kolejności decyduje większa liczba rozegranych minut (klasyfikacja ogólna), mniejsza liczba minut (gole, asysty i klasyfikacja kandyjska).

NAJWIĘCEJ GOLI

| | | |
|----|---------------------|-------------|
| 13 | ERIK EXPOSITO | ŚLĄSK |
| 8 | ILJA SZKURIN | STAL |
| 8 | PEDRO HENRIQUE | RADOMIAK |
| 8 | BARTŁOJEW WADOWIK | JAGIELLONIA |
| 7 | KRISTOFFER VELDE | LECH |
| 7 | EFTHYMIOS KOULOURIS | POGOŃ |
| 7 | DANIEL SZCZEPAN | RUCH |
| 6 | AFIMICO PULULU | JAGIELLONIA |
| 6 | TOMAS PEKHART | LEGIA |
| 6 | MIKAEL ISHAK | LECH |

NAJWIĘCEJ ASYST

| | | |
|---|--------------------|-------------|
| 6 | DOMINIK MARCZUK | JAGIELLONIA |
| 6 | KAMIL GROSICKI | POGOŃ |
| 5 | PAWEŁ WSZOLEK | LEGIA |
| 5 | KACPER CHODYNA | ZAGŁĘBIE |
| 5 | ILJA SZKURIN | STAL |
| 5 | MACIEJ DOMAŃSKI | STAL |
| 4 | PIOTR SAMIEC-TALAR | ŚLĄSK |
| 4 | JOEL PEREIRA | LECH |
| 4 | BENJAMIN KÄLLMAN | CRACOVIA |
| 4 | NONO | KORONA |



Najlepszym piłkarzem Ekstraklasy na półmetku sezonu okazał się Erik Exposito.

Źródło: Borys Gogulski/Cyfraport, RAKÓW, Materiały prasowe, RAKÓW, Crystochina/Material prasowy, Śląsk Wrocław /PBAK, Mateusz Słodkowski/Cyfraport

BRAMKARZ

| | | |
|------|--------------------|----------|
| 5,71 | VLADAN KOVAČEVIĆ | RAKÓW |
| 5,67 | RAFAŁ LEŚCZYŃSKI | ŚLĄSK |
| 5,55 | VALENTIN COJOCARU | POGOŃ |
| 5,31 | ALBERT POSIADAŁA | RADOMIAK |
| 5,19 | XAVIER DZIEKOŃSKI | KORONA |
| 5,19 | MATEUSZ KOCHALSKI | STAL |
| 5,13 | FRANTIŠEK PLACH | PIAST |
| 5,13 | SEBASTIAN MADEJSKI | CRACOVIA |
| 5,08 | JĘDRZEJ GROBELNY | WARTA |
| 5,00 | HENRICH RAVAS | WIDZEW |

MŁODZIEŻOWIEC

| | | |
|------|-------------------|-------------|
| 5,82 | DAWID DRACHAL | RAKÓW |
| 5,59 | DOMINIK MARCZUK | JAGIELLONIA |
| 5,38 | MICHAŁ RAKOCZY | CRACOVIA |
| 5,33 | ŁUKASZ BEJGER | ŚLĄSK |
| 5,31 | ALBERT POSIADAŁA | RADOMIAK |
| 5,19 | XAVIER DZIEKOŃSKI | KORONA |
| 5,14 | TOMASZ WÓJTOWICZ | RUCH |
| 5,13 | FILIP MARCHWIŃSKI | LECH |
| 5,13 | TOMASZ PIENKO | ZAGŁĘBIE |
| 5,12 | KAJETAN SZMYT | WARTA |

OBCOKRAJOWIEC

| | | | |
|------|---------------|-------------------|-------------|
| 6,44 | ERIK EXPOSITO | ESP | ŚLĄSK |
| 6,00 | CZE | PETR SCHWARZ | ŚLĄSK |
| 5,92 | SRB | SRDJAN PLAVŠIĆ | RAKÓW |
| 5,83 | ECU | JOHN YEBOAH | RAKÓW |
| 5,75 | SWE | GUSTAV BERGGREN | RAKÓW |
| 5,71 | SRB | VLADAN KOVAČEVIĆ | RAKÓW |
| 5,70 | NOR | KRISTOFFER HANSEN | JAGIELLONIA |
| 5,65 | BRA | PEDRO HENRIQUE | RADOMIAK |
| 5,60 | AUT | ALEXANDER GORGON | POGOŃ |
| 5,57 | CPV | LISANDRO SEMEDO | RADOMIAK |

SĘDZIA

| | | |
|------|--------------------|-----------|
| 5,67 | TOMASZ KWIATKOWSKI | WARSZAWA |
| 5,60 | SZYMON MARCINIAK | PŁOCK |
| 5,11 | KAROL ARYS | SZCZECIN |
| 5,10 | PAWEŁ RACZKOWSKI | WARSZAWA |
| 5,09 | PIOTR LASYK | BYTOM |
| 5,09 | TOMASZ MUSIAŁ | KRAKÓW |
| 4,91 | DAMIAN SYLWESTRZAK | WROCŁAW |
| 4,73 | JAROSŁAW PRZYBYŁ | KLUCZBORK |
| 4,55 | BARTOSZ FRANKOWSKI | TORUŃ |

GOLE Z AKCJI

| | strzelone | stracone | bilans |
|-------------|-----------|----------|--------|
| RAKÓW | 26 | 13 | +13 |
| LECH | 26 | 16 | +10 |
| JAGIELLONIA | 23 | 14 | +9 |
| ŚLĄSK | 18 | 9 | +9 |
| POGOŃ | 21 | 14 | +7 |
| RADOMIAK | 17 | 11 | +6 |
| LEGIA | 20 | 17 | +3 |
| KORONA | 15 | 13 | +2 |
| STAL | 19 | 19 | 0 |
| WIDZEW | 16 | 16 | 0 |
| GÓRNIK | 13 | 13 | 0 |
| CRACOVIA | 13 | 15 | -2 |
| WARTA | 10 | 13 | -3 |
| PIAST | 6 | 10 | -4 |
| ZAGŁĘBIE | 12 | 19 | -7 |
| RUCH | 10 | 23 | -13 |
| PUSZCZA | 10 | 25 | -15 |
| ŁKS | 6 | 21 | -15 |

GOLE ZE STAŁYCH FRAGMENTÓW GRY

| | strzelone | stracone | bilans |
|-------------|-----------|----------|--------|
| JAGIELLONIA | 15 | 8 | +7 |
| ŚLĄSK | 11 | 5 | +6 |
| PUSZCZA | 10 | 6 | +4 |
| PIAST | 8 | 4 | +4 |
| POGOŃ | 8 | 5 | +3 |
| LEGIA | 6 | 3 | +3 |
| RUCH | 9 | 8 | +1 |
| RAKÓW | 6 | 5 | +1 |
| WARTA | 7 | 7 | 0 |
| ZAGŁĘBIE | 7 | 8 | -1 |
| STAL | 4 | 5 | -1 |
| GÓRNIK | 5 | 7 | -2 |
| LECH | 4 | 6 | -2 |
| WIDZEW | 5 | 8 | -3 |
| KORONA | 4 | 7 | -3 |
| CRACOVIA | 5 | 9 | -4 |
| RADOMIAK | 4 | 9 | -5 |
| ŁKS | 5 | 13 | -8 |

STRZAŁY (W TYM CELNE)

| | średnio | celne |
|-------------|---------|-------|
| POGOŃ | 15,1 | 5,1 |
| LEGIA | 14,1 | 4,9 |
| CRACOVIA | 14,0 | 4,3 |
| RADOMIAK | 13,8 | 3,6 |
| KORONA | 13,3 | 4,5 |
| ZAGŁĘBIE | 12,9 | 4,5 |
| WIDZEW | 12,6 | 4,5 |
| RAKÓW | 12,4 | 5,2 |
| GÓRNIK | 12,2 | 3,9 |
| JAGIELLONIA | 12,1 | 4,6 |
| LECH | 11,8 | 5,1 |
| PIAST | 11,3 | 4,0 |
| ŚLĄSK | 10,9 | 4,4 |
| ŁKS | 10,4 | 3,0 |
| PUSZCZA | 10,4 | 3,4 |
| RUCH | 10,0 | 3,2 |
| STAL | 9,8 | 3,9 |
| WARTA | 8,5 | 2,9 |

POSIADANIE PIŁKI

| | średnio |
|-------------|---------|
| LECH | 60,2% |
| LEGIA | 58,8% |
| JAGIELLONIA | 56,9% |
| POGOŃ | 55,6% |
| RAKÓW | 55,6% |
| WIDZEW | 52,3% |
| KORONA | 51,5% |
| RADOMIAK | 51,2% |
| ZAGŁĘBIE | 51,1% |
| GÓRNIK | 50,2% |
| ŁKS | 49,3% |
| PIAST | 48,3% |
| STAL | 47,9% |
| CRACOVIA | 47,4% |
| RUCH | 44,9% |
| ŚLĄSK | 41,6% |
| WARTA | 38,9% |
| PUSZCZA | 37,4% |

MINUTY GRY MŁODZIEŻOWCÓW

| | wszystkie | realizacja |
|-------------|-----------|------------|
| PIAST | 3000 | 100,0% |
| ZAGŁĘBIE | 2689 | 89,6% |
| LECH | 2047 | 68,2% |
| WARTA | 1974 | 65,8% |
| JAGIELLONIA | 1967 | 65,6% |
| PUSZCZA | 1867 | 62,2% |
| CRACOVIA | 1806 | 60,2% |
| KORONA | 1735 | 57,8% |
| ŚLĄSK | 1506 | 50,2% |
| LEGIA | 1445 | 48,2% |
| WIDZEW | 1422 | 47,4% |
| RUCH | 1378 | 45,9% |
| ŁKS | 1374 | 45,8% |
| RADOMIAK | 1268 | 42,3% |
| GÓRNIK | 1200 | 40,0% |
| STAL | 1188 | 39,6% |
| POGOŃ | 962 | 32,1% |
| RAKÓW | 618 | 20,6% |

Chcemy uciekać!

Wszyscy dostają połowę wynagrodzenia co jakiś czas. Zaległości w płatnościach są coraz mniejsze – mówi **skrzydłowy Arki Gdynia Olaf Kobacki**.

PRZEMYSŁAW OLSZEWIK: Jak duży wpływ na pana decyzję o powrocie do Arki miał fakt, że trenerem w Gdyni został Wojciech Łobodziński? Mielście okazję współpracować w Miedzi Legnica.

OLAF KOBACKI: Nie miało to dużego wpływu. I tak miałem wracać do Gdyni. To czysty przypadek, że nasze drogi znowu się skrzyżowały. Już wcześniej rozmawiałem z zarządem, że po zakończeniu wypożyczenia wracam.

Jakie wtedy zrobił na pana wrażenie jego warsztat?

Trener Łobodziński stara się, żeby na każdym treningu jak najwięcej ćwiczeń wykonywać z piłką przy nodze. Nie ma biegania dla biegania. Jeżeli już są jakieś przebieżki, to właśnie z piłką przy nodze. Tak samo było w okresie przygotowawczym i – jak widać – daje to efekty.

Jak dużo zmieniło się w Arce, gdy porówna się drużynę, z którą przegrywał pan baraże, z tą obecną?

Część zawodników odeszła, jakaś grupka z tamtego zespołu została. Młodzi zawodnicy, którzy wchodziłi do zespołu, się rozwinieli. Ci, którzy byli na wypożyczeniach, też wrócili z większą jakością. Gdybyśmy mieli to określić na ten moment, to tabela ligowa, w której znajdujemy się na szczycie, pokazuje, że jesteśmy lepsi niż wtedy.

Grał pan na kilku pozycjach w tej rundzie. Jaka jest optymalna, gdyby mógł pan sam zdecydować?

W taktyce 3-4-3 grałem jako dziesiątka ustawiona bliżej lewej strony. Po zmianie grałem na lewym skrzydle, chyba że wymagała tego sytuacja w meczu, to zmieniałem stronę boiska. Ale to były jedyne zmiany. Większość czasu grałem na swojej optymalnej pozycji, czyli lewym skrzydle i to właśnie tam się najlepiej czuję.

Zmiana ustawienia z trójki na czwórkę obrońców okazała się dla was punktem zwrotnym w tej rundzie.

Dla zawodników ofensywnych była to rewolucja? Nazwałbym to bardziej ewolucją niż rewolucją. W zależności od ustawienia trzeba się trochę inaczej ustawiać w defensywie. Wydaje mi się, że dzięki tej zmianie mamy więcej zawodników zaangażowanych w grę ofensywną. Piłkarze, którzy w poprzednim systemie grali jako dziesiątki, są teraz ustawieni znacznie wyżej i szerzej. Do gry z kontrataku przy niskiej lub średniej obronie jest to znakomite rozwiązanie.

Pana forma strzelecka też potwierdza, że zmiany w taktyce były dobre dla wszystkich formacji.

To prawda. Od początku sezonu bardzo dobrze się czuję. Kiedy grałem na dziesiątce, też uważam, że było bardzo dobrze. Zmiana ustawienia pozytywnie na nas wpłynęła, bo więcej zawodników gra teraz na swoich nominalnych pozycjach.

Trener Łobodziński mówił, że stara się w was zaszczepić radość z bronienia. Widzi pan u siebie wpływ tej radości po każdym wykonanym wślizgu?

Przede wszystkim w defensywie każdy daje z siebie sto procent. Nie ma odpuszczania. Zdajemy sobie sprawę, że krytyczne momenty są po odbiorze lub stracie piłki. Wtedy trzeba odpowiednio nastawić się na atakowanie lub bronienie. Odrobiliśmy lekcje względem początku sezonu i obecna organizacja gry dobrze nam wychodzi. Zgodzę się, że wszczęcie radości z bronienia było pomocne, jednak bardziej po interwencji cieszy to, że możemy ruszyć do ataku. Na tym powinniśmy się skupiać.

Jak długo trwało świętowanie wygranej w derbach Trójmiasta?

Niezbyt długo. Dzień po meczu, kiedy mieliśmy czas na regenerację, mogliśmy się trochę pocieszyć, ale potem trzeba było się skupić na przygotowaniach do kolejnego meczu. Wiadomo, że było to szczególne zwycięstwo, ale nie można go zbyt długo celebrować.

Piłkarze mają dwie teorie. Jedna mówi, że łatwiej jest gonić rywali, druga, że łatwiej im uciekać. Jak pan odbiera bycie liderem tabeli?

Myślę, że dla każdego zespołu znacznie lepiej jest być na pozycji lidera niż poza miejscem barażowym, jak to wyglądało dwa lata temu, kiedy pierwszy raz byłem w Arce. Nie ma jednak mowy o rozluźnieniu. Jesteśmy skoncentrowani, chcemy dalej wygrywać. Zaliczyliśmy potknięcie w Katowicach – tak trzeba to nazwać, bo mieliśmy tam okazję do zdobycia kolejnych bramek. Takie mecze jednak też się zdarzają. Najważniejsze, że punktujemy, podczas gdy bezpośredni rywale tracą.

Jako jeden z nielicznych w kadrze Arki zna pan smak Ekstraklasy. Patrząc na waszą dyspozycję i kadrę, ma pan przekonanie, że wypadlibyście lepiej niż np. ŁKS? Osobiście mam podobne doświadczenia z Ekstraklasą co ŁKS. Dużo zależy od tego, jak po ewentualnym awansie drużyna byłaby budo-

wana. W każdej potrzebne są wzmocnienia. Nawet jedynie po to, żeby wzmocnić rywalizację na poszczególnych pozycjach. Niekoniecznie, aby kogoś zastąpić. Chodzi o to, by zawodnik, który wychodzi w podstawowym składzie, czuł na plecach oddech konkurenta do gry. Kiedy tak jest, człowiek wspina się na wyżyny umiejętności, aby się dalej rozwijać. Myślę, że nasz zespół także czekać takie wzmocnienia.

Zostały wam jeszcze dwa ligowe spotkania z Bruk-Betem i Górnikiem. Macie świadomość, że mogą być kluczowe, bo to rywale w walce o czołowe pozycje?

Każdy mecz jest kluczowy, aby utrzymać naszą pozycję. Musimy zrobić wszystko, żeby nie dać się dogonić i zbudować jak największą zaliczkę przed zimą. Łatwiej się startuje do rundy wiosennej, kiedy jest większy zapas punktowy nad drugim zespołem.

Od początku rundy wokół Arki było zamieszanie. Śledził pan konflikt właścicielski i jego kolejne wątki?

Każdy z piłkarzy śledził. To normalne. Tak jak każdy kibic interesuje się sytuacją firmy, w której pracuje, tak my interesowaliśmy się losami klubu. Wiemy, że w całą sytuację zamieszanych jest kilka osób i nam jako piłkarzom trudno jest przewidywać, jak to wszystko się zakończy. Trochę czasu pewnie jeszcze upłynie, zanim cały proces zmiany właścicielskiej się zakończy, ale my musimy skupić się na grze.

Ile prawdy było w tym, że choć działacze zapewniali, że zawodnicy dostali we wrześniu połowę wynagrodzenia, to byli też tacy, którzy dostali mniej?

Z tego, co wiem, wszyscy dostają połowę wynagrodzenia co jakiś czas. Zaległości w płatnościach są coraz mniejsze. Klub stara się wyjść z tej sytuacji z podniesioną głową. Po zakończeniu bojkotu i po pojawieniu się kibiców na stadionie, co polepszyło stan finansów, część zaległości została nam wypłacona. Dla nas był to dobry sygnał. Jednak co by się nie działo i tak będziemy robić swoje.

Ktoś z wami wcześniej ustalał te cięcia i pytał o zgodę na opóźnienia?

Tak. Odbyliśmy rozmowy na ten temat. Nie chciałbym zdradzać więcej szczegółów.



Na dziś dalej są opóźnienia w wypłatach?

Są opóźnienia. Większe zaległości są regulowane, ale inne pozostają. Na szczęście coraz mniejsze, ale są.

Miał pan okazję grać przy pełnych trybunach podczas pierwszego pobytu w Gdyni i podczas bojkotu. Ile prawdy jest w krążących teoriach, że presja trybun miała wpływ na wasze wyniki u siebie?

Trzeba skupić się na wsparciu. To nas buduje. Są gorsze momenty, ale najważniejsze, żeby wtedy, kiedy łapiemy zadyszkę, najbardziej nas wspierali. Na boisku chcemy zaangażowaniem odpłacić się za ich doping oraz wyjazdy. Mocno to doceniamy.

Wygłąda na to, że wszystko, co najgorsze, już za Arką. Wraca normalność na każdym szczeblu. Jak to na was oddziałuje?

Nie myślimy o tym. Chcemy kontynuować naszą serię już nie meczów wygranych, a tych bez porażki. Remis z GKS zabrał nam dziesiątą wygraną z rzędu. Szkoda, bo dwucyfrowa liczba ładnie by wyglądała. Wyciągnęliśmy odpowiednio wnioski. Warunki atmosferyczne były specyficzne, ale nawet w takich w kolejnych meczach będziemy robić swoje.

W tym sezonie Olaf Kobacki strzelił dla Arki 7 goli w Fortuna 1. Lidze.

Przemysław Olszewik

@przemekolszewik



FORTUNA 1. LIGA

| | | | |
|------------------|----|----|-------|
| 1. ARKA | 17 | 33 | 27-18 |
| 2. ODRA | 17 | 30 | 21-15 |
| 3. LECHIA (S) | 17 | 29 | 25-16 |
| 4. GKS TYCHY | 16 | 28 | 22-20 |
| 5. MIEDŹ (S) | 17 | 27 | 26-17 |
| 6. GÓRNIK | 16 | 26 | 18-14 |
| 7. MOTOR (B) | 16 | 26 | 21-22 |
| 8. WISŁA K. | 17 | 25 | 32-21 |
| 9. BRUK-BET | 17 | 23 | 29-23 |
| 10. WISŁA P. (S) | 16 | 23 | 21-21 |
| 11. STAL | 17 | 22 | 25-26 |
| 12. GKS KATOWICE | 17 | 21 | 22-21 |
| 13. ZNICZ (B) | 17 | 20 | 13-20 |
| 14. POLONIA (B) | 17 | 19 | 23-25 |
| 15. CHROBRY | 16 | 18 | 16-26 |
| 16. RESOVIA | 16 | 14 | 15-30 |
| 17. PODBESKIDZIE | 16 | 13 | 11-23 |
| 18. ZAGŁĘBIE | 16 | 11 | 13-22 |

1-2. - awans do Ekstraklasy; 3-6. - baraże o awans do Ekstraklasy; 16-18. - spadek do II ligi.

18. KOLEJKA

| | |
|--|------------------------------|
| GKS Tychy - Polonia Warszawa | pt, 8.12, 18.00 |
| Zagłębie Sosnowiec - Motor Lublin | pt, 8.12, 20.30 |
| Wisła Płock - Podbeskidzie Bielsko-Biała | sb, 9.12, 15.00 |
| Lechia Gdańsk - Chrobry Głogów | sb, 9.12, 17.30 |
| Resovia - Znicz Pruszków | sb, 9.12, 20.00 |
| Odra Opole - Stal Rzeszów | nd, 10.12, 12.40 |
| Wisła Kraków - Górnik Łęczna | nd, 10.12, 12.40 |
| Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Arka Gdynia | pn, 11.12, 18.00 |
| GKS Katowice - Miedź Legnica | przełożony (zły stan boiska) |

MECZ 17. KOLEJKI

| | | |
|----------------|---|-----|
| ZNICZ PRUSZKÓW | 1 | (1) |
| ODRA OPOLE | 0 | (0) |

Bramka: Nowak 2.

ZNICZ: Mleczek - Procezek (61 Krajewski), Juchymowycz, Błyszko, Grudziński, Moskwik - Nowak, Pomorski - Nagamatsu - Kroczy (71 Tabara), Wójcicki z. Trener: Misiura.

ODRA: Haluch - Szrek, M. Kamiński, Zemło, Piłk - Mikinić (65 Sarmiento z), Niziołek z, Purzycki z, Galan, Antczak (70 Surzyn) - Sula (78 Hebel). Trener: Nocoń.

Sędziował: Karski (Stupsk). Widzów: 282.

Urodziny to początek

Wyjście z grupy na mundialu było sukcesem, który nam odebrano, i klęską, którą sami sobie wmówiliśmy – twierdzi **znakomity aktor i reżyser filmowy oraz teatralny Olaf Lubaszenko.**



ROBERT BŁOŃSKI: Rozmawiamy raz do roku, zwykle – choć zupełnie przypadkowo – w okolicach daty twoich urodzin. 6 grudnia skończyłeś 55 lat.

OLAF LUBASZENKO: Wprawdzie to tylko liczby, ale jestem ich maniakiem. Odruchowo dokonuję obliczeń – 55 to po zsumowaniu jeden, bo przecież zero się nie liczy. Tak więc to będzie pierwszy rok nowej wersji mnie, co nie znaczy, że jestem w pełni niezadowolony ze starej. (śmiech) Ale dobrze jest mieć nadzieję na nowe otwarcia – po to są urodziny i sylwestry, by podejmować postanowienia. Nie ma niczego złego w traktowaniu dat granicznych jako początku czegoś nowego. Skoro jakimś czynem, utworem, dziełem, zachowaniem jesteśmy w stanie sprawić, że choć jedna osoba zostanie uszczęśliwiona, to warto to zrobić. Odwracając myśl, jeśli z tysiąca postanowień uda się spełnić choć połowę jednego, to już jesteśmy do przodu!

Miałem kolegę, który urodził się 24 grudnia i miał na imię Adam. Dostawał prezenty dwa razy w roku – w Wigilię i na Dzień Dziecka. Urodziny w mikotajki...

...wywoływały mieszane uczucia. Z jednej strony wszyscy o mnie pamiętali – w klasie każdy wiedział, że 6 grudnia Olaf przynosi ciasteczki, ale niestety moje osobiste „święto” tonęło w morzu klasowych losowań i wymiany prezentów. Najbardziej emocjonującym było, kiedy wylosowało się koleżankę, do której mocniej biło serce. Ewentualna negatywna reakcja obdarowanej na prezent mogła być więc podwójnie bolesna. Tu mała dygresja. W ubiegłym roku na planie serialu „Rafi” mieliśmy mikotajki i dostałem książkę Szczepana Twardocha „Chołód” – to był idealnie trafiony prezent. Wcześniej przymierzałem się, by ją kupić, ale jakoś się nie złożyło. Do dziś nie wiem od kogo ją dostałem, dlatego tą drogą chcę serdecznie podziękować. (śmiech) Wracając do pytania – trochę współczuję twojemu koleździe, który miał urodziny 24 grudnia. W latach szkolnych to musiało być dla niego smutne.

A propos smutku. Nie sądziłem, że zadam ci to pytanie akurat teraz, w grudniu, już po fazie grupowej eliminacji EURO 2024, ale czy Polska awansuje do mistrzostw Europy? Wciąż musi walczyć w barażach, w bezpośredniej walce wyprzedziły ją Albania i Czechy.

Po marcowej porażce w Czechach i czerwcowej w Mołdawii...

Byłem na obu meczach. Byłem też we wrześniu w Tiranie, gdzie nasi przegrali, nie polecałem jedynie na Wyspy Owcze. Tam Polska wygrała.

Robercie, nie wyciągamy pochopnych wniosków, to nie twoja wina ani nie twoja zasługa. Znowu będzie dygresja – o magicznym myśleniu. Powiedzmy, że wybierasz się na mecz ukochanego klubu i w ostatniej chwili coś ci wypadnie. Nie idziesz. Drużyna – niech będzie optymistycznie – wygrywa z silniejszym rywalem. Wiele osób dokonuje wtedy skrótu myślowego: zwyciężyli, bo mnie nie było. Albo odwrotnie: przegrali dlatego, że byłem. Niebezpieczna tendencja – nasza obecność lub nieobecność na meczach kadry nie ma bezpośredniego wpływu na wyniki. Są po prostu lepsze i gorsze czasy dla piłki. Po porażkach w Pradze i Kiszyniowie pojawiły się opinie: „Spokojnie, i tak awansujemy”. Ludzi, którzy znają się na futbolu, słucham z przyjemnością, niekiedy nawet im ufam. Ale ta zgodna, zgrana narracja wprawiała mnie w lekki dysonans poznawczy, ponieważ nie wiem, na czym było oparte tamto myślenie. Bo przecież nie na postawie drużyny Fernando Santosa na boisku. Doprowadza mnie do konsternacji, a to najłagodniejsze z określeń, że – jako wzorzec, do którego powinniśmy dążyć – przywołuje się dobrą pierwszą połowę w Mołdawii. Bądźmy poważni i szanujmy się. Pełne optymizmu głosy ekspertów nie przekonywały mnie, bo nie wiedziałem, skąd go brali. Czy aby przypadkiem nie z... sukcesów w latach 70. czy 80.?

Bardziej z 2016 roku i ćwierćfinału EURO.

Z turnieju we Francji w kadrze zostało już tylko kilku zawodników i miłe wspomnienia. Opieranie mocarstwowych ambicji na przesłankach historycznych jest naiwne i bezproduktywne. Namawiam do realizmu i odrobiny kibicowskiej pokory. Ciągłe czuję, że mamy trochę rozbuchane ego w sprawach piłkarskich, że nam się wciąż wydaje, że jesteśmy światową czołówką. Tylko wyniki o tym nie świadczą... Nasze oczekiwania są niewspółmierne do aktualnych możliwości.

Nadchodzą więc mroczne czasy dla kadry?

Paradoksalnie nasza piłka pod wieloma względami robi postęp. Tylko że jeszcze nie nadzedł czas zbierania owoców tego, jak szkolona jest młodzież, jaką mamy infrastrukturę i stadiony, jak profesjonalny jest nasz futbol. Owoce gigantycznej zmiany strukturalnej w naszej piłce przyjdą za kilka, kilkanaście lat. Mijający rok pokazał prawdziwe oblicze i prawdziwą siłę drużyny narodowej. W 2016 roku nastąpił zbieg wielu sprzyjających oko-

” Jestem po stronie Michała Probiez, który z pewnością rozumie konieczność takich procesów jak odmładzanie zespołu. Ale przecież nie po to tylko, by obniżyć średnią wieku kadry.



foto © Piotr Nuczal/FotoPK

” Przeżywałem prawdziwy smutek, widząc szczerą, żywą nienawiść wobec Grzegorza Krychowiaka, która została spuszczone jak zły pies z łańcucha. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego?



foto © Paweł Wigolik/FotoPK

liczności. Odpowiedni trener, Adam Nawałka, zetknął się z odpowiednią grupą piłkarzy, znalazł z nimi wspólny język, ci mu uwierzyli i towarzyszyła temu harmonijna współpraca z federacją. Kluczowi zawodnicy byli wtedy u szczytu formy, a teraz są poza nim.

Czy Michał Probiez powinien dokonać rewolucji?

Ona dokona się sama. Tylko być może będzie miała charakter... ewolucyjny. (śmiech) Ktoś niebawem skończy karierę, ktoś zrezygnuje z kadry, inny nie będzie grał w klubie – naturalny proces. Nie można mieć pretensji do piłkarzy o to, że im się nie udaje. W dyskusji o sporcie boli mnie takie myślenie. Ono zakłada istnienie złej woli albo zaniechania u zawodników. Nie chcę w to wierzyć. Piłkarze mogą być zniechęceni, praca z jakimś trenerem może być dla nich udręką, ciężarem, ale nie dopuszczam do siebie myśli, że im się nie chce. A to jest dominujący ton w komentarzach internetowych: „Won z nimi”, „Na kasę do Biedronki” – to moim zdaniem krzywdzące opinie. Każdemu zdarzają się gorsze momenty, a w sporcie mogą trwać długo. Niektórzy kibice zbyt łatwo idą w stronę hejtu.

Rok temu o tej porze byliśmy wśród szesnastu najlepszych drużyn świata, co – jak przytomnie zauważył Wojtek Szczęsny jeszcze w Katarze – nie znaczyło, że jesteśmy jedną z szesnastu najlepszych drużyn świata. Dziś nie ma nas wśród 21 finalistów EURO, do którego kwalifikują się 24 z 53 reprezentacji. Totalny zjazd.

Przy okazji meczu z Francją w 1/8 finału MŚ mało kto się cieszył, niewielu doceniało wyjście z grupy. Włączyło się wspomniane wcześniej rozbuchane ponad miarę ego i wygórowane oczekiwania. Że będziemy zadziwiać świat porywającą, pełną rozmachu i polotu grą. Często pojawia się pytanie: czy warto jechać na wielką imprezę tylko po, żeby się na niej beznadziejnie zaprezentować? Słyszymy je zresztą dziś: po co mają wygrać marcowe baraże o awans do EURO, skoro w grupie na turnieju w Niemczech czekają Holendrzy, Austriacy i Francuzi? „Niech nie jada, bo będzie wstyd!”. Takie myślenie jest zaprzeczeniem idei sportu. Namawiam do refleksji tych, którzy tak mówią. Ideą sportu jest próba pokonania każdego przeciwnika, nawet tego najsilniejszego. To podstawy, o których zapominamy. A to, że istnieje w sporcie przegrana – także upokarzająca – jest jedną z jego twarzy. To jest wpisane w zasadę uprawiania sportu. Przy takim my-

tek czegoś nowego



Foto: Hanna Wawrowska/Huberstock/Instagram

śleniu powinniśmy zamknąć wszystko, wprowadzić ustawowy zakaz uprawiania dyscyplin, w których nam się nie udaje. Wtedy zostalibyśmy z siatkówką i ze sportami na „zet” – żużlem i rzutem młotem. (śmiech) Tak nie można. Trzeba wspierać albo nie oglądać. Ale oglądać tylko po to, by krytykować w hejterski sposób?

Moim zdaniem mecz z Francją w Katarze zakończył pewien etap. Skończył dyskusję o sporcie, a zaczął kłótnię o wszystko, przede wszystkim państwowe premie. I rok 2023 był taki, jaki był. W eliminacjach EURO 2024 zdobyliśmy punkt w dwumeczu z Mołdawią, piłkarze męczyci się z Fernando Santosem. Mam wrażenie, że wracamy do ponurych czasów i wielkie turnieje znów będziemy oglądać tylko w telewizji.

Jak mówi redaktor Adam Michnik: „Nie ma między nami sporu, panie redaktorze”. Z powodu wielu sprzyjających zbiegów okoliczności w poprzednich latach wnieśliśmy się ponad miarę. Do 2002 roku byliśmy przyzwyczajeni do porażek. Potem łatwo o nich zapomnieliśmy.

Ale rok 2023 nam o nich przypominał.

Z tym że fala krytyki stłamsiła wszystko, co było dobre w ostatnich sezonach. Przecież kandydatura Czesława Michniewicza od początku budziła pozasportowe kontrowersje. I wiele osób wyraźnie czekało tylko na moment, by uderzyć w selekcjonera. Jak już nastąpił wybuch, to z atomową siłą. Jednak krytykując selekcjonera – ktokolwiek by nim nie był – uderza się także w drużynę. Przypomina mi się znajomy, który w latach 90. kupił pistolet gazowy i chciał go wypróbować, bo na szybko siedziała mucha. Podszedł, wypalił i... skończył na ostrym dyżurze okulistycznym. Strzały w selekcjonera, nawet oddawane w dobrej wierze, ranią też organizm, na którym wszystkim zależy, czyli reprezentację.

A życie nie kończy się wraz z kolejnym wielkim turniejem czy eliminacjami. Ono trwa. Tak samo jak kariera Czesława Michniewicza. Los szybko zesłał mu rekompensatę w postaci kontraktu z klubem z Arabii Saudyjskiej. Długo tam miejsca nie zagrzał, ale nos mi podpowiada, że bardzo stratny nie był. (śmiech) A tak w ogóle to ja się raczej nie sprawdzam w roli surowego krytyka – lubię ludzi i dobrze im życzę. To moja cecha dominująca – z jednym wyłączeniem: nie dotyczy niektórych sytuacji na drodze. Wtedy z tą miłością do bliźnich bywa różnie, ale pracuję nad sobą. Biore głębszy oddech i mówię sobie: „Jedź, kochany,

jedź. Wracaj do domu, skoro się spieszysz, a ja tu sobie spokojnie stoję w koreczku”.

W ostatnich dwóch dekadach Polska grała w pięciu turniejach EURO i trzech mundialach...

Swoją drogą, ładnie by się nazywała waluta „mundial”. Płacisz euro albo mundialami. (śmiech)

Następne dwie dekady nie zapowiadają się tak obficie.

Dotąd jeden awans napędzał kolejny. Następowala w miarę płynna, harmonijna zmiana pokoleniowa, bez niepożądanych skutków ubocznych. Teraz ten proces został zaburzony – kilku piłkarzy powoli schodzi ze sceny.

Nie ma Łukasza Fabiańskiego, Jakuba Błaszczykowskiego, Łukasza Piszczka, Kamila Glika, Grzegorza Krychowiaka...

...i tu się zatrzymajmy. Przeżywałem prawdziwy smutek, widząc szczerą, żywą nienawiść wobec pana Grzegorza, która została spuszczone jak zły pies z łańcucha. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego? Od pewnego czasu rzeczywiście grał katastrofalnie, ale czemu budził aż tak skrajnie złą emocję u tak wielu osób? Podejrzewam, że chodziło o jego wyrazistość i sposób bycia. Stał się marką nie tylko sportową. Fala, która wynosi wysoko, jest także tą, która może zabrać na dno. Staram się unikać pływania w morzu, ale zasadę znam.

Dziś anonimowe obrażanie w internecie jest bardzo proste...

Czasem czytam komentarze pod artykułami, choćby po to, by poznać tak zwane nastroje społeczne. Wystarczy jedno zdanie, by uwolnić psy nienawiści. W ogóle uważam, że jest za dużo kontentu medialnego, który nas zalewa i przygniata. „Jeszcze płyniemy, choć kra nad nami zamarza” – że sparafrazuję bohatera „Żółtego szalika”. Weryfikowanie faktów praktycznie zanika. Obecny kształt mediów to jeden z produktów ubocznych gospodarki rynkowej, w której informacja stała się towarem. News jest czymś, czego wartość ocenia się liczbą kliknięć. A ta z kolei wpływa na pozycję jakiegoś medium w wyścigu rynkowym. To prapoczątek nieszczęścia, które dotyka nas wszystkich, bo przecież brak niezwyfikowanego newsa w momencie, w którym inni go publikują, zamiast powodem do chwały staje się dla redakcji problemem. My nie mamy klików, inni je mają... Rozumiem to zjawisko, tak jak rozumiem powodzie, epidemie i trzęsienia ziemi, ale to wciąż są złe zjawiska. Są dziennikarze, którzy próbują temu nie ulegać. Podziwiam ich i wspieram.

Redakcje są rozliczane z liczby klików, a reprezentacja – z wyników. Brak sukcesów oznacza problemy, nie tylko dla piłkarzy.

Wróć do wcześniejszej myśli. Mówienie, że w momencie gdy w EURO biorą udział 24 reprezentacje, „tylko największy lump i ostatni frajer, by się nie zakwalifikował”, nie tylko nie pomaga, ale wręcz nakłada jeszcze większą presję. W ostatnich latach od selekcjonerów nie oczekiwano rewolucji, śmiałych zmian kadrowych, tylko awansów. W takiej sytuacji naturalną skłonnością jest sięganie po sprawdzonych zawodników. Robiąc rewolucję, ryzykuje się podwójnie: można nie awansować, a jeśli zmiany nie przyniosą efektu, to selekcjoner zostanie wyśmiany jako nierozsądny i nieodpowiedzialny. Dlatego jestem po stronie Michała Probiez, który z pewnością rozumie konieczność takich procesów jak odmładzanie zespołu. Ale przecież nie po to tylko, by obniżyć średnią wieku kadry. Odmładzanie jest przede wszystkim po to, by tchnąć w zespół nowego ducha, przywrócić głód emocjonalny, by proporcja między „tłustymi kotami” a „głodnymi wilczkami” była wyrównana. By starsi dostali entuzjazm i wsparcie od młodszych, by emocja była świeża, ale też została zachowana ciągłość. A my jesteśmy w momencie, w którym starsi powoli schodzą ze sceny albo już z niej zesli. Tymczasem młodzi jeszcze ich nie zastąpili.

Eliminacje EURO 2024 były wręcz idealne, by awansować i odmłodzić, bo rywale niezbyt wymagający, a z grupy wychodziły dwie z pięciu drużyn. Tylko że wybrano selekcjonera.

Na to wygląda. Myślisz, że za naszego życia jest szansa, by polską kadrę poprowadził trzeci Portugalczyk? (śmiech)

Prezes PZPN Cezary Kulesza szybko znalazł selekcjonera z innego kraju na literę „P”. Michał Probiez przeprowadza „operację” w rozpędzonym już pociągu.

Trafna metafora, chociaż przypomina mi się, jak będąc około dziesięcioletnim dzieckiem, widziałem film produkcji radzieckiej. W trakcie lotu zepsuł się samolot pasażerski i jeden z członków załogi wyszedł na skrzydło, wszedł do silnika, naprawił go, wrócił i jeszcze wylądował. (śmiech) Trener Probiez oczywiście będzie rozliczony z wyniku baraży. Na szczęście w przypadku sukcesu nikt nie powie, że z grupy z Francją, Holandią i Austrią, tylko „największy lump i ostatni frajer, by nie awansował”. Apeluję do poczucia logiki. Skoro już nauczyliśmy się, że gigantyczna presja w niczym nie pomaga, to spróbujmy jej nie wywierać.

A dla ciebie wyjście z grupy na mundial w Katarze było sukcesem czy patrzak na grę naszych, w ogóle się nie cieszyłeś?

Właśnie przez to, co się działo wokół drużyny w trakcie turnieju. Grała słabo, nieefektywnie, ale cel osiągnęła. Już sam wybór selekcjonera – po ucieczce Paulo Souse – powinien nam mówić, że będziemy raczej celować w wynik, a nie w porywającą grę, którą zadziwimy świat. Przecież Czesław Michniewicz to trener od skuteczności i wyników, a nie od dominacji nad Argentyną czy Francją. Proponuję mały trening wyobraźni. Powiedzmy, że cały naród zrzuca się na budowę promu kosmicznego, który ma bezpiecznie polecieć i wrócić na ziemię. Mamy do wyboru dwa projekty: najpiękniejszy statek, jaki kiedykolwiek wyleciał w przestrzeń kosmiczną, taki, że cały świat utonie

we łzach zazdrości i zachwytu, kiedy go zobaczy. Ale niestety posiada on silnik o mocy niewystarczającej, by wynieść to cudo w kosmos. I druga opcja: prom nieefektywny, trochę niezgrabny, ale jego mechanizmy są sprawdzone i wiemy, że bezpiecznie wystartuje oraz tak samo wróci.

Którą wersję wybierasz?

Rozum podpowiada, by postawić na coś pośredniego. Prom, który raz na dobę, przy odpowiednim nasłonecznieniu, będzie wyglądał schludnie i poleci oraz wróci, ale często będzie wymagał naprawy i uważnego serwisowania. Wybieram oczywiście trzecie rozwiązanie. Ale gdybym musiał postawić na którąś z dwóch pierwszych opcji, to miałbym poważny problem. Z jednej strony oczekujemy najpiękniejszego pojazdu w historii podboju kosmosu, z drugiej bardzo chcielibyśmy, by dowiózł nas do ćwierćfinału wielkiej imprezy.

To co wybierasz: błysk czy ćwierćfinał?

Wybieram... zmianę tematu. Umawialiśmy się na wywiad urodzinowy. (śmiech)

Na początku wywiadu wspomnieliście o „nowym otwarciu” z okazji 55. urodzin. Na czym miałyby ono polegać?

Nowe otwarcie może polegać na tysiącu postanowień i, powtórzę, jeśli uda się zrealizować choć połowę jednego, to i tak będziemy do przodu. Przy okazji okrągłych urodzin, a w zasadzie pierwszych, co wyjaśniliśmy sobie redukcją numerologiczną, zastosuję inną strategię. Wybieram jedno postanowienie, o którym... nikomu nie powiem.

Czujesz się młodo?

Nie dopuszczam do siebie zgorzknienia i poczucia, że skoro tak dużo w życiu widziałem, to już nic nie może mnie zdziwić. Otóż może, bo przecież to nasze starzenie, oprócz wielu rzeczy niefajnych, ma sporo plusów. Jednym z nich jest to, że niedokładnie pamiętamy, co działo się 35 lat temu i śmiesz nas dowcipy, które kiedyś znaleźliśmy, ale je zapomnieliśmy. Nieodmienne, od lat, cieszą mnie spotkania ze wspaniałymi ludźmi. Odbywają się głównie w pracy, bo poza nią nie jestem człowiekiem szczególnie towarzyskim. Wyjątkiem są mecze, które oglądałem na stadionie przy ulicy Łazienkowskiej. W pracy spotykam wielu młodych ludzi, którzy dopiero zaczynają, i widzę w nich nieprawdopodobną energię, wrażliwość oraz entuzjazm. Szukam takich spotkań, one mnie inspirują, ale nie jestem „wampirem” wysysającym energię. Oni dają entuzjazm, my możemy dać to, co już wiemy, a oni jeszcze nie, na razie tylko to przeczuwają. Dlatego w reprezentacji Polski chciałbym oglądać jeszcze więcej młodych zawodników. Nawet jeśli miałyby to oznaczać pewne ryzyko wynikowe. Stwierdzenie „ryzyko wynikowe” jest zresztą fantomem, bo przecież kadra i tak wyników nie ma. Raz na zawsze skończmy z mitem, że bez stawiania na młodych zminimalizujemy możliwość poniesienia porażki. Myślę, że Michał Probiez o tym wie, więc liczę, że baraże skończą się pozytywnie.

Miałeś nie nakładać presji. (śmiech)

Dobrze, to teraz coś dla rozluźnienia. W naszej grupie jest Finlandia?

Tak. W drugim półfinale gra z Walią.

Jest takie powiedzenie, dość popularne w kręgach osób spożywających wysokoprocentowe napoje: „Z Finlandią jeszcze nikt nie wygrał”. Mam nadzieję, że w tym przypadku nie okaże się ono aktualne. To znaczy, Finowie pokonają Walię, ale potem potkną się na naszej odporności. (śmiech) Jednak pamiętajmy, że aby uzyskać dostęp do Finlandii, najpierw trzeba wygrać półfinał baraży. I jeśli usłyszę, że „z Estonią nie wygrały tylko ostatni lump i menel” to znajdę tego, kto tak powiedział, pojedę i... bardzo go poproszę, by już tak nie pisał. Takie myślenie i mówienie jest wirusem, który zatruwa nasz świat, nie tylko sportu. Apeluję: nie piszmy tak ani nie myślimy.

Robert Błoński

@robert_blonki



CO POWIE TATA?

Z Radostawem

Kałużnym

rozmawia Marcin Dobosz



MARCIN DOBOSZ: W grudniu na ligowe mecze wybierają się wyłącznie najodważniejsi, odporni na mroź.

RADOSŁAW KAŁUŻNY (BYŁY REPREZENTANT POLSKI, KOMENTATOR „PRZEGLĄDU SPORTOWEGO”): Tak jest. Nie ma co się dziwić, że taką pogodę mamy w grudniu. Dziwne, że ktoś tak układa kalendarz.

DOBOSZ: Podobno na to nie ma rady i przeładowany terminarz wymusza granie w grudniu.

KAŁUŻNY: Brakuje jeszcze grudniowych rewanżów w Pucharze Polski. A te przecież kiedyś były. Nie chce mi się wierzyć, by nie można było zaplanować więcej meczów o sensownej porze roku.

DOBOSZ: Kiedykolwiek podczas meczu zimno zalazło panu za skórę?

KAŁUŻNY: I to dosłownie. A paradoks polega na tym, że zdarzyło mi się to na Cyprze, który zdecydowanie kojarzy się ludziom ze słońcem i plażą, a nie chłodem. To było w miejscowości Ajia Napa. Pod koniec lutego mój zespół grał w niej mecz ligowy. Lał deszcz, choć to nie on był problemem. Nieszczęściem był wiatr. Rany boskie, jak tam wiało! Zimny wiatr okrutnie smagał nas po mordach, a po nastu minutach grania wszyscy byli kompletnie przemarznięci. Od stóp do głów. Modliłem się, by sędzia skończył to udawanie grania albo żeby umarł z wyziębienia i nie czuł tego zimna! (śmiech) Dokładnie pamiętam, że gdy wykopywałem piłkę z „piątki”, dolatywała do szesnastego metra i wracała w kierunku bramki. Nie było siły, by przebić się przez ścianę wiatru. Na boisku działy się cuda i takim cudem zdobyliśmy jedynego gola w meczu, zapewniając sobie utrzymanie. Gra toczyła się przeważnie na jednej połowie, tej, na którą wiatr zdmuchiwał piłkę. Po meczu wszyscy pognali pod prysznic. Dobrze, że usłyszałem radę wykrzychaną przez naszego kierownika: „Puszczajcie tylko zimną wodę! Nie gorącą!”. Puściłem lodowatą i miałem wrażenie, że ona mnie parzy. Całe ciało. Poważnie. A pod prysznicem stałem w butach, bo nie szło ich zdjąć z przemarzniętych stóp. Jeśli weźmie się pod uwagę pogodę, to był najgorszy mecz w moim życiu. Czegoś podobnego ani wcześniej, ani później nie przeżyłem – ani w Polsce, ani w Niemczech. W zimowych warunkach nie bardzo potrafię oglądać mecze. Ani na stadionie, bo tylek przymarza do krzeselka, ani w telewizji, bo na przykład spotkanie Korony z Lechem było cyrkiem. Jeśli ktoś zabrał dziecko na mecz o tej porze roku, to założę się, że ten dzieciak już więcej nie spojrzy w kierunku stadionu, bo będzie mu się kojarzyć z zimnem.

DOBOSZ: Marc Gual, król strzelców poprzedniego sezonu, kompletnie nie odnalazł się w Legii Warszawa. Jemu może zrobić się ciepło, gdy Legia ogłosi listę transferową.

KAŁUŻNY: Pamięta pan pewnie, jak Gual pajacował w poprzednich rozgrywkach w meczu na Legii? Po голу dla Jagi nie okazał ani trochę radości, chcąc być chyba fair wobec Legii, do której po sezonie przenosił się z Białegostoku. Wpienił białostockich kibiców, ale życie szybko go naprostowało. Przy Łazienkowskiej nadal nie cieszy się ze swoich goli.

DOBOSZ: Wyczuwam złośliwość.

KAŁUŻNY: Nie cieszy się, bo ich nie strzela. Nie tylko na swoim boisku. Jest w totalnej zapaści, bo tak trzeba nazwać jedną bramkę zdobytą w ligowym sezonie. Rzadko się zdarza, by ci, którzy zmiatali w jednym roku, w kolejnym zupełnie zniknęli z radarów. Tym bardziej że Gualowi nie dokuczają kłopoty zdrowotne, które byłyby wiarygodnym usprawiedliwieniem. Sporo mówi się o kryzysie Roberta Lewandowskiego, który w lidze hiszpańskiej

strzela mniej, za co obrywa mu się od hiszpańskich mediów, ale „Lewy” od czasu do czasu jednak trafia. A przez pewien czas walczył też z kontuzją. Wydawało mi się, że Gual w towarzystwie lepszych piłkarzy niż w Jagiellonii nastuka jeszcze więcej goli i ponownie powalczy o tytuł najlepszego strzelca Ekstraklasy. Wychodzi na to, że w Białymstoku zaliczył sezon „konia” i więcej takiego nie powtórzy. Ale jeden gol to kompromitacja. Nie do wiary, że tyle samo goli, co Hiszpan, ma Kamil Glik. I okazuje się, że dzisiejsi piłkarze Legii nie są wcale lepsi od zawodników Jagiellonii. Mało tego – są dużo gorsi! O czym świadczy gra Jagi, często efektowna, i jej wyniki, także miejsce w tabeli. Legia często wygląda nędznie. Gra bojaźliwie, bez żadnego pomysłu. Zero oryginalności. Właśnie zasłużenie odpadła z Pucharu Polski. Co do Guala – jest kolejnym byłym jagiellończykiem, który nie poradził sobie w Legii. Wcześniej to samo spotkało Arvydasa Novikovasa, choć uważam, że mimo wszystko Litwinowi od czasu do czasu udało się błysnąć.

DOBOSZ: Legii nie ma w Pucharze Polski, w lidze zajmuje dopiero piąte miejsce. Zespół Kosty Runjaicia limit pomyłek w PKO BP Ekstraklasie już wykorzystał, jeżeli ma zamiar powalczyć o mistrzostwo Polski?

KAŁUŻNY: W kółko słyszę, że Śląsk Wrocław za chwilę spuchnie, że pościg go dopadnie i tak dalej. Ale tempo tej gonitwy jest ślimacze. Raz potknie się Lech, innym razem Legia, a Raków, który ostatnio walczył ze Śląskiem we Wrocławiu, wywiózł stamtąd zaledwie punkt. Zaledwie, bo dystansu do lidera nie zmniejszył. Nie wykluczalbym historii, że będzie się gadało o pogoni za Śląskiem, że zespół Jacka Magiery już za chwileczkę zacznie przegrywać, a nagle okaże się, iż na wszystko jest już za późno.

Zimowe mecze to cyrk

DOBOSZ: Wierzy pan w tytuł mistrzowski Śląska? Albo Jagiellonii?

KAŁUŻNY: W naszej lidze wszystko jest możliwe. Kiedyś identycznie nikt nie stawiał na Piasta Gliwice. Każdy, ja również, spodziewał się, że Piast zaraz pęknie, nie wytrzyma presji, a skończyło się złotym medalem. Kolejny sezon bez tytułu mistrzowskiego dla Lecha czy Legii byłby upokorzeniem dla kibiców tych klubów. Nikt mi nie wmówi, że w stolicy albo Poznaniu kogoś ucieszy wicemistrzostwo.

DOBOSZ: Z reprezentacją na życzenie selekcjonera pożegnał się rzecznik prasowy reprezentacji Jakub Kwiatkowski. W PZPN przepracował ponad dekadę.

KAŁUŻNY: Nie bardzo kojarzę człowieka, ale widziałem, że w mediach trochę się zagotowało w tym temacie. Jak to u nas: najważniejszym problemem reprezentacji jest trzeci bramkarz albo rzecznik. Podejrzewam, że Michał Probiez zamierza otoczyć się własnymi ludźmi, co nie jest chyba dziwne. Uważam, że powinien dokonać zmian na dzień dobry, a nie na raty. Wcześniej podziękował jakimś specem od przygotowania fizycznego, teraz rzecznikowi. A tak sobie myślę, że kiedy grałem, to bardziej przeżyłbym zwolnienie kucharza reprezentacji niż rzecznika. Lubiłem sobie smacznie zjeść, a rzeczników nie znałem, może z widzenia.

W miniony weekend w Kielcach piłkarze Korony i Lecha Poznań rywalizowali w takich warunkach pogodowych...



SPORT
PRZY
KASI

FELIETON

Autor jest wykładowcą akademickim m.in. w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Od 2012 roku pracuje w Pentagon Research, firmie zajmującej się badaniami efektywności sponsoringu sportowego.

Dobre piwo, knedle, animowane bajki i Helena Vondračkova – to zapewne pierwsze skojarzenia przeciętnego Polaka z Czechami. A co z ich sportowcami? Bez cienia ironii można powiedzieć, że to jedna z najbardziej wszechstronnych nacji – pochodzą stąd światowej klasy piłkarze, tenisiści i hokeiści. Co warto podkreślić, aktywność fizyczna odgrywa bardzo ważną rolę w życiu społecznym. Wystarczy wspomnieć, że w Czechach działa Ministerstwo Szkolnictwa, Młodzieży i Sportu. Według naszych południowych sąsiadów to kwestie, które są ze sobą ściśle powiązane. I trudno się z nimi nie zgodzić.

BKL Machov – czeski fenomen

Wychowałem się na pograniczu, więc dobrze znam styl życia Czechów. To pogodni ludzie o dużym poczuciu humoru, którzy nie lubią życia w pośpiechu i kochają folklor – swoją kulturę, muzykę, kuchnię. To, co najbardziej mi w nich imponuje, to podejście do sportu, w którym nie ma żadnego pozerstwa. Wędrując przez czeskie szlaki, o każdej porze roku można zobaczyć wielu ludzi w starszym wieku. W zimie biegają na 40-letnich nartach, rzadko trafia się tu na kogoś w stroju znanego producenta. Gdybym miał wymienić jakiegось skromnego sportowca, z dużym prawdopodobieństwem wskazałbym właśnie na któregoś z Czechów. Pod wieloma względami są oni wzorem do naśladowania dla najmłodszych. I prawdopodobnie właśnie z tego bierze się ich sportowy fenomen. Czechów wyróżnia także zaangażowanie w wydarzenia sportowe dla amatorów na lokalnym szczeblu. Tutaj każde miasteczko świętuje swój bieg. Nie ma zestresowanych kierowców, którzy narzekają na blokowanie głównych ulic, ani komentarzy, żeby takie wydarzenia odbywały się jak najdalej od centrów miast. Są za to tysiące kibiców i uczestników.

Państwo i lokalne samorządy inwestują znaczne środki w rozwijanie infrastruktury sportowej dostępnej dla mieszkańców – od kompleksów dyscyplin zimowych po ścieżki rowerowe i miejsca do uprawiania sportów wodnych. Wszystko to sprawia, że sport amatorski jest łatwo dostępny dla każdego. Zimą niektóre akweny są zamieniane w ogromne lodowiska. Czy wyobrażacie sobie państwo tor łyżwiarski o długości... 10 km? Nie, to nie pomyłka! Gdy tylko lód osiąga bezpieczną grubość (ok. 20 cm), taka trasa powstaje na zamrożonym jeziorze w Lipnie nad Wełtawą.

W Czechach sport amatorski jest rozwinięty nawet w niewielkich miasteczkach. Idealny przykład to Machov – mała miejscowość położona u podnóża Gór Stołowych. Jest tu założony w 1907 roku prężnie działający klub BKL Machov, który szkoli adeptów kombinacji norweskiej, narciarstwa zjazdowego, snowboardu oraz skoków i biegów narciarskich. Poza sezonem członkowie klubu uprawiają biegi przełajowe, jazdę na łyżworolkach, kolarstwo górskie



W el. ME 2024 Polska przegrała z Czechami 1:3 w Pradze (na zdjęciu) i zremisowała 1:1 w Warszawie.

Sport po czesku

Czechy są czterokrotnie mniejsze od Polski, a wypuściły w świat wielu wybitnych sportowców. Za naszą południową granicą regularna aktywność fizyczna to styl życia.

i skoki na igelicy. W Machovie mają też skocznie narciarską z punktem K na 40. metrze. Jej rekordzistą w sezonie zimowym jest David Jiroutek, który od wiosny tego roku jest trenerem polskiej kadry B w skokach narciarskich. Spełnienie wszystkich sportowych wymagań Czechów to nie lada wyzwanie, bo ci wykazują zainteresowanie wieloma różnymi formami aktywności fizycznej. Lokalne kluby sportowe oferują możliwość uprawiania sportu od piłki nożnej po kajakarstwo. Na terenie Czech znajduje się 80 pól golfowych. Dla porównania – w Polsce jest ich 70. Sęk w tym, że pod względem liczby mieszkańców i powierzchni nasz kraj jest czterokrotnie większy.

Za bilety na hokej jak za złoto

Według raportu Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie w Czechach jest zarejestrowanych 100 tys. zawodników. Dla porównania – w Polsce ok. 2300. Po rozpadzie Czechosłowacji nasi południowi sąsiedzi sześciokrotnie zostali mistrzami świata, a w 1998 roku wygrali turniej olimpijski. Reprezentacja z tak małego kraju regularnie pokonuje drużyny z Kanady, Szwecji, Finlandii i USA.

Czesi nie biją się o organizację największych sportowych imprez, choć moim zdaniem Praga spokojnie udźwignęłaby organizację igrzysk olimpijskich. Z dużym prawdopodobieństwem

można założyć, że nawet igrzyska nie wzbudziłyby w Czechach takich emocji jak przyszłoroczne mistrzostwa świata elity. W Pradze (O2 Arena) i Ostrawie (Ostravar Arena) zagra m.in. reprezentacja Polski. Aby zobaczyć w akcji Biało-Czerwonych, trzeba głęboko sięgnąć do kieszeni. Ceny biletów na pierwszy mecz z Łotwą zaczynają się od 1980 czeskich koron, czyli ok. 350 zł. Gdyby chcieli państwo kupić wejściówki na wszystkie siedem spotkań reprezentacji Polski, kosztowałyby to 2400 zł. Do tego trzeba doliczyć koszty przejazdu, zakwaterowania... Łącznie robi się z tego spory wydatek.

– Dokładnie przeanalizowaliśmy ceny biletów z mistrzostw świata

Hokej to w Czechach wręcz religia. Na zdjęciu pękająca w szwach hala O2 Arena w Pradze.



z ostatnich 10 lat i w połączeniu z analizą wydarzeń kulturalnych i dużych wydarzeń sportowych doszliśmy do pewnych wniosków – tłumaczy Petr Briza z komitetu organizacyjnego turnieju. Wysokie ceny rozłożyły kibiców. „Chciałem obejrzeć z dziećmi dwa mecze w Ostrawie, ale 39 tys. czeskich koron wolę przeznaczyć na wyjazd na Islandię” – stwierdził ironicznie jeden z czeskich internautów. Mimo drożyzny spotkania gospodarzy obejrzy zapewne komplet widzów. To w końcu Czechy, gdzie hokej jest niczym religia.

Wychowują najlepszych na świecie

Gdy mówimy o sporcie zawodowym, jest jedno słowo-klucz, które cechuje Czechów: efektywność. Mały kraj, który pod względem liczby mieszkańców stanowi połowę Nowego Jorku, ma aż trzy zawodniczki w pierwszej dziesiątce rankingów WTA! Czesi przed laty mieli wybitnych tenisistów – Ivana Lendl i Martinę Navratilovą (którą mogą młodzi państwo kojarzyć z faktu, że przez krótki okres była konsultantką Agnieszki Radwańskiej). Ich popularność przekuto w budowę kortów tenisowych. Dziś w całym kraju jest ich aż 11,5 tys., a to nawet więcej niż w Polsce (ok. 10 tys.)! Z większości z nich można korzystać

bezpłatnie. Szacuje się, że tenis uprawia ponad 400 tys. Czechów zrzeszonych w ponad 1200 klubach. Właśnie dlatego pochodzi stąd mnóstwo uzdolnionych zawodników, co obecnie jest zauważalne zwłaszcza w żeńskim tenisie.

Wielu z najbardziej utytułowanych czeskich sportowców pochodzi z małych miasteczek. Widać to zwłaszcza w futbolu. Karierę wielu wyróżniających się czeskich piłkarzy mają bardzo podobny schemat: gra w lokalnym klubie z małej miejscowości, przejście do jednego z czołowych zespołów w Czechach, a następnie transfer do mocnej zagranicznej drużyny. Tak było w przypadku Milana Baroša, Pavla Nedvěda czy Tomaša Pekharta, który od czterech lat z krótką przerwą gra w Legii Warszawa.

Czeska myśl szkoleniowa

Na koniec – dość o sportowcach. W XXI wieku do Ekstraklasy zawitało kilku trenerów zza naszej południowej granicy. Verner Lička, mistrz olimpijski z 1980 roku, w 2005 roku po zwolnieniu Henryka Kasperczaka przejął zespół Wisły Kraków i zdobył z nią mistrzostwo Polski. Śląsk Wrocław pod wodzą Stanislava Levego zajął trzecie miejsce w lidze, a w europejskich pucharach rywalizował z Sevillą (w tym przypadku z gorszym skutkiem). Kilka lat później na ławce trenerskiej WKS-u siedział Vitězslav Lavička, z którym Śląsk utrzymywał się w ścisłej czołówce ligi. Trenera z Czech miał też lokalny rywal wrocławskiej ekipy – Zagłębie Lubin. Pavel Hapal niczym szczególnie się nie wyróżnił, ale i tak jest wspominany w naszym kraju lepiej niż Libor Pala. Kibice Lecha Poznań żegnali go białymi chusteczkami i niecenzuralnymi wyzwiskami, a jego autorski zespół Pogoni Szczecin – oparty w głównej mierze na Brazylijczykach – okazał się niewypałem. W tym ostatnim przypadku czeska myśl szkoleniowa zawiodła, choć w ogólnym rozrachunku pracę trenerów zza naszej południowej granicy można ocenić na duży plus.

CZOŁOWA 10 RANKINGU WTA

| Ranking | Imię i nazwisko | Kraj |
|---------|---------------------|------------|
| 1. | Iga Świątek | Polska |
| 2. | Aryna Sabalenka | Białoruś |
| 3. | Coco Gauff | USA |
| 4. | Jelena Rybakina | Kazachstan |
| 5. | Jessica Pegula | USA |
| 6. | Ons Jabeur | Tunezja |
| 7. | Marketa Vondroušova | Czechy |
| 8. | Karolina Muchova | Czechy |
| 9. | Maria Sakkari | Grecja |
| 10. | Barbora Krejčíková | Czechy |

MEDALE LETNICH IGRZYSK OLIMPIJSKICH

| | złote | srebrne | brązowe | łącznie |
|---------|-------|---------|---------|---------|
| POLSKA | 72 | 89 | 137 | 298 |
| CZECHY* | 68 | 71 | 71 | 210 |

MEDALE ZIMOWYCH IGRZYSK OLIMPIJSKICH

| | złote | srebrne | brązowe | łącznie |
|---------|-------|---------|---------|---------|
| POLSKA | 7 | 7 | 9 | 23 |
| CZECHY* | 12 | 19 | 28 | 59 |

* w tym Czechosłowacja

Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI

Alberto Bertolotto



SERIE A

WŁOCHY

14. KOLEJKA: Sassuolo - Roma 1:2 (Matheus Henrique 25 - Dybala 76 z karnego, Kristensen 82; czerwona kartka: Boloca 63 z Sassuolo; Nicola Zalewski z Romy na ławce), Napoli - Inter 0:3 (Calhanoglu 44, Barella 61, Thuram 85; Hubert Idasiak na ławce, Piotr Zieliński grał od 75. minuty - obaj Napoli, Tommaso Guercio z Interu poza kadrą), Torino - Atalanta 3:0 (Zapata 22 i 90+5, Sanabria 56 z karnego; Karol Linetty z Torino grał do 84. minuty i dostał żółtą kartkę). **COPPA ITALIA FRECCIAROSSA (1/8 FINALI):** Lazio - Genoa 1:0 (Guendouzi 5; Filip Jagielło z Genoi grał do 61. minuty), Fiorentina - Parma 2:2, karne 4:1 (Nzola 83, Sottili 89 z karnego - Bernabe 21, Bonny 23; Adrian Benedyczak z Parmy grał do 62. minuty).

| | | | |
|-------------------|----|----|-------|
| 1. INTER | 14 | 35 | 33-7 |
| 2. JUVENTUS | 14 | 33 | 22-9 |
| 3. MILAN | 14 | 29 | 24-15 |
| 4. ROMA | 14 | 24 | 27-16 |
| 5. NAPOLI (M) | 14 | 24 | 26-17 |
| 6. FIORENTINA | 14 | 23 | 23-17 |
| 7. BOLOGNA | 14 | 22 | 16-11 |
| 8. ATALANTA | 14 | 20 | 21-16 |
| 9. LAZIO | 14 | 20 | 15-15 |
| 10. TORINO | 14 | 19 | 13-16 |
| 11. MONZA | 14 | 18 | 15-14 |
| 12. FROSINONE (B) | 14 | 18 | 20-24 |
| 13. LECCE | 14 | 16 | 16-19 |
| 14. GENOA (B) | 14 | 15 | 15-19 |
| 15. SASSUOLO | 14 | 15 | 21-26 |
| 16. UDINESE | 14 | 12 | 12-21 |
| 17. EMPOLI | 14 | 11 | 9-26 |
| 18. VERONA | 14 | 10 | 12-21 |
| 19. CAGLIARI (B) | 14 | 10 | 13-26 |
| 20. SALERNITANA | 14 | 8 | 10-28 |

1-4 - Liga Mistrzów; 5 - Liga Europy (+triumfator Coppa Italia); 6 - el. Ligi Konferencji; 18-20 - spadek.

15. KOLEJKA

8.12: Juventus - Napoli (20.45); 9.12: Verona - Lazio (15.00), Atalanta - Milan (18.00), Inter - Udinese (20.45); 10.12: Frosinone - Torino (12.30), Monza - Genoa (15.00), Salernitana - Bologna (18.00), Roma - Fiorentina (20.45); 11.12: Empoli - Lecce (18.30), Cagliari - Sassuolo (20.45).

HISPANIA

15. KOLEJKA: Sevilla - Villarreal 1:1 (Salas 75 - Morales 77), Barcelona - Atletico 1:0 (Felix 28; Robert Lewandowski z Barcelony grał cały mecz), Celta - Cadiz 1:1 (Strand Larsen 57 - Ramos 16; czerwona kartka: Chust 33 z Cadizu).

| | | | |
|--------------------|----|----|-------|
| 1. REAL MADRYT | 15 | 38 | 33-9 |
| 2. GIRONA | 15 | 38 | 34-18 |
| 3. BARCELONA (M) | 15 | 34 | 28-14 |
| 4. ATHLETICO | 14 | 31 | 30-13 |
| 5. ATHLETIC | 15 | 28 | 30-18 |
| 6. REAL SOCIEDAD | 15 | 26 | 26-18 |
| 7. BETIS | 15 | 25 | 18-16 |
| 8. LAS PALMAS (B) | 15 | 21 | 13-13 |
| 9. GETAFE | 15 | 19 | 17-20 |
| VALENCIA | 15 | 19 | 17-20 |
| 11. RAYO VALLECANO | 15 | 19 | 16-22 |
| 12. VILLARREAL | 15 | 16 | 22-26 |
| 13. ALAVES (B) | 15 | 16 | 14-19 |
| 14. OSASUNA | 15 | 15 | 17-25 |
| 15. SEVILLA | 14 | 13 | 20-20 |
| 16. CADIZ | 15 | 12 | 12-22 |
| 17. MALLORCA | 15 | 11 | 13-20 |
| 18. CELTA | 15 | 9 | 15-25 |
| 19. GRANADA (B) | 15 | 7 | 19-35 |
| 20. ALMERIA | 15 | 4 | 16-37 |

1-4 - Liga Mistrzów; 5 - Liga Europy (+triumfator Copa del Rey); 6 - el. Ligi Konferencji; 18-20 - spadek.

16. KOLEJKA

8.12: Getafe - Valencia (21.00); 9.12: Alaves - Las Palmas (14.00), Betis - Real Madryt (16.15), Villarreal - Real Sociedad (18.30), Mallorca - Sevilla (21.00); 10.12: Atletico - Almeria (14.00), Granada - Athletic (16.15), Cadiz - Osasuna (18.30), Barcelona - Girona (21.00); 11.12: Rayo Vallecano - Celta (21.00).

W piątkowy wieczór Napoli zagra na wyjeździe z Juventusem - mecz stanowi hit nadchodzącej kolejki Serie A. Ze strony neapolitańczyków rywalizacja ze Starą

Dama należy do najważniejszych, co powoduje, że każde starcie z Bianconerimi wzbudza wielkie zainteresowanie wśród kibiców Azzurricch. Na terenie turyńczyków drużyna z Kampanii poniosła wiele bolesnych porażek, ale odniosła również kilka niezapomnianych zwycięstw. Od 1986 roku do kwietnia bieżącego roku zdobyła Turyn pięć razy, a ostatnia wygrana na Allianz Stadium (1:0) de facto zapewniła jej scudetto. O tym starciu fani Napoli rozmawiają do dziś, ale przypominają szczególnie spotkanie rozegrane 31 października 2009 roku. Ich zespół przegrywał 2:0, ale ostatecznie zwyciężył 3:2. Na ławkę trenerską przyjechał miesiąc wcześniej właśnie Walter Mazzarri, obecnie po raz drugi w karierze szkoleniowiec ekipy spod Wezuwiusza.

Dołączył do klubu w sytuacji awaryjnej

Rozgrywki 2009/10 były trzecim sezonem z rządu klubu pod wodzą Aurelio De Laurentiisa w Serie A. Jesienią prezes dokonał prawdziwej rewolucji. W ciągu dziesięciu dni pokazał drzwi dyrektorowi zarządzającemu Pierpaolo Marino, później zwolnił trenera Roberto Donadoniego. Zespół spisywał się przeciętnie (zgarzył 7 punktów w 7 meczach) i ADL chciał dać nowy impuls. Funkcję dyrektora sportowego powierzył Riccardo Bigonowi, synowi Alberto, byłego trenera Napoli, natomiast na stanowisku szkoleniowca zatrudnił Mazzariego. Dwaj fachowcy pracowali razem przez trzy lata (od 2004 do 2007 roku) w Reggynie i trzykrotnie utrzymali drużynę w Serie A. Szczególnie kariera trenera znajdowała się wówczas w fazie rosnącej, ponieważ po cudach dokonanych w Kalabrii doprowadził Sampdorię w 2008 roku do europejskich pucharów, a rok później do finału Pucharu Włoch (przegrał z Lazio). - Mazzarri przyjechał do Neapolu z półtorarocznym opóźnieniem - powiedział De Laurentiis podczas pierwszej konferencji prasowej trenera. To oznacza, że wierzył w niego od dłuższego czasu i można powiedzieć, że słusznie, bo Toskańczyk od razu wywarł wpływ na wyniki drużyny, zdobywając 7 punktów w pierwszych 3 spotkaniach.

Wieczór, który pozostanie na zawsze

Napoli pokonało Bolognę u siebie (2:1), Fiorentinę na wyjeździe (1:0) i na Fuorigrotte zremisowało w doliczonym czasie z Milanem (2:2). Mazzarri szybko ogarnął drużynę, ale przed nimi pojawił się mecz w Turynie z Juventusem. Stara Dama wtedy nie była dzisiejszą potęgą. Wróciła dwa lata wcześniej do Serie A po aferze Calciopoli i dotąd nic nie wygrała. Na ławce trenerskiej siedział Ciro Ferrara, neapolitańczyk, były obrońca Azzurricch, z którymi dwukrotnie sięgnął po scudetto i dwa razy zdobył Turyn (3:1 w 1986 i 5:3 w 1988 roku). Bianconeri nieźle rozpoczęli sezon, ale w meczu z Napoli nie mogli liczyć na siedmiu piłkarzy, wśród nich na kapitana Alessandro Del Piero. - Na wyjeździe teraz spisujemy się dobrze, nie przeraża nas gra na terenach przeciwników - powiedział Mazzarri przed turyńskim starciem. Trener miał takie przekonanie, ale spotkanie potoczyło się inaczej. Do przerwy Juventus prowadził 1:0 - piłkę do bramki wpakował głową źle pilnowany przez Hugo Campagnaro David Trezeguet, a po dziesięciu minutach drugiej połowie Stara Dama podwyższyła na 2:0. Gola strzelił Sebastian Giovinco, który bezlitośnie skorzystał z błędu obrońcy Napoli Matteo Continego. Piłkarz po dośrodkowaniu Trezeguet niezrozumiale podał głową futbolówkę Giovinco, który pokonał Morgana De Sancitsa. „Co robisz, Contini?” - powtarzał po obejrzeniu gola znany neapolitański komentator Raffaele Auriemma.

Napoli wydawało się tracić nadzieję na zapunktowanie w Turynie, ale Mazzarri w odpowiednim czasie podjął decyzję, która zmieniła mecz. Z ławki rezerwowych w 13. minucie drugiej po-

14 lat temu Juventus przyjął od Napoli trzy ciosy, a na koniec z boiska wyleciał na pastnik Bianconerich Amauri.



Turyn da się zdobyć

Rzadko, ale się udaje i to zawsze są niezapomniane mecze. Co Napoli zrobiło Juventusowi w 2009 roku i na co liczy w piątek?

łowy wszedł wahadłowy Jesus Datolo: Argentyńczyk od razu potrafił wywrócić starcie do góry nogami, ponieważ minutę po wejściu zdołał dośrodkować z lewej strony boiska i z najbliższej odległości Marek Hamšík uderzył na 1:2. Po pięciu minutach Azzurri wyrównali. Gigi Buffon odbił piłkę po strzale głową Germana Denisa, pierwszy przy futbolówce był Datolo i wślizgiem wpełznął ją do siatki. Podopieczni Mazzariego niespodziewanie odrobili straty i w 81. minucie wyprzedzili Juventus. Bohaterem gola na 3:2 był ponownie Datolo - po jego centrze Tiago źle odbił piłkę, która dotarła do wchodzącego w szesnastkę Hamšíka. Słowak uderzył na wagę trzech punktów. „Chcemy tu umrzeć, pochowajcie nas tutaj, na stadionie olimpijskim w Turynie” - krzyknął po голу „Marekiaro” komentator Auriemma. Jego relacja z meczu stała się kultowa. „Juve zszokowany podczas nocy w Halloween” - napisał wysłannik „La Gazzetta dello Sport” Nicola Cecere. Rzeczywiście tak było, a Ferrara powiedział: „To jest cios, który strasznie boli”.

Epicki mecz

Po 21 latach Napoli zdobyło Turyn. Zwycięstwa z Juventusem mają specjalny smak, dlatego na lotnisku Capodichino piłkarze Mazzariego zostali przywitani owacjami przez 1500 kibiców. Wśród nich znajdował się obrońca Matteo Contini, który specjalnie dla „PS” wspomina ten mecz: - Patrząc na przebieg tego spotkania - również z mojej winy - można powiedzieć, że dokonaliśmy cudu - mówi dziś trener Desenzano (zespół włoskiej Serie D). - Znaleźliśmy siłę, żeby odrobić straty i potem zdobyć trzy punkty. Mazzarri, po swoim przybyciu, przekazał nam spokój i ducha walki, dzięki temu wygraliśmy w ostatnich minutach meczu i z Bologną, i z Fiorentiną. To wszystko według mnie zaowocowało zwycięstwem z Juventusem, który dla kibiców Napoli jest wielkim rywalem. Ten mecz należy do najbardziej epickich, w jakich grałem - dodaje Contini. A co z Datolo? - Wszedł na boisko z odpowiednim podejściem do gry, a znalazł również przestrzenie, żeby skorzysać ze swoich cech - wskazuje 43-latek. Datolo potem nie wypadł i po sezonie odszedł z Napoli. - Może trzeba było na niego czekać, dla niego był to pierwszy rok we Włoszech, musiał dostosować się do nowej kultury? - zastanawia się Contini. Po tym spotkaniu De Laurentiis podkreślił, że Mazzarri jest „o wiele lepszy niż trener Interu Mourinho”, a „La Gazzetta dello Sport” napisała, że „w ciągu miesiąca Mazzarri postawił na nogi nadzieję miasta”. W jego nowej przygodzie w Neapolu jeszcze nie udało mu się tego zrobić. Zacznie w Turynie?

Matteo Contini (na zdjęciu w barwach Bari) występował w Napoli w latach 2007-10.





W najbliższą sobotę na Lower.com Field rozegrany zostanie ostatni mecz tegorocznego sezonu MLS. O okazywały puchar o nazwie Philip F. Anschutz Trophy powalczą gospodarze Columbus Crew, dla których jest to już czwarty finał od 2008 roku, i Los Angeles FC z Mateuszem Boguszem, którzy liczą na drugi tytuł z rzędu.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Giorgio Chiellini, krzyżąc przez tubę, zachęca kibiców do wspólnych przyśpiewek. U jego boku w szampańskim nastroju Polak Mateusz Bogusz oraz inni również szczęśliwi piłkarze Los Angeles FC. Przed chwilą pokonali w finale konferencji MLS West Houston Dynamo i awansowali do starcia o MLS Cup w Columbus. Tam będzie dużo trudniej, bo miejscowi Crew grają naprawdę kapitalny futbol.

Jeśli z tarczą z tego boju wyjdą piłkarze Crew, będzie to ich trzeci tytuł. Jeśli górą będą goście, zostaną pierwszym zespołem od 2012 roku, któremu udało się obronić mistrzostwo. Ten trudny do osiągnięcia i rzadko spotykany w MLS wyczyn przypadł wówczas w udziale sąsiadom zza miedzy – Los Angeles Galaxy.

Ostatni mecz legend?

Trudno jest wskazać faworyta. Z jednej strony LAFC to ekipa dobrze poukładana taktycznie przez trenera Steve'a Cherundolo i która ma w swoim składzie autentyczne gwiazdy. Reprezentant Gabonu Denis Bouanga to król strzelców sezonu zasadniczego (20 goli) i najskuteczniejszy – obok Cucho Hernandez – zawodnik fazy playoffs. To dzięki jego bramkom (trzy w dwumeczu z Vancouver Whitecaps oraz jedyne trafienie w Seattle) Czarno-Złoci dotarli do finału konferencji. Tam (2:0 z Houston Dynamo) błysnął Carlos Vela, który co prawda zmarnował wszystkie swoje okazje do zdobycia bramki (po kwadransie mógł mieć hat tricka), ale w 44. min popisał się świetną centrą z rzutu różnego, po której gospodarze objęli prowadzenie. Kiedy zmieniał go Mateusz Bogusz, 34-letni Meksykanin otrzymał owacje na stojąco. Wszystko dlatego, że od 2018 roku doprowadził LAFC do dwóch Supporters' Shields (tytuł dla najlepszej ekipy sezonu zasadniczego), mistrzostwa w 2022 oraz dwóch finałów Ligi Mistrzów CONCACAF. Sobotnie starcie w Ohio może być – w związku z wygasającym kontraktem – jego ostatnim w barwach klubu z Los Angeles, dla którego rozegrał 163 mecze, zanotował 80 goli i 65 asyst.

To potencjalnie także ostatnie tango dla Giorgio Chielliniego, który do LAFC trafił w 2022 roku i w swoim pierwszym sezonie wywalczył tytuł mistrza. 39-letni Włoch może podążyć śladem Garetha Bale'a, który zakończył klubową karierę w listopadzie ubiegłego roku po finale MLS, w którym strzelił bramkę i pomógł LAFC pokonać Philadelphia Union. Chiellini jest jak wino, spisuje się znakomicie: w meczu z Houston wziął udział w akcji dającej gospodarzom pierwszego gola oraz zadbał o spokój w tyłach. Bramkarz LAFC Maxime Crepeau – ten, który w finale rok temu obejrzał czerwoną kartkę i... złamał nogę – nie musiał wyciągać piłki z siatki już od 367 minut.

Ostatnie tango w Columbus



Załoga z charyzmą

Ale po drugiej stronie barykady stanie klub, którego zarząd nie boi się ryzyka, trener ma największy talent i charyzmę w lidze, a drużyna gra bodaj najbardziej ofensywny futbol w MLS. Crew jest gdzie jest m.in. dzięki nieoczywistym ruchom prezesa Tima Bezbatchenki, który święcił triumfy z Toronto FC, ale w 2019 roku przeniósł się do miejsca, skąd pochodzi, czyli Ohio. To on rok temu podziękował Calebowi Porterowi, pod którego batutą Crew sięgnęli po MLS Cup 2020 i zastąpił go Wilfriedem Nancyem, który miał za sobą bardzo udany, dwuletni pobyt w Montrealu. To on też sprawił, że kiedy w lipcu do arabskiego Al-Fateh trafił największy gwiazdor Crew Lucas Zelarayan, niemal natychmiast do ekipy z Ohio przeszedł Diego Rossi z Fenerbahce. To wreszcie on w lipcu 2022 roku nie bał się wysupłać rekordowych 10 milionów dolarów za Hernandezę, który występował wówczas w angielskim Watford.

Wszystko to wypaliło, bo w sezonie zasadniczym 2023 Crew pod batutą Nancy'ego strzelili 67 goli i zajęli trzecie miejsce na Wschodzie. Świetnie spisywali się przede wszystkim na swoim pięknym obiekcie

Piłkarze Los Angeles FC zostali mistrzami Konferencji Zachodniej MLS. Pójdą za ciosem?

Lower.com Field, gdzie przegrali tylko jedno z 17 spotkań (w kwietniu z Interem Miami) i z aplikowali rywalom 41 goli. Po odejściu Zelarayana obudził się instynkt strzelecki u 24-letniego Cucho (11 meczów/11 bramek). Reprezentant Kolumbii nie przestał błyszczeć także w playoffs. W finale Wschodu rozegrał swój najlepszy mecz w barwach Crew i choć zakończył go „tylko” z asystą, to bezapelacyjnie był architektem szokującego triumfu 3:2 w Cincinnati. Wygrana ekipy z Columbus była niespodziewana, bo ich przeciwnik FC Cincinnati to nie tylko najlepsza drużyna w lidze w sezonie zasadniczym, ale i do 75. minuty prowadził 2:0. Końcówka w wykonaniu ekipy Nancy'ego była jednak piorunująca, a w rolach głównych wystąpili właśnie Cucho, Rossi oraz rezerwowi Julian Gressel i Christian Ramirez, którzy trafili do Crew w tym roku z Vancouver i Aberdeen.

Dramaturgia do końca

W poprzednich latach w meczach finałowych nie brakowało emocji. Rok temu LAFC pokonali Philadelphia Union po meczu, który okrzyknięto najlepszym w historii MLS. Po 90 minutach było 2:2, a kolejne gole padły w... doliczonym czasie dogrywki. Najpierw w 124. minucie Jack Elliott trafił dla gości, a cztery minuty później wyrównał Bale. Rzuty karne przyniosły skuteczność miejscowych oraz kapitalne parady rezerwowego golkipera LAFC Johna McCarthy'ego, który wszedł na boisko po czerwonej kartce Crepeau w 110. minucie. Istne szaleństwo, ale świetne widowisko, czego nie można było powiedzieć o starciu z 2021, kiedy New York City FC – również dzięki rzutom karnym – okazał się lepszy od Portland Timbers, w którego składzie był Jarosław Niezgoda. W czterech wcześniejszych finałach dosyć pewnie wygrawali gospodarze. Wydaje się, że ofensywny styl gry Crew, walka duetu Biuanga – Cucho oraz ostatnie występy Veli i Chielliniego sprawia, że w sobotnim meczu znów możemy spodziewać się spektaklu na świetnym poziomie.

A grę o MLS Cup warto także śledzić z patriotycznych pobudek. W Crew występuje bowiem mający – co prawda dalekie – polskie korzenie Sean Zawadzki (23 lata, wychowanek), a w LAFC od tego sezonu gra o rok młodszy Mateusz Bogusz. Były piłkarz Ruchu radzi sobie w USA świetnie i od 16 kwietnia zaliczył w barwach ekipy z Los Angeles już 41 spotkań na sześciu frontach: Pucharze USA, Lidze Mistrzów CONCACAF, Campeones Cup, Leagues Cup, sezonie zasadniczym MLS i playoffs. Dotychczas zdobył tylko trofeum za wygrany finał Konferencji Zachodniej, po którym tak hucznie i spontanicznie celebrował wraz z Chiellinim i kibicami. Jeśli sięgnie po MLS Cup, dołączy do tercetu Roman Kosecki, Jerzy Podbrożny i Piotr Nowak, którzy w 1998 zgarnęli całą pulę z Chicago Fire.



Mateusz Bogusz może zostać czwartym Polakiem, który sięgnie po mistrzostwo Major League Soccer.

BOGUSZ: Zrobię swoje!

TOMASZ MOCZERNIUK: Jak smakuje pierwsza zdobycz pucharowa w USA?

MATEUSZ BOGUSZ: Wiadomo, że fajnie coś wygrać, ale zdajemy sobie sprawę, że najważniejszy mecz sezonu jest wciąż przed nami.

W meczu z Houston udowodniliście, że bez bramkowego udziału Bouangi też można wygrać. Jak ważne to jest dla waszej pewności siebie, bo w poprzednich rundach to on na swoich plecach wniósł do finału?

Denis w tym sezonie jest niemożliwy, ale pracuję na to cała drużyna. Obojętnie, kto strzela, ważne, żeby na koniec wygrała drużyna.

Teraz wyjazd do Columbus. Pokazaliście, że potrafiacie wygrywać poza domem w Vancouver i Seattle. Czy należy się spodziewać kolejnego

meczu na 1:0? A może będzie wymiana ciosów jak rok temu z Philadelphią?

Trudno powiedzieć, bo finał rządzi się swoimi prawami. Zobaczymy, ale mam nadzieję, że wynik będzie korzystny dla nas.

Widzieliśmy, jak celebrowaliście z kibicami pod batutą Chielliniego. Czy jest większym liderem niż Bouanga czy Carlos Vela?

Mi też się zdarzyło prowadzić doping po meczu! To oczywiście nie oznacza, że jestem większym liderem niż ktokolwiek inny. Oczywiście to, że mamy wśród nas takich zawodników, którzy grali na top poziomie, ciągnie drużynę na boisku pod względem mentalnym. Ale mamy też i młodych, którzy dopiero wchodzą, i każdy z nas dokłada cegiełkę do tego sukcesu. Myślę, że na pewno balans jest odpowiedni.

Ma pan przeczucia dotyczące swojego występu? Wyjdzie pan od początku czy z ławki?

Jeszcze nie podano składu. Ale czy od początku, czy z ławki, ja zrobię swoje, tak jak to robiłem przez cały sezon. Najważniejsze jest zwycięstwo!

Komentarze Felietony Opinie

DARIUSZ DZIEKANOWSKI

63-krotny reprezentant Polski



STRZAŁ W „10”

UEFA ZASERWOWAŁA NAM MARZENIA O EURO 2024

Wszystkie teksty Dariusza Dziekanowskiego dostępne po zeskanowaniu kodu QR za pomocą aparatu fotograficznego w smartfonie.



Wszystkie teksty Michała Zaranka dostępne po zeskanowaniu kodu QR za pomocą aparatu fotograficznego w smartfonie.



Poznaliśmy potencjalnych grupowych rywali, z którymi być może zmierzmy się w przyszłorocznych mistrzostwach Europy w Niemczech. Na razie możemy nazywać ich przeciwnikami, możemy puścić wodze fantazji i bezkarnie spekulować na temat szans w rywalizacji z Francją, Holandią i Austrią. I tak możemy bawić się do marca, kiedy przyjdzie zagrać w barażach o to, by marzenia o starciach z tak renomowanymi rywalami się spełniły. Nie bez powodu użyłem zwrotu „marzenia o grze” wobec przydzielonych przez los przeciwników, bo generalnie, abstrahując od naszych szans w play-off, za każdym razem przy okazji losowania jestem zwolennikiem tego, żeby trafiać właśnie na klasowych rywali i to z kilku powodów. Po pierwsze, z punktu widzenia kibica nic nie wywołuje takiego dreszczyku emocji jak perspektywa mierzenia się z najlepszymi. Inną wagę emocjonalną ma rywalizacja z Francją, Holandią, Anglią czy Niemcami, a inną mecze z Czechami czy Rumunią. Mówię to dziś z pozycji kibica, ale prawdopodobnie bierze się to stąd, że w taki sposób patrzyłem na to z poziomu murawy, gdy byłem piłkarzem. To zwycięstwa z potencjalnymi potęgami po latach obrastają legendą, a w bezpośrednim następstwie budują morale drużyny. To wygrane z Niemcami czy Włochami kreują bohaterów i budują wiarę w szatni.

★ ★ ★

Pod drugie, przypomnijmy sobie ostatnie dobre lata reprezentacji za czasów trenera Adama Nawalki. Co najbardziej zapamiętaliśmy z eliminacji EURO 2016, jak nie gole Arkadiusza Milika i Sebastiana Mili, które dały wygraną nad Niemcami? Zestawmy tamte kwalifikacje z tymi wciąż dla nas trwającymi, kiedy po wylosowaniu Czechów, Albanii, Mołdawii i Wysp Owczych awans przyjęliśmy za pewnik. Per-

spektywa rywalizacji z mocarzami wyzwała w polskich piłkarzach zupełnie inną motywację niż konieczność wyjazdu do Kiszyniowa czy Tirany. Przywołajmy sobie słynną wypowiedź Jana Bednarka, który po blamażu w Mołdawii przyznał, że w przerwie spotkania, przy prowadzeniu 2:0, on i jego koledzy mentalnie wyjechali już na wakacje. A o to przecież nam chodzi, by z tymi, którzy uchodzą za faworytów europejskiej czy nawet światowej piłki, walczyć na podobnym poziomie. Takie mecze wyzwają ogromną motywację, ale też uczą pokory, której od jakiegoś czasu bardzo nam brakuje. Bo niby mamy potencjał, piłkarzy grających w czołowych europejskich klubach, ale nijak nie przekłada się to na wyniki. I nie pomagają energiczne i głośne przemowy selekcjonera Michała Probiezera. Nie chciałbym, żeby w kolejnych eliminacjach naszym marzeniem nie był bezpośredni awans do turnieju, tylko za sukces uznajemy miejsce dające prawo gry w barażach.

Po trzecie, uważam, że selekcjoner mógłby, a nawet powinien wykorzystać tę grę w barażach do większej motywacji naszych zawodników – „Dajcie z siebie wszystko z Estończykami, a potem Walijczykami lub Finami, to spotka was nagroda w postaci możliwości pokazania się w wielkim turnieju, i to od razu na największej scenie”. Czyż nie o to chodzi w piłce, żeby móc sprawdzić się w rywalizacji z Frenkiem de Jongiem, Virgilem van Dijkem, Antoine’em Griezmanem, Aurelianiem Tchouamenim czy Kylianem Mbappe? Między innymi temu przekonaniu, że „wcale nie jestem od nich gorszy”, swój sukces i status w światowej piłce zawdzięcza Robert Le-

wandowski. Gra w Barcelonie jest spełnieniem jego marzeń.

★ ★ ★

Piszę o marzeniach, ale w kraju dopadają nas sprawy przyziemne. Chodzą o kolejną aferę dotyczącą sztabu kadry, czy jak kto woli pracowników PZPN. Głośnym echem odbiło się niedawno zwolnienie trenerów przygotowania fizycznego Remigiusza Rzepki i Andrzeja Kasprzaka. Podobno głowy poleciały, bo ktoś zapomniał o przypilnowaniu kamizelek GPS podczas jednego z treningów (a może ktoś szukał pretekstu). Teraz, po ponad dekadzie pracy w związku, z funkcją rzecznika prasowego, a od jakiegoś czasu jednocześnie team managera, żegna się Jakub Kwiatkowski. Okoliczności dymisji znowu owiane są tajemnicą, nie wiadomo do końca, o co poszło, kto zawinił, kto popełnił błąd. Z całym szacunkiem dla Jakuba i jego pracy, ale fakt, że kibice żyją tym wydarzeniem, świadczy głównie o tym, jak bardzo na dalszy plan zeszyły sprawy podstawowe, czyli gra drużyny. A dzieje się tak, bo od dłuższego czasu reprezentacja wzbudza tylko złe emocje. Zaczęło się rok temu w Katarze i jest tylko gorzej. A że z boiska wciąż wieje nudą, więc tym bardziej ekscytujemy się pozaboiskowymi tematami. Inna sprawa to fakt, że ta dymisja idealnie wpisuje się w poziom problemów towarzyszących obecnym władzom PZPN i selekcjonerowi. Niby wygląda to tak, jakby nie było większych kłopotów, a tak naprawdę to wciąż odsłaniają się kolejne poziomy góry lodowej, w kierunku której dryfujemy. Bo czy ktoś rozsądny wierzy, że zwolnienie rzecznika może być przełomem w grze drużyny, oczyści w niej atmosferę? Ja nie wierzę, wręcz mam wrażenie, że będzie wprost przeciwnie. Do tego ostatni komunikat: „To nie prezes czy zarząd związku zdecydował o zwolnieniu, a... selekcjoner”. Kto zatem steruje naszym statkiem, kto decyduje, kto zwalnia, a kto zatrudnia członków załogi?

MICHAŁ ZARANEK

publicysta „Przeгляdu Sportowego”

WIĘCEJ NIŻ PIŁKA

REPREZENTACJA I MĄDROŚCI LUDOWE

Czy zauważyliście, jak bogaty jest język polski w ostrzeżenia przed nadmierną pewnością siebie, fałszywymi nadziejami, pochopnym optymizmem? W takich przysłowia i powiedzeniach mowa jest o skórze na niedźwiedziu czy o indyku i niedzieli. Jest nawet wersja dla wegetarian – o gruszkach na wierzbie. Wyklinaliśmy grę i wyniki reprezentacji w eliminacjach EURO 2024, ale gdy w minioną sobotę w Hamburgu rozlosowano grupy finałowe mistrzostw Europy, wszystkie te przestrogi i mądrości ludowe poszły w zapomnienie. Już zaczęto narzekać na trudną grupę, zastanawiać się, jak wypadniemy w starciu z Francją, czy uda się nie przegrać z Holandią, czy pokonamy Austrię. Czyli: jakie mamy szanse na wyjście z tej grupy. Śmieszne, bo przecież na żadnej z losowanych 24 kartek nie było napisu „Polska”. Nawet UEFA nie zaprosiła na tę uroczystość trenera Michała Probiezera, bo przecież awansu do imprezy nie

wywalczyliśmy. Rozważania o naszych szansach rozpoczęły się, gdy Brian Laudrup pokazał kartkę z napisem „Play-off Winner A”. Właśnie, „Winner”, czyli zwycięzca barażu. Drużyna Probiezera jeszcze nim nie jest, a czy będzie, to nic pewnego. Tu właśnie niedźwiedź się draapie, indyk myśli o niedzieli, a gruszki obrodziły na wierzbie. Skąd taka pewność, włączają się alarmy. Pierwsza przeszkoda barażowa wydaje się łatwiutka. Co tam jakaś Estonia? Też myślę, że sprawa jest przesądzona. Aż tu nagle niedźwiedź mnie trąca i przypomina, że po pierwszej połowie meczu w Kiszyniowie jeszcze bardziej byłem pewny zwycięstwa nad Mołdawią. A indyk się zamyśla i podpowiada, że wtedy w czerwcu reprezentacja Mołdawii zajmowała 164. miejsce w rankingu FIFA, a Estonia jest o wiele wyżej – na 122. Żeby komuś gruszką w marcu (te wierzbowe pewnie będą już dojrzałe) nie spadła wtedy na głowę. A jeśli nie walnie w ciemność, to później czeka na polskich pił-

karzy Walia (wygrała w eliminacjach z Chorwacją, jest wyżej w rankingu od naszej reprezentacji) lub Finlandia (sześć zwycięstw w kwalifikacjach). To już nie są słabe zespoły, które można lekceważyć, a przecież nawet z takimi ostatnio nam nie idzie. Nie ma co zakładać z góry, że je pokonamy. Można się przejechać jak Zabłocki na mydle. Gdyby jakoś się udało wygrać te baraże i etykietkę „Play-off Winner A” zamienić na „Poland”, to po chwilowej euforii zapowiada się wielkie rozczarowanie. Przy obecnym poziomie gry kadry Francja, Holandia, a nawet Austria są poza zasięgiem naszych piłkarzy. Tak się biję z myślami, że może i lepiej by było, żeby przegrać te marcowe baraże i nie dołować się porażkami na turnieju w Niemczech? Wykorzystał ten czas na odkładaną w nieskończoność przebudowę reprezentacji, tak jak kilka lat temu zrobili to Włosi czy Holendrzy, i wystartować do kolejnych eliminacji (mistrzostw świata 2026) już z inną drużyną i nastawieniem.

Tak mnie dopadło coś z tymi mądrościami ludowymi, więc przypomniało mi się jeszcze jedno. To o żabie, która nogę podstawiła, gdy konia kupą. Tak, tak, oczywiście, to o premii za awans dla Fernando Santosa. PZPN zgodził się na to w kontrakcie Portugalczyka. No dobrze, ale przecież on eliminacji nie dokończył, żadnego awansu nie wywalczył i to z nim drzemającym na ławce reprezentacja poniosła wszystkie trzy wyjazdowe porażki w tych rozgrywkach. Ten awans, ewentualnie, może wygrać dopiero Probiezera w barażach. A żeby było jeszcze dziwniej, to w ogóle szansę na udział w tych barażach Polska zawdzięcza jedynie wynikom w Lidze Narodów UEFA, gdy selekcjonerami byli Jerzy Brzęczek i Czesław Michniewicz i utrzymali nasz zespół w Dywizji A. Za co więc te (skoro komuś innemu uda się wygrać baraże) 180 tys. euro dla Santosa? PZPN nie przestaje mnie zadziwiać.



Lista piłkarzy grających w Górniku i jednocześnie tworzących siłę Biało-Czerwonych jest imponująca. Górnik masowo dostarczał kadrowiczów w latach świetności, która skończyła się wraz z upadkiem PRL. Wtedy okazało się, że pogrążony w coraz większym kryzysie przemysł wydobywczy nie jest już w stanie finansować sportowych drużyn. Szukano nowych inwestorów, którzy nie zawsze okazywali się słowni i rzetelni, co było brutalnym zderzeniem z nową rzeczywistością.

Nieuchronne i często bolesne zmiany dotyczyły oczywiście wielu klubów, które funkcjonowały na profesjonalnym poziomie dzięki wsparciu kopalń. Górnik 14 grudnia 1948 roku zaczął istnieć właśnie dzięki kopalniom. Po zakończeniu drugiej wojny światowej władza ludowa pochyliła się także nad sportem i arbitralnie zdecydowała, że sportowe kluby będą utrzymywane przez ważne gałęzie przemysłu. Najbardziej miały skorzystać te największe, które integrują lokalną społeczność, choć wtedy mówiło się raczej o ludzi pracującym miast i wsi. Na tym gruncie w Zabrzu powstał Górnik – w wyniku połączenia czterech mniejszych klubów.

PIERWSZY BYŁ MACHNIK

Siedem lat później awansował do ekstraklasy (nazywanej wówczas I ligą), a w pierwszym meczu na najwyższym szczeblu (18 marca 1956 roku) pokonał Ruch Chorzów (3:1), który miał w składzie wielu świetnych zawodników: Ryszarda Wyrobka, Henryka Bartyle, Czesława Suszczyka, Gerarda Cieślaka i Henryka Alszera. Ten ostatni zdobył bramkę, ale na niewiele się to zdało, bo gracz trenera Augustyna Dziwiśza byli skuteczniejsi – dwa razy trafił Edward Jankowski i raz Manfred Fojcik. Górnik sezon skończył na szóstym miejscu, lecz w następnym był już mistrzem. I potem w ciągu 31 lat powtórzył ten wyczyn 13 razy. Jeszcze zanim po raz pierwszy wygrał ligowe rozgrywki, miał już pierwszego reprezentanta Polski. Był nim urodzony w Wadowicach **Józef Machnik** – dzisiaj zapomniany bramkarz, który w Górniku spędził niespełna trzy lata. W kadrze narodowej po raz pierwszy wystąpił w warszawskim meczu z Norwegią (5:3) 28 października 1956 roku.

LIDER LUBAŃSKI

A kto jako piłkarz Górnika najczęściej grał w narodowej drużynie? Oczywiście **Włodzimierz Lubański**. Pod koniec reprezentacyjnej kariery był już zawodnikiem KSC Lokeren, jednak jako zabrzański zagrał w 64 meczach kadry i strzelił 62 gole, a wśród nich tak ważny jak w spotkaniu z Anglią (2:0) na Stadionie Śląskim w czerwcu 1973 roku, co nadało Biało-Czerwonym rozpędu w walce o awans do finałów MŚ w RFN. Lubański w turnieju nie wystąpił, bo wciąż zmagał się ze skutkami kontuzji z konfrontacji z Chorzowem. Miał również wielki wpływ na zdobycie przez Polskę mistrzostwa olimpijskiego w Monachium, co było początkiem złotej dekady w historii naszego futbolu. On tę historię pisał zresztą od 16. roku życia, bo wtedy debiutował w kadrze i od razu zdobył bramkę (9:0 z Norwegią).

GÓRNICZY UROBEK DLA POLSKI

Górnik Zabrze 14 grudnia świętuje 75-lecie istnienia. To jeden z najważniejszych klubów w historii naszego futbolu. Nie tylko dlatego, że 14 razy zdobywał mistrzostwo kraju, 6 razy Puchar Polski i zagrał w finale Pucharu Zdobywców Pucharów. Aż 70 piłkarzy reprezentujących barwy Górnika występowało w kadrze narodowej, a wśród nich takie tuzy, jak Lubański, Pohl, Szarmach, Sztołtysik, Gorgoń, Matysik i Ośliżto.

Antoni BUGAJSKI



Na drugim miejscu wśród zabrzańskich górników grających w reprezentacji Polski jest **Stanisław Ośliżto**, który w koszulce z białym orłem wystąpił 57 razy. Wybitny obrońca urodził się o dekadę za wcześnie, bo ominął go udział w wielkich osiągnięciach reprezentacji. W drużynie Kazimierza Górskiego pojawił się tylko raz, na dodatek w przegranym 1:3 meczu z RFN (10.10.1971). Miał 34 lata, co wówczas dla wyczynowego piłkarza było wiekiem mocno zaawansowanym.

GORGON PO SPADKU

Podium zabrzańskich kadrowiczów zamyka **Jerzy Gorgoń**, który zgromadził

55 meczów i był mistrzem, wicemistrzem olimpijskim oraz medalistą mistrzostw świata. Jak wiele znaczył dla reprezentacji, najlepiej świadczy fakt, że nie potrafił definitywnie z niego zrezygnować mający na to wyraźną ochotę Jacek Gmoch, mimo że rośli obrońca nie zagrał w żadnym spotkaniu w kwalifikacjach do MŚ w Argentynie. Gdy jednak trzeba było skompletować kadrę na mundial, Gmoch odkurzył Gorgonia i jest to tym bardziej warte podkreślenia, że stoper ze swoją klubową drużyną dotował i spadł do II ligi, bo w 1978 roku zabrzańcom przytrafiło się to po raz pierwszy, od-

kład do niej awansowali. Gorgoń po degradacji nie opuścił Górnika, więc na argentyńskim mundialu grał w zasadzie jako drugoligowiec, co nie przeszkodziło mu występować w podstawowym składzie. Miejsce czwarte dla **Waldemara Matysika**, który reprezentuje już pokolenie górników z lat 80. Zdobył awans, a potem medal na MŚ w Hiszpanii i zagrał też na mundialu w Meksyku. Był bardzo pożytecznym defensywnym pomocnikiem. Takim, co nie wyrwał się do przodu, nie imponował dryblingami, szarżami i prostopadłymi podaniami przez dwie linie, ale

niezwykle sumiennie wykonywał podstawową robotę, rozbijając akcję rywali i przekazując piłkę kreatywnym piłkarzom. W kadrze jako górnik zagrał 51 razy. Z drużyną z Roosevelta zdobył trzy mistrzowskie tytuły, a potem wyjechał do AJ Auxerre i będąc piłkarzem francuskiego klubu, dorzucił jeszcze cztery mecze dla polskiej kadry.

5 W FINALE, 6 W MEKSYKU

Za Matysikiem z 46 meczami w reprezentacji jest **Zygfryd Sztołtysik**. Zawsze będziemy pamiętać go z meczu z ZSRR, który musieliśmy wygrać, aby zachować szanse na awans do finału olimpijskiego w Monachium. Przegrywaliśmy jednak w Augsburgu 0:1. Zyga na boisku pojawił się w 69. minucie. Za chwilę z karnego wyrównał Kazimierz Deyna, a w 87. minucie po akcji z Lubańskim zwycięską bramkę dla Polski zdobył Sztołtysik. A w zwycięskim finale z Węgrami aż pięciu piłkarzy z podstawowego składu reprezentowało Górnika Zabrze. Na miejscu szóstym jest **Jan Urban**, a więc tutaj drugi po Matysiku piłkarz z drużyny, która seryjnie zdobywała tytuły w ostatniej dekadzie przed upadkiem PRL. Urban w roli gracza z Zabrza w kadrze ma 42 mecze, bo wcześniej siedmiokrotnie był kadrowcem z Zagłębia Sosnowiec, a potem ośmiokrotnie z Osasuny Pampeluna. Górnika reprezentował na mundialu w Meksyku i przy tej okazji warto odnotować jeszcze jeden fakt: na mistrzostwa świata w 1986 roku Antoni Piechniczek zabrał aż sześciu piłkarzy z Zabrza.

OSTATNI KURZAWA

Siódmą lokatę zajmuje **Ernest Pohl** – piłkarz na tyle niezwykły i ważny dla Zabrza, że został patronem stadionu przy Roosevelta. Najpierw w kadrze grał jako warszawski legionista (7), ale potem był już tylko Górnik. W sumie tych kadrowych meczów w zabrzańskiej roli miał 39 i strzelił w nich 33 bramki, a taką snajperską średnią może zrobić wrażenie nawet na Robertcie Lewandowskim. Kolejne miejsca zawodników delegowanych z Górnika do reprezentacji Polski mają **Andrzej Szarmach** z 34 meczami, (który jako zabrzański był wicekrólem MŚ i królem strzelców IO), **Andrzej Pałasz** też z 34 meczami oraz **Roman Lentner**, **Hubert Kostka** i **Józef Wandzik**, którzy w kadrze mają po 32 mecze z zabrzańską pieczęcią. Listę 70 górników w randze reprezentanta Polski – tym razem chronologicznie – zamyka **Rafał Kurzawa**. Na koniec ma 7 meczów w kadrze, ale 4 właśnie jako górnik. Był nim na mundialu w 2018 roku, gdzie zagrał w meczu z Japonią (1:0), notując asystę przy zwycięskim голу. I właśnie 28 czerwca 2018 roku po raz ostatni widzieliśmy piłkarza z Roosevelta w barwach drużyny narodowej. Nie było następnego zawodnika ani na 70-lecie klubu, ani teraz na 75-lecie. Trzeba wierzyć, że selekcjoner Michał Probiez nawiąże do dobrej tradycji i znowu w kadrze znajdzie się ktoś z Roosevelta. W końcu on też był piłkarzem Górnika i to przez siedem sezonów.

Dzień dobry, kope lat... WŁADYSŁAW KOZAKIEWICZ

POŁAMAŁEM 27 TYCZEK NORMALNA SPRAWA

Koszmary z dzieciństwa zamiast go złamać – zahartowały. Był twardy, nie bał się wypadków na skoczni i miał swoje zdanie. Jego moskiewski „wał” ze zwycięskiego finału igrzysk to jedna z najbardziej pamiętnych chwil w historii polskiego sportu. 8 grudnia Władysław Kozakiewicz kończy 70 lat.

70
LAT
minęło

rozm. Przemysław OSIĄK



– Pana wizyta w Paryżu to prezent na 70. urodziny?

WŁADYSŁAW KOZAKIEWICZ: Tak, żona zaprosiła mnie na tydzień do miasta miłości. Jesienna pogoda, ale Paryż zawsze jest przyciągający. W czasach kariery zawodniczej byłem tu kilkanaście razy, choć nie po to, by zwiedzać. Raczej lotnisko, hotel i stadion, choć celę dzwonnika z Notre Dame widziałem. Ale był taki przyjemny start, chyba w 1982 roku. Skakaliśmy pod samą wieżę Eiffle’a, konkurs organizowała gazeta „L’Equipe”. Startowało ze stu tyczkarzy, na pięciu skoczniach. Wygrał... dzisiejszy jubilat, Tadek Ślusarski był drugi. Pokonaliśmy Francuzów.

– Osiągnął pan w sporcie wielkie sukcesy, choć pochodzi z rodziny, w której za sprawą nadużywającego alkoholu ojca często dochodziło do aktów przemocy – wobec żony i dzieci. Co sprawiło, że te przykre doświadczenia pana nie złamały, ale zahartowały?

Ten okres dla rodziny był faktycznie tragiczny, bo ojciec sam dla siebie był najważniejszy, a nas – żonę i troje dzieci – traktował jak służbę. Był cholerykiem i sadystą, to prawda. Ale ten czas przeminął. Dziś, gdy człowiek słyszy w telewizji, że dzieci mają trudne życie i dlatego się nie uczą, trudno mi to zrozumieć. Bo to są ludzkie słabości, a przez życie i tak trzeba przejść. Ja nie potrzebowałem psychologa. Z mamą i rodzeństwem byliśmy mocno związani i mimo strachu przetrzymaliśmy to wszystko. Jeśli mieszka się na 36 metrach kwadratowych, to nie ma gdzie uciec.

Mój charakter przekładałem na sport. Umiałem słuchać trenera, choć oczywiście nie jak dyktatora, a także starszego o pięć lat brata Edwarda, również lekkoatletę. Może przez te wszystkie doświadczenia byłem bardziej samodzielny, wytrzymały, twardszy, bardziej chciałem dojść do wyników. W domu było lanie przy każdym gorszym stopniu albo gdy zbroiłem coś w szkole. Bo najgrzeźniejszy nie byłem.

– A jak sam traktował pan ludzi?

Miałem szacunek do ciężko pracujących, biednych, stabszych. Sam, dzięki własnej pracy, dochodziłem do lepszego życia. Jako 18-latek wyszedłem z domu. Oczywiście miałem pomoc z klubu – wy-

żywienie, pokój. I można było trenować. Oprócz tego skończyłem szkołę. Nie mogę jednoznacznie stwierdzić, dlaczego wszystko tak się potoczyło, ale okres dzieciństwa ukształtował mój charakter – już zawsze będę wytrzymały, buńczuczny. Jeśli ktoś mnie wkurzy, nie mogę powiedzieć, że nie nakrzyczę. I gdy zostałem najlepszym tyczkarzem na świecie, to już człowiek wiedział, jaką ma wartość. Nie patrzyłem na innych z góry, z zadartym nosem. Byłem normalnym człowiekiem, ale nieraz potrafiłem głośno wyrazić swoje zdanie, dlatego miałem kłopoty w PZLA. W Moskwie też było to dokładnie widać.

– Do igrzysk oczywiście wrócimy, ale teraz chcę zapytać o wczesne dzieciństwo. Wspomniane przez pana 36-metrowe mieszkanie było w Gdyni, gdzie w 1957 roku trafiliście jako repatrianci. Ale urodził się pan cztery lata wcześniej w Solecznikach na terenie dzisiejszej Litwy, a wówczas – ZSRR. Spał wam się dom.

To stało się jeszcze przed moimi narodzinami. Rodzina wyszła na zewnątrz z zaledwie paroma rzeczami. Nie było straży pożarnej, dom spalił się doszczętnie. To była wioska, mieszkaliśmy u innych, a w tym czasie ojciec z sąsiadami postawił nowy dom. Niski, miał parę pokoi oraz pomieszczenie dla zwierząt hodowlanych – bo tak się kiedyś budowało. Rosjanie dokwaterowali do nas dwóch żołnierzy, którzy stacjonowali w tamtym okręgu. Jeśli gdzieś mógł być wolny pokój, wciskali rodzinom tu dwóch, tam jednego. Z tego powodu mój brat bardzo szybko nauczył się rosyjskiego. A my mówiliśmy dialektem wileńsko-polskim.

– Ktoś wysnuł wniosek, że pana niechęć wobec Rosjan zmanifestowana w olimpijskim finale w 1980 roku zrodziła się już wtedy – gdy w waszym domu zamieszkali tamci żołnierze.

Nie, tak nie można powiedzieć. Ci żołnierze byli fajni, opiekowali się mną, bo byłem brzdącem, zajmowali się z nami gospodarką. Wyjechaliśmy, bo nikt nie widział tam pieniędzy. Była wymiana towarów – jabłka za jajka, butelka wódki za worek żyta. Mama i ojciec pracowali przy budowie dróg za bochenek chleba dziennie. Raz ojciec pojechał do Polski i zobaczył, że jest dużo lepiej. Mama urodziła się

w Solecznikach – w Polsce, a ja urodziłem się w Solecznikach – w ZSRR. I wtedy nie tylko my, ale całe rodziny wyjeżdżały do Polski ciężarówkami repatriacyjnymi.

– A co ze stosunkiem do Rosji?

Wątek Rosji przewijał się zawsze, od małego. Każdy Polak wiedział o Katyniu, choć książki były zabronione. Każdy wiedział, że Rosjanie mordowali Polaków jeszcze przed II wojną światową. Niemców też się nie lubiło, ale Rosjan chyba bardziej. Bo po wojnie z Niemcami nie było kontaktu, a z Rosjanami cały czas. Już w Gdyni – w przedszkolu i podstawówce – gdy mówiłem z wileńskim akcentem, dzieci, chcąc mnie obrazić, wołały na mnie „Rusek”. No to jeszcze bardziej się wkurzałem. Miałem to jakoś zakodowane w głowie, choć później nie szedłem w tym kierunku jako sportowiec. Robiłem swoje. Miałem kolegów tyczkarzy z Rosji i wcale nie kłóciliśmy się o sprawy polityczne.

– Uprawiał pan lekkoatletykę od 13. roku życia w Bałtyku Gdynia. Aby zimą trenować skoki o tyczce, trzeba było przebiegać przez korytarz i drzwi do sali gimnastycznej.

W latach 60. klub Bałtyk Gdynia powoli się rozwijał, zaczęła się budowa hali. Ale wcześniej trzeba było gdzieś ćwiczyć. Trenowaliśmy więc w Szkole Podstawowej nr 3 na Witominie – po południu, gdy skończyły się lekcje. I faktycznie, biegaliśmy przez korytarz szkolny. W połowie rozbiegu były drzwi. Potem trzeba było zrobić lekki zakręt w prawo, aby trafić w skocznię, która była oddalona o jakieś 15 metrów.

A zeskok? To były zwykłe worki napchane ścinkami od wkładek do butów – taką gąbką, resztkami, które sprowadziliśmy z fabryki obuwia ciężarówką. Jak wszyscy do treningu, to i do pracy – napchaliśmy to wszystko do worków. Złożyliśmy je na parkiecie, tworząc piramidę o rozmiarze cztery na cztery metry. I na te worki pokryte filcem – żeby się nie rozjeżdżały – spadaliśmy z góry. No a dołka na parkiecie też nie było, więc w poprzek stawialiśmy długą ławkę, aby zatrzymywała się o nią tyczka. Sama sala nie była olbrzymia – pewnie 20 na 12 metrów, jak to w szkołach.

– A tor kolejowy na stadionie?

No niezupełnie na stadionie, ale tuż obok niego. Dziś obiekt znany jest jako stadion Arki. Trenowały tam drużyny piłkarskie

Arki, Bałtyku i Floty, a także lekkoatleci Bałtyku. Pociąg jechał obok płotu, a za płotem, wzdłuż torów, była skocznia do tyczki. I ona została zbudowana tak samo jak tamta w sali – też ze ścinek. Oczywiście było to niebezpieczne, bo worki ograniczyły po bokach ścianki z desek. Jeśli więc ktoś nie trafił w te gąbki... Ale rozbieg był prosty. Mieliliśmy taśmę ciąglą, którą trener załatwił ze stoczni, można było biegać i skakać. Zresztą na tej skoczni w 1973 roku odbyły się dwudniowe zawody i pobiłem tam mój pierwszy rekord Polski – 5,35 m. A wcześniej skoczyłem tam 5 metrów jako junior.

– A tyczki?

W tamtych latach było ich bardzo mało. Gdy weszły tyczki z włókna szklanego, Polska dostała ich z USA może kilkadzie-

siąt. Wysyłano je do wielu krajów, by świat miał do nich dostęp. Ale nikt nie rozumiał numerów tych tyczek, jak przekładają się one na twardość, jak te tyczki trzeba wyginać. Początki było strasznie śmieszne, bo co wziął ją do skakania większy facet, jak mój brat, jeden z najlepszych juniorów w Polsce (Edward Kozakiewicz z sukcesami uprawiał też wielobój – przyp. red.), to tyczki się łamały. W tamtym czasie były jeszcze wrażliwe, nie tak jak teraz. No i jeśli nasz przydział w Bałtyku wynosił pięć tyczek, to po dwóch czy trzech tygodniach wszystkie były połamane.

– Koniec skakania?

A skąd! Składaliśmy te tyczki. Jak była złamana w środku, to wkładaliśmy kołek dębowy, zaklejaliśmy taśmą izolacyjną i skakaliśmy dalej! Dziś nikt nie



może sobie tego wyobrazić. Pamiętam halowe zawody w Warszawie, które wygrał Edward. Skakałem na tyczce, która miała na dole 40-centymetrowy kołek, bo ułamał się dolny kawałek i była za krótka. Skoczyłem 4,80 m, zająłem piąte miejsce. Inni mieli większe przydziały – Warszawa, Górniki Zabrze z Tadekiem Ślusarskim, Zielona Góra... Tyczki produkowano też w NRD, dostaliśmy kiedyś ze 20 sztuk, w różnych kolorach. Jaśniejszy oznaczał miękka, a ciemniejszy twardsza. W trzy tygodnie wszystkie się połamaly, nie nadawały się do zbyt długiego wyginania. W ciągu kariery zламаłem 27 tyczek. I to było normalne. Gdy ktoś dzisiaj złamie tyczkę, to przez pół roku jest to hit YouTube'a.

– Człowiek trochę igrał z życiem?

No tak. Niebezpieczeństwo było duże, ale nikt na to nie patrzył. Jak złamał pierwszą tyczkę, to był zdziwiony, drugą to samo, ale potem się przyzwyczajał. Byli też jednak tacy, którzy po takim doświadczeniu ze strachu już nigdy nie skakali. Twardziele walczyli dalej.

– Apogeum pana kariery były oczywiście igrzyska w Moskwie, gdzie w niezapomnianym konkursie sięgnął pan po olimpijskie złoto i rekord świata – 5,78 m. Ale tam był pan już prawie 27-latkim i doświadczonego zawodnikiem – ze srebrem ME w Rzymie (1974), dwoma tytułami halowego mistrza kontynentu – z San Sebastián (1977) i Wiednia (1979), a także brązem tej imprezy z Katowic (1975).

Tak, miałem już za sobą także pobicie halowego rekordu świata w Toronto (5,57 m w 1976 roku – przyp. red.). Na poprzednich igrzyskach w Montrealu, wygranych przez Tadeka Ślusarskiego (wynikiem 5,50 m – przyp. red.) miałem nie-fart, bo już wtedy byłem prawie nie do pokonania na świecie, ale przydarzyła mi się kontuzja. Najlepiej zapamiętałem mistrzostwa Europy w Rzymie w 1974 roku. Wtedy wskoczyłem do światowej czołówki i utrzymałem się w niej dziesięć lat. Zająłem drugie miejsce z takim samym wynikiem co zwycięzca (Władimir Kiszkun z ZSRR – 5,35 m – przyp. red.). Ślusarski i Wojciech Buciarowski byli ode mnie lepsi,

Osiem skoków, siedem udanych i Władysław Kozakiewicz cieszył się z rekordu świata (5,78 m). Zaliczając 5,70 i 5,75, pokazał urogiem widowni moskiewskiej, co sądzi o jej zachowaniu podczas finału olimpijskiego. (fot. Taylor/EPU/AFP/East News, Jean-Claude Delmas/AFP/East News, AFP/East News)

ale to ja zdobyłem srebro, choć byłem jeszcze niedoświadczony.

– 11 maja 1980 roku w Mediolanie, skacząc 5,72, pobił pan rekord świata, jednak jeszcze przed igrzyskami poprawili go Francuzi Thierry Vigneron (5,75) i Philippe Houvion (5,77). W Moskwie startowali pod olimpijską flagą, nie stanęli na podium.

Tydzień po pobiciu rekordu doznałem kontuzji przywodziciela. Przeszłem biegać, ciężko było chodzić. Odczuwałem ten uraz ponad miesiąc. Potem zacząłem trenować i ledwie mogłem przeskoczyć pięć metrów. Byłem wystarczająco silny, ale nie mogłem biegać. W przedostatnim starcie przed igrzyskami, w Sztokholmie, już nie bolało, ale formy jeszcze nie miałem. Skoczyłem 5,30. Dwa tygodnie przed Moskwą, w Warszawie, uzyskałem 5,60 i z takim wynikiem już można było jechać na igrzyska. Francuzi byli faworytami. Konstantin Wołkow skoczył 5,70, Tadek Ślusarski też. Było z kim walczyć.

– W Moskwie polscy sportowcy odczuwali niechęć tylko na Stadionie Łużniki?

Już na lotnisku widzieliśmy, że nie jesteśmy mile widziani. Wszędzie, w wiosce olimpijskiej też, czuliśmy niechęć miejscowych. Rozumiem, jeśli chodziłoby o wojsko czy milicję. Ale nas nie lubili nawet zwykli ludzie. Dopiero później od rosyjskich zawodników dowiedziałem się, jaka była przyczyna. W tamtym czasie, choćby kupując cukier za 85 kopiejek, obywatel ZSRR czytał na produkcie informację, że 20 kopiejek idzie na pomoc dla Polski. I tak na każdym towarze. Sami na półkach nie mieli za wiele, a jeszcze musieli innym pomagać. Oczywiście to była nieprawda i propaganda, ale tak im wmawiano. A my, Polacy, jeszcze strajkujemy, nie podobają nam się komunistyczne prawa, których Rosjanie strzegą.

– Wielotysięczna publika zachowywała się szowinistycznie.

Robiono wszystko, żeby wygrał Wołkow. Gdy Polak wchodził na rozbieg – nie tylko ja, ale i Tadek Ślusarski (zrobił srebro ex aequo z Wołkowem – 5,65 m – przyp. red.) czy Mariusz Klimczyk (szóste miejsce – 5,55 m – przyp. red.) – gwizdy były olbrzymie. W ogóle te igrzyska były paranoją. Zupełnie inaczej niż w Montrealu, gdzie życie w wiosce trwało 24 godziny na dobę, w Moskwie o 22 gasili światło. Nie można było wyjść na zewnątrz, wojskowi odprowadzali cię do bloku – normalnie łapanki i cisza nocna. Owszem, była dyskoteka, ale tylko do 22. Wyłączali światła i wypychali ludzi.

A gwizdy na stadionie bardziej mnie dopinguwały, niż prowadziły do strachu albo stresu. Człowiek na początku się zdziwił, ale potem przyzwyczaił. Zdenerwowany byłem tylko przed finałem. Myślałem, że to moje drugie igrzyska i jeśli się nie powiedzie, to będzie już gorzej. Ale po wejściu na stadion wszystkie nerwy zginęły. Pomyślałem: „No dobra, teraz jestem w domu”. I każdy skok był idealny.

– Sześć czystych skoków dało panu wspaniały wynik 5,75. Wołkow nie był w stanie nic zrobić. I dopiero 5,78 – rekord świata – uzyskał pan w drugim podejściu.

Na pewno był to świetny pokaz siły fizycznej i psychicznej. Zawsze tak miałem, że najbardziej motywowałem się na pierwsze próby. I skakałem. Wróciła forma z początku maja. A ja – w tym czasie, gdy nie mogłem biegać – dotrenowałem się, dzięki temu byłem trochę mocniejszy i szybszy. A technikę zawsze miałem jedną z najlepszych na świecie. Człowiek koncentrował się 15–20 sekund i biegał. Automatycznie. Gdy rozmawiałem o tym wyniku z dawnymi kolegami ze skoczni, wspólnie uznaliśmy, że przy dzisiejszym zaawansowanym sprzęcie pewnie można byłoby dodać do niego



W 1977 roku zdobył tytuł halowego mistrza Europy w San Sebastián, ale Plebiscyту „PS” jeszcze nie wygrał (był trzeci). Trzy lata później nie miał już konkurencji. Było co świętować! (fot. Mieczysław Świdorski x2)

ze 30 centymetrów. Zatem w obecnych realiach pewnie stać byłoby mnie na poziomie 6,10.

– Po skoku na 5,70 pierwszy raz pokazał pan widowni tzw. wała, który później przyjęło się nazywać gestem Kozakiewicza. Był on tak zręcznie wykonany, że zapytałem, czy już wcześniej przyszło panu coś takiego pokazywać?

Gdy po tym skoku spadłem na zeskok, miałem wrażenie, że na trybunie, gdzie siedziała wycieczka z Polski, ktoś taki gest pokazał. A mnie w tym samym momencie wyszło zupełnie spontanicznie. Tak mi się wtedy wydawało. Wykonałem ten gest z myślą o tym, żeby odpowiedzieć rosyjskiej widowni. Pokazać, że oni gwizdzą, a ja przeskakuję. W Polsce ten gest wykonywało się cały czas, gdy ktoś komuś coś zrobił albo gdy chciało się wyrazić wobec kogoś niechęć – bez słów. To mi wyszło automatycznie. I powtórzyłem ten gest po skoku na 5,75, bo Wołkow zostawił sobie jeszcze szansę, aby mnie pokonać. Czy tak sobie wcześniej wymyśliłem? Oczywiście, że nie. To byłaby głupota, przecież nigdy nie wiadomo, czy się wygra, czy nie. W Montrealu byłem najlepszy na świecie, a nie wygrałem.

– To pewnie po konkursie Rosjanie nie byli dla pana miłsi.

Zdobyliśmy z Tadekiem medale, szliśmy przez przejścia z czujnikami, obok wojskowi z karabinami. Zaczęło pisać, oczywiście z powodu medali. Ale tamci zdziwieni: „To Polak może zdobyć złoto?”. Właśnie to miałem na myśli na zeskoku: „A pocałujcie mnie teraz w dupę, co mi możecie zrobić?”. Tylko że gdybym to powiedział, nikt by nie ustąpił. W Moskwie chcieli mi zabrać medal, bo obraziłem naród rosyjski. Ambasador ZSRR w Warszawie zadzwonił do Gierka, Gierka do szefa ekipy, a szef ekipy wziął mnie na dywanik. „Pokazałeś ruskim wała” – mówi. „I co, za wała chcą mi zabrać medal?” – odparłem. Nawet nie przypuszczałem, że to było aż tak wymowne. Uderz w stół, nożyce się odezwą. W końcu nie powiedziałem, że było to przeciwko Rosjanom. Ale oni i tak przyjęli to do siebie. Była więc dyskusja przy zielonym stoliku. Pan Juan Antonio Samaranch, którego znałem, wytłumaczył, że



zawsze tak robię, gdy zwyciężam w zawodach. I nie zostałem zdyskwalifikowany.

– Po Moskwie zdobył pan swój czwarty medal HME – brąz w Mediolanie (1982), a na trzecie igrzyska – do Los Angeles – nie przyszło panu lecieć. Oczywiście z powodu bojkotu imprezy przez państwa bloku socjalistycznego. Rok później był pan już w Niemczech.

W 1984 roku znów byłem rewelacyjnie przygotowany po kolejnym obozie we włoskiej Formii. Skoczyłem 5,75, a mistrz olimpijski w Los Angeles wygrał właśnie z takim wynikiem. Miałbym medal. Zamiast igrzysk mieliśmy jednak spartakiadę w Moskwie. Skoczyłem 5,40, spakowałem tyczki i wyszedłem. Dla mnie to była pseudoolimpiada. To był mój cichy bojkot, nikt nie pytał, co się stało. Ale potem miałem problemy w Polsce. Nie mogłem wyjeżdżać na zagraniczne starty. Już w 1983 roku prezes PZLA, pan Ząbecki, zapytał: „Władek, a co ty zrobił dla Polski?”. No to można było się załamać. W końcu w 1985 roku powiedziano mi, że zamiast mnie na mityngi pojedzie inny zawodnik. Pytam: „Kto? Przecież jestem najlepszy”. Mówili, że muszę skoczyć 5,70. Odpowiedziałem: „Mogę, ale nie wiem, czy muszę”. I nie dostałem zgody. No to się spakowałem, tyczki na dach, żona i dzieci do auta. I najnormalniej w świecie pojechałem. Bo mieliśmy w domu paszporty. No i wyjechaliśmy na starty do Europy. Pierwszy mityng w Niemczech. Nie miałem pozwolenia PZLA, ale wystąpiłem, wygrałem. W Polsce od razu mnie zdyskwalifikowano.

– I nie tylko.

W tym czasie zabrano mi w Polsce całe mienie, bo wyjechałem bez pozwolenia,

czyli uciekłem z kraju. A ja nigdzie nie uciekłem, nigdzie nie chciałem zostać. Chciałem tylko wykonywać swój zawód. W kraju w ciągu paru tygodni naliczyli mi milionowe podatki. Oficjalnie – w gazetach i telewizji – zostałem zdrajcą, bo uciekłem. Najpierw zmieszali mnie z błotem, a potem mówili, że bym wrócił – to wtedy oni zobaczą, co ze mną zrobić. Mówię: „Pierdzielę, do więzienia nie chcę iść”. Zgłosił się klub z Hanoweru, Polak był tam trenerem. I zostałem jego zawodnikiem startującym na polskim paszporcie – jak Boniek w Turynie czy dziś Lewandowski w Barcelonie. Ominąłem polską dyskwalifikację, a na całym świecie mogłem startować na polskim paszporcie – nie niemieckim. Można powiedzieć, że Polskiemu Związkowi Lekkiej Atletyki, czy może raczej KPZLA, bo rządźili w nim komuniści, też pokazałem wała.

Już w 1990 roku byłem wolnym człowiekiem. W urzędzie skarbowym w Gdyni usłyszałem, że oczywiście nie mam żadnych długów i że oni wcześniej po prostu musieli robić to, co im kazano. Ale życie potoczyło się tak, że w 1985 roku wyjechałem na zawody i nie dane było mi wrócić do Polski na stałe. Po roku dostałem obywatelstwo niemieckie. Jako nauczyciel WF-u przez 20 lat pracowałem w szkole w Elze i już od 1986 roku mieszkam w miejscowości Bissendorf-Wietze pod Hanowerem. Ludzie nadal pytają mnie, czy wrócę do kraju, ale przecież nie ma granic, mogę przyjeżdżać do Polski i robić to, gdy tylko mam chęć.

– Jak patrzy pan na swoje życie jako 70-latek?

Moje życie toczy się tak jak u normalnego człowieka. Nie żyję tym, co przyniosł mi sport. Cieszę się rodziną, z żoną jest nam bardzo dobrze, doczekaliśmy się dwóch wnuczek. Nie jestem bogaczem jak niektórzy dzisiejsi sportowcy, ale wystarczy mi, żeby spokojnie żył. I cieszę się, że człowiek jest jeszcze zdrowy. Jeśli wątroba i serce działają, to wszystko jest w porządku. W Polsce ludzie kojarzą mnie ze sportem, a tu jestem jak każdy inny. Oczywiście jestem strasznie dumny z tego, co zrobiłem w życiu, że ten sport tak fajnie wyszedł – szczególnie po trudnych sytuacjach z dzieciństwa, o których rozmawiałem na początku. Jak mówię, jeśli człowiek jest uparty i twardy, może do czegoś dojść. Wybrałem dobry kierunek. I także dziś od czasu do czasu mogę usiąść ze znajomymi i przypomnieć sobie fajne czasy z okresu sportowego. Na przykład tutaj, w Paryżu, spotkam się z moimi dwoma kolegami z Francji, z którymi rywalizowałem o najwyższą stawkę.

CIOCIA „IMCIA”

Dokładnie sto lat temu w Drugiej Rzeczypospolitej oficjalnie rozpoczęła działalność organizacja, dzięki której dzisiaj mamy polskich mistrzów świata. Powstała w Anglii i rozpowszechniona w USA wydała na świat nie tylko grę znaną obecnie jako siatkówka, lecz także koszykówkę czy kulturystykę. To YMCA.

Lech UFEL

Tego mroźnego 8 grudnia 1923 roku ciągnęły do Belwederu wielkie osobistości – władze cywilne i wojskowe, zaproszeni goście. Zbliżała się dymisja drugiego rządu Wincentego Witosa, ale prezydent RP Stanisław Wojciechowski w tych trudnych okolicznościach postanowił wykonać szczególną wdzięczność zamorskim ofiarodawcom. W prezydenckim pałacu doszło do uroczystego przekazania władzy oraz majątku amerykańskiej YMCA w naszym kraju zarządowi polskiemu. W tym też okresie 8-9 grudnia odbyło się walne zebranie delegatów, powstała Rada Krajowa i nastąpił oficjalny start Polskiej YMCA, a marszałek Józef Piłsudski otrzymał godność pierwszego członka honorowego tej organizacji.

Prasa nie omieszczała odnotować wtedy tak ważnego wydarzenia. „Goniec Krakowski” pisał wkrótce, że spotkało się ono z dużym zainteresowaniem czytelników, „bo przecież każdy podczas wojny naszej z bolszewikami korzystał z urzędzeń lub dobrodziejstw »Cioci YMCI« albo przynajmniej miał z tą instytucją do czynienia” – przypominała gazeta w komentarzu. „Niejeden po przeczytaniu wspomnianej notki pomyślał sobie: Co to znaczy. Co ta kochana Ciocia YMCA obecnie u nas robi?” – zastanawiał się „Goniec”.

Pierwszy mistrz Polski

Według ówczesnych przekazów amerykańska YMCA, czyli Young Men's Christian Association, przywędrowała na nasze ziemie już w 1919 roku wraz z Błękitną Armią. Organizacja założona w 1844 roku w Londynie, a obecna w USA od 1851 roku, podczas I wojny światowej otaczała opieką amerykańskich żołnierzy, w tym także 20-tysięczny oddział polskich ochotników w armii gen. Józefa Hallera uczestniczących w wojnie z bolszewikami. „Po zawarciu pokoju w Rydze YMCA wojenna została zlikwidowana. Pozostała jedynie grupa kilku Amerykanów, którzy czyniąc zadość życzeniu oficjalnie wyrażonemu zarządowi amerykańskiej YMCA przez odpowiednich przedstawicieli społeczeństwa, postanowili założyć u nas jako instytucję stałą Polską YMCA, tzn. instytucję polską pod zarządami polskimi, przystosowaną do warunków polskich a mającą te same ideały, te same dążenia, ten sam program” – wyjaśniało krakowskie pismo.

Organizacja, w której James Naismith stworzył w 1911 roku zasady koszykówki, Robert Roberts system ćwiczeń zwanych body building, natomiast William G. Morgan w 1895 roku reguły gry w siatkówkę, obrała za cel działalność w naszym kraju głównie w obszarze sportu i kultury fizycznej, by pracować nad wychowaniem młodzieży. Uzasadniała, że nic tak nie odciąga młodzieży od zasadzek życia wielkomiejskiego jak wesole, pełen wysiłku ruch sportowy. Ale ideową troską był też rozwój ducha i umysłu młodych Polaków.

Nowy start Związku Młodzieży Chrześcijańskiej, początkowo w wynajętych lokalach, następował przy wydatnej pomocy pozostałych w Polsce działaczy amerykańskich, którzy pełnili rolę doradcze, jak sekretarz generalny Paul Super (na zdję-

ciu), czy instruktorskie, jak na przykład kpt. Harry W. Long w Krakowie. Jednak najistotniejsza okazywała się pomoc finansowa, bo uznano, że dla potrzeb organizacyjnych i programowych potrzebna będzie własna baza. Zdecydował o tym przewodniczący Światowego Komitetu YMCA John R. Mott, późniejszy laureat Pokojowej Nagrody Nobla w 1946 roku. Na pierwszego wielkiego darczyńcę wpisał się Sereno Fenn. Biznesmen z Cleveland, który zatrudniał u siebie wielu naszych rodaków, przekazał na dobry początek 150 tys. dolarów na postawienie pierwszego gmachu YMCA w Polsce, ze wskazaniem na Kraków. Budowa rozpoczęła się w 1925 roku, a w październiku roku następnego krakowskie ognisko korzystało już z nowej sali gimnastycznej, krytej pływalni, boiska do koszykówki, a także sal do nauki. Podobny obiekt powstał w 1932 roku w Warszawie przy ul. Konopnickiej, natomiast w 1935 w Łodzi przy ul. Moniuszki. Wszystkie gmachy zaprojektowane przez wybitnych architektów były ówczesnymi perełkami sportowo-



-kulturalnych kompleksów na skalę europejską. Polska YMCA wyrastała głównie w ośrodkach w Krakowie, Warszawie i Łodzi, ale tworzyła też ogniska w Poznaniu (1931 rok) czy Gdyni (1933 rok) i organizowała obozy dla młodzieży. Na pierwszy, jeszcze pod namiotami, pojechała młodzież w 1924 roku do Kasinki Małej, ale już w następnym sezonie udało się na pierwszy stały obóz założony na zakupionych terenach w Mszanie Dolnej. Kilka lat później Związek Młodzieży Chrześcijańskiej pozyskał drugi stały obóz w Kurnędzu pod Sulejowem, a kolejny w Wieżycy nad Jezio-

rem Ostrzyckim. W okresie kilkunastu lat organizacja zgromadziła spory majątek – posiadała sale gimnastyczne, pływalnię, boiska do gier, przystanie kajakowe, jacht, a także czytelnice i biblioteki. „Nasuwa się tutaj pytanie: skąd ta instytucja czerpie te olbrzymie fundusze. Pieniądze daje hojne społeczeństwo amerykańskie, które wszędzie i na każdym kroku widzi i odczuwa dobre skutki pracy YMCA, gdyż praca ta obejmuje wszystkie warstwy społeczeństwa, a to dzięki wszechstronnemu swojemu programowi, który dąży do rozwoju człowieka pod każdym względem, a mianowicie pod względem umysłowym, fizycznym, towarzysko-obywatelsko-społecznym i duchowym” – wyjaśniał „Goniec Krakowski” jeszcze w 1924 roku, lecz w późniejszych latach polska organizacja doskonale radziła sobie sama. Na jej obiektach nasza młodzież w wojsku, harcerstwie, szkołach czy klubach uczyła się nowych dyscyplin sportu, jak właśnie koszykówki, siatkówki, piłki wodnej. Ale posiadała też tradycyjne sekcje, jak w ognisku warszawskim, lekkoatletyczne, bokserskie,

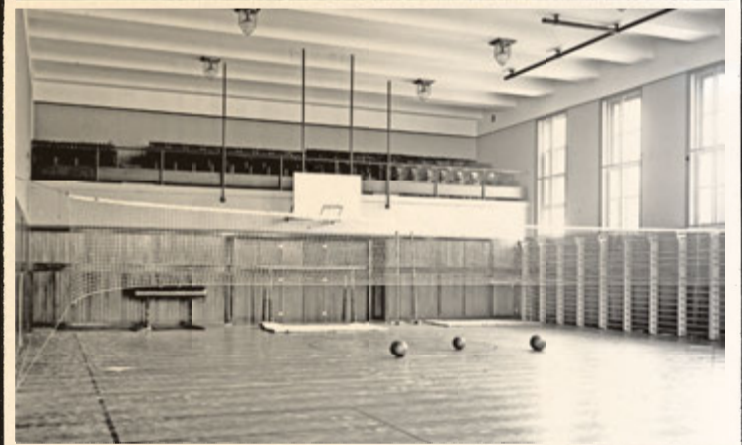
zapaśnicze czy narciarskie. Niektóre sekcje uczestniczyły w rywalizacji krajowej, m.in. siatkarze YMCA Łódź zdobyli tytuł mistrza Polski w pierwszych historycznych rozgrywkach w 1929 roku.

Wypędzeni po wojnie

W II RP pisano, że organizacja dąży do „wytworzenia i utrwalenia wśród młodych ludzi typu gentlemana”. Młodzież mogła zatem korzystać w ogniskach YMCA z bibliotek, kursów językowych, brać udział w odczytach i pogadankach, grać w szachy oraz... tańczyć w wieczorkach towarzyskich. Ale organizacja była też atakowana, co sprawiało, że musiała się tłumaczyć. Rada Krajowa w swoich pismach odpowiadała, że „wobec tendencyjnego oświeclenia działalności Polskiej YMCA w niektórych organach prasowych” przypomina, iż jest instytucją samodzielną, jej członkiem może być każdy chrześcijanin, ale w swej pracy nie dopuszcza jakiegokolwiek propagandy wyznaniowej i jest organizacją apolityczną i bezpartyjną.

Po zakończeniu II wojny światowej YMCA odbudowywała, remontowała i wracała na stare śmieci. „Otóż mieszkam w dawnym gmachu Polskiej YMCA, przy ulicy Konopnickiej. Zaraz po wojnie, w czterdziestym piątym, szóstym, siódmym i ósmym, gmach ten był centrum towarzyskim i rozrywkowo-kulturalnym Warszawy; szybko odbudowany z funduszy międzynarodowej YMCA, zasobny w wygodne pomieszczenia sportowe, krytą pływalnię, sale odczytowe i teatralną, sprzężenie i atrakcyjnie administrowany przez tę znakomitą, bogatą instytucję, stanowił istne błogosławieństwo młodzieży i w ogóle warszawiaków (...)” – wspominał Leopold Tyrmand. Autor kultowej powieści „Zły” założył w tym miejscu pierwszy wówczas w Polsce klub jazzowy. Ale w 1949 roku władze komunistyczne zlikwidowały YMCA, uznając organizację za „narzędzie burżuazyjno-faszystowskiego wychowania”. „Dobrytek jej przejęła Liga Przyjaciół Żołnierza, a potem organizacje młodzieżowe (...)” zanotował Tyrmand w rękopisie z 1954 roku. W III RP popularna „Ciocia Imcia”, jak ją zabawnie nazywano, odrodziła się, wróciła do swoich kątów i jeszcze działa.

Organizacja YMCA wybudowała w przedwojennej Polsce mnóstwo obiektów sportowych. Na zdjęciu obok trening zapaśniczy w warszawskiej sali YMCA (Aleksander Garbowienko trzyma Jana Skrodzkiego). Po prawej sala gimnastyczna YMCA w Krakowie. Niżej – obóz sportowy YMCA w Kasince Małej. (fot. NAC s4)



JUŻ JUTRO

WYDANIE SPECJALNE

89  **PLEBISCYT
PRZEGLĄD
SPORTOWY**

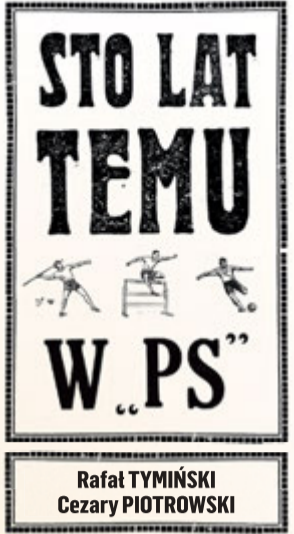
**PRZEDSTAWIAMY
ZESPOŁY
NOMINOWANE
W KATEGORII
DRUŻYNA
ROKU**



ZA TYDZIEŃ

WYDANIE SPECJALNE: IMPREZA ROKU

Do czego Węgrzy gimnastyki szwedzkiej używali



Wzięliśmy się do roboty, ale na nic się to zdało. Odwołaliśmy rozgrywki o mistrzostwo Polski, ale turniej olimpijski w Paryżu trwał dla nas jeden mecz. „Adieu” powiedzieli nam Węgrzy, których w grudniu 1923 podpatrywaliśmy i chcieliśmy się na nich wzorować.

Koniec roku 1923 był czasem, w którym rozpoczęły się przygotowania piłkarskiej reprezentacji Polski do olimpijskiego występu w Paryżu. Miało to charakter właściwie tylko formalny, bo podjęto decyzję, że ze względu na olimpiadę mistrzostwa krajowe na wiosnę nie będą rozgrywane. Polski Związek Piłki Nożnej postanowił tak po konsultacjach ze związkami okręgowymi. Wówczas jeszcze zakładano, że rywalizacja o mistrzostwo Polski odbędzie się jesienią. Ostatecznie jednak w sezonie 1924 w ogóle nie wyłoniono najlepszej drużyny w kraju.

Turniej piłkarski w Paryżu zdominował nasze piłkarstwo, ale... trzeba uczciwie przyznać, że były to rozgrywki wyjątkowe. Polacy wzięli w nich udział po raz pierwszy w historii. Jak pisał „PS” w numerze z 5 grudnia 1923 roku, pierwsze właściwie mistrzostwo świata (...) rozegrano dopiero na olimpiadzie stockholmskiej w r. 1912, dla nas piłkarstwo w wydaniu olimpijskim powinno liczyć się od 1924 roku. Wcześniej w ogóle nie mieliśmy możliwości, aby brać udział w tej rywalizacji.

Była to zresztą rywalizacja o podwójnym znaczeniu – nie rozgrywano jeszcze mistrzostw świata w piłce nożnej, z lektury „Przeglądu Sportowego” wynika, że takie wydarzenie nie było nawet omawiane jako pomysł lub koncepcja wprowadzenia nowych zawodów do piłkarskiej rzeczywistości. A nawet jeśli gdzieś w świecie toczyła się na ten temat dyskusja, to do naszej prasy sportowej nie trafiały z niej nawet okrucy lub odpryski. W igrzyskach grano zatem o dwa... tytuły – mistrz olimpijski zostawał jednocześnie mistrzem świata. Mieliliśmy szansę na debiut już cztery lata wcześniej. Przed igrzyskami w Antwerpii, jednak musieliśmy poczekać na Paryż nie do końca ze swojej winy. W olimpiadzie tej ze względu na wojnę bolszewicką Polska udziału wzięć nie mogła – przypominał „PS” w artykule stanowiącym zarys historii piłki nożnej w igrzyskach, gdzie turniej w 1912 roku uznano za najbliższy prawdziwym mistrzostwom, bo w nim wzięły udział wszystkie prawie państwa uprawiające ten sport. Oczywiście w tym przypadku pojęcie kraju i narodu bardzo się od siebie różnią, czego Polacy podzieleni do 1918 roku między trzech zaborców są najlepszym przykładem.

W 1912 roku w turnieju olimpijskim zagrały: Anglia, Austria, Belgia, Dania,

Finlandia, Francja, Holandia, Niemcy, Norwegia, Rosja, Szwecja, Węgry i Włochy.

Następna olimpijada miała się odbyć w r. 1916 w Berlinie, ale padła ona ofiarą wojny. Dopiero w r. 1920 odbyły się w Antwerpii igrzyska olimpijskie, w których wzięli udział tylko zwycięzcy w wielkiej wojnie z wykluczeniem narodów pokonanych. Ze względu na to, udział narodów w turnieju piłki nożnej był odpowiednio mniejszy. W olimpiadzie tej ze względu na wojnę bolszewicką Polska udziału wzięć nie mogła. W turnieju piłkarskim w r. 1920 wzięły udział następujące narody: Anglia, Belgia, Czechosłowacja, Danja, Egipt, Francja, Grecja, Hiszpania, Holandia, Jugosławia, Luksemburg, Norwegia, Szwajcaria, Szwecja i Włochy (...)

Najbliższa olimpijada w roku przyszłym w Paryżu zgromadzi jeszcze więcej narodów, które konkurować będą w zdobywaniu zwycięstwa w turnieju piłki nożnej. Nie ulega wątpliwości, że zainteresowanie temi rozgrywkami kto wie, czy nie będzie największe. Nie można jeszcze dzisiaj rozważać szans poszczególnych narodów, tembardziej, że nie ogłoszono dotąd, które narody wezmą udział w turnieju piłkarskim, a prócz tego uczestnictwo szeregu państw nie jest jeszcze pewnym, już to względów politycznych, już to materialno-technicznych. Mimo to wre praca prawie wszędzie około zebrania odpowiednich funduszy i możliwie najlepszego przygotowania swych zawodników. Wiadomości o angażowaniu najwybitniejszych trenerów świata do tego lub owego państwa są na porządku dziennym. Nauczony doświadczeniem narody nie odkładają pracy na ostatnie miesiące, ale już dzisiaj czynią gorliwe przygotowania do igrzysk – pisał „Przegląd Sportowy”.

Polska konkretnego planu przygotowań do igrzysk w Paryżu w grudniu 1923 roku jeszcze nie miała. Mieli za to zainteresowani poważnie zmartwienie związane z tym, czy... w ogóle będzie za co wystąpić naszych sportowców – oczywiście z uwzględnieniem piłkarzy – do Francji. Rezygnację z wiosennej, klubowej rywalizacji w kraju „Przegląd Sportowy” ogłosił z pewnym zadowoleniem, dając wyraz temu, że jest to krok we właściwym kierunku. A po nim powinny nastąpić kolejne. Jakże? Przede wszystkim polegające przynajmniej na podjęciu próby, aby jak najwięcej grać z ekipami zagranicznymi.

Przez zrezygnowanie z mistrzostw ZOPN-y dowiodły, że względ na do-

bro ogólne wziął górę nad interesem klubowym. Jest to dopiero wstępny etap do przygotowań olimpijskich; pozostaje jeszcze do zrobienia bardzo wiele, a nawet wszystko: dobór kandydatów na „olimpijczyków”, poddanie ich specjalnemu treningowi, a przynajmniej wskazanie im, jak mają trenować w ciągu zimy i na wiosnę i jaki mają prowadzić tryb życia, wreszcie rzecz kardynalna, zdobycie potrzebnych funduszy przez urządzenie dni olimpijskich, zbiórek, darów, imprez sportowych. W tym kierunku nie należy pominać niczego, by poruszyć grube dotąd i zupełnie obojętne dla sprawy olimpijskiej społeczeństwo. Olimpijada już na karku, we wszystkich krajach wre gorączkowa praca przygotowawcza, propaganda, głównie prasowa, jest w całej pełni, a u nas o olimpiadzie przeraźliwie głucho. Te kilkaset milionów, które dotąd zebrał PZPN, jest kroplą w morzu i nie wystarczy nawet na wystanie jednego zawodnika. Brak ludzi z inicjatywą, ludzi czynu i gorącego serca, jest wprost katastrofalny; wszystkich zaczyna już ogarniać wątpliwość w możliwość obeśnania olimpiady, przyczem wszyscy czują, że brak Polski na światowym święcie sportowym w Paryżu byłby dla nas wstydem, wielkim skandalem. Dlatego ogół sportowców polskich domaga się głośno, by powołane do tego instytucje sportowe obudziły się z dotychczasowej martwoty i zaczęły zareszczać działać. A pora po temu najwyższa. Czemu zapełnić sezon wiosenny wobec braku gier o mistrzostwo, sprawiających najmniej kłopotu, nie przynoszących ryzyka, a zato stały dochód? Lokalne zawody towarzyskie, poza nielicznymi wyjątkami, mało kogo interesują; konieczne jest sprowadzanie drużyn zamiejscowych, tak krajowych, jak i zagranicznych. Bilans ostatniego roku jest najuboższy w spotkaniach międzynarodowych; ujemne skutki tego widać w zmniejszeniu zainteresowania się sportem z jednej i niewątpliwym spadkiem klasy z drugiej strony. Sport nasz piłkarski powoli dziczeje, styl „hura” bierze górę nad stylem, opartym na kombinacji, bezmyślność nad celowością, sprawność techniczna powoli się zatraca, a przedewszystkiem cierpi na tem wyrobienie taktyczne. Niepowetowaną szkodę wyrządził polskiemu piłkarstwu, i tylko jemu jednemu, trwający już przeszło rok bojkot sportowy Czech. Czesi prowadzą w piłkarstwie Europy: żywy, a z powodu bliższego sąsiedztwa najłatwiejszy do utrzymania kontakt sportowy z doskonałymi drużynami czeskimi, które mają swą siedzibę nie tylko w Pradze, lecz i w całym szeregu miast prowincjonalnych, że wymienię tylko najbliższą nam Morawską Ostrawę, dalej Berne, Otomuniec, Kromieryż, Przerów i t. d., jest dla podniesienia klasy naszego piłkarstwa niezbędny. Mamy w sąsiedztwie najlepszego nauczyciela i nie korzystamy z tego. Zniesienie bojkotu leży zatem w interesie przedewszystkiem sportu piłki nożnej. Oprócz Czechów wartoby odnowić stosunki sportowe z Budapesztem i Wiedniem, a nawiązać z sąsiednimi, a mającymi setki dobrych drużyn Niemcami. Nadanie nadchodzącemu sezonowi charakteru wybitnie „międzynarodowego” powinno, dla dobra samej olimpiady, stać się hasłem dnia – pisał „PS”. I wypadła tylko uzupełnić, że odnowienie stosunków sportowych z Niemcami w kontekście olimpiady przyniosłoby korzyści tylko nam. Bo Niemcy – przegrani w I wojnie światowej – do Paryża nie zostali zaproszeni. Był to drugi taki przypadek w ich historii po roku 1920 i nie ostatni. Bo w 1948 roku po II wojnie światowej nie mogli wzięć udziału w igrzyskach w Londynie. Ciekawie przedstawia się także kwestia zachęcania przez „PS” do tego, aby od-

dzynarodowe; ujemne skutki tego widać w zmniejszeniu zainteresowania się sportem z jednej i niewątpliwym spadkiem klasy z drugiej strony. Sport nasz piłkarski powoli dziczeje, styl „hura” bierze górę nad stylem, opartym na kombinacji, bezmyślność nad celowością, sprawność techniczna powoli się zatraca, a przedewszystkiem cierpi na tem wyrobienie taktyczne. Niepowetowaną szkodę wyrządził polskiemu piłkarstwu, i tylko jemu jednemu, trwający już przeszło rok bojkot sportowy Czech. Czesi prowadzą w piłkarstwie Europy: żywy, a z powodu bliższego sąsiedztwa najłatwiejszy do utrzymania kontakt sportowy z doskonałymi drużynami czeskimi, które mają swą siedzibę nie tylko w Pradze, lecz i w całym szeregu miast prowincjonalnych, że wymienię tylko najbliższą nam Morawską Ostrawę, dalej Berne, Otomuniec, Kromieryż, Przerów i t. d., jest dla podniesienia klasy naszego piłkarstwa niezbędny. Mamy w sąsiedztwie najlepszego nauczyciela i nie korzystamy z tego. Zniesienie bojkotu leży zatem w interesie przedewszystkiem sportu piłki nożnej. Oprócz Czechów wartoby odnowić stosunki sportowe z Budapesztem i Wiedniem, a nawiązać z sąsiednimi, a mającymi setki dobrych drużyn Niemcami. Nadanie nadchodzącemu sezonowi charakteru wybitnie „międzynarodowego” powinno, dla dobra samej olimpiady, stać się hasłem dnia – pisał „PS”. I wypadła tylko uzupełnić, że odnowienie stosunków sportowych z Niemcami w kontekście olimpiady przyniosłoby korzyści tylko nam. Bo Niemcy – przegrani w I wojnie światowej – do Paryża nie zostali zaproszeni. Był to drugi taki przypadek w ich historii po roku 1920 i nie ostatni. Bo w 1948 roku po II wojnie światowej nie mogli wzięć udziału w igrzyskach w Londynie. Ciekawie przedstawia się także kwestia zachęcania przez „PS” do tego, aby od-

mrozić zawieszono z przyczyn politycznych kontakty sportowe z Czechosłowacją oraz postawić na mocniejszą współpracę z Wiedniem i Budapesztem. Szczególnie że Węgrzy – w grudniu 1923 roku – mieli w przeciwieństwie do nas już całkiem wyraźny plan przygotowań olimpijskich. O czym informował węgierski kapitan związkowy Juliusza Kissa. Kapitan związkowy to odpowiednik selekcjonera, który w języku węgierskim do dziś nazywa się „szövet-ségi kapitány”. Bo biegający po boisku kapitan drużyny to „csapatkapitány”. Zamierzenia „kapitana” Kissa nasza gazeta przedstawiła w wydaniu z 5 grudnia 1923, posilując się tekstem zamieszczonym pierwotnie w węgierskiej gazecie „Sporthirlap”.

Pół roku dzieli nas od olimpiady, a za 6 miesięcy będziemy mieli już pierwszą walkę olimpijską za sobą. Nie przypuszczam, by gracze z długich tournée zimowych wrócili w dobrej kondycji, jakkolwiek z powodu olimpiady czekają ich wyższe zadania. Moja jednak władza nie sięga tak daleko, by zakazać tych podróży, kluby mają do nich pełne prawo i prawie wszystkie robią z niego użytek. W ten sposób dopiero od połowy stycznia można będzie zacząć trening przygotowawczy. Mimo to reprezentatywną węgierską przekroczy granice Paryża jako poważny aspirant na zwycięzcę.

Przy mej pracy ćwiczebnej kierować się będę przeświadczeniem, że drużyna olimpijska musi się składać nie tylko z technicznie wydoskonalonych graczy, lecz także z graczy lekkoatletów. Każdy mecz będzie treningiem lekkoatletycznym i zwycięży ta drużyna, która rozporządzać będzie szybszym atakiem, wytrwalszą pomocą i zwinniejszą obroną. Mamy wśród graczy dość dobrego materiału. Do grupy olimpijskich wybierze się 30 do 35 graczy, którzy między 15 a 18 stycznia zaczyną w specjalnie do tego celu urządzonej sali gimnastycznej regularny trening: przedewszystkiem gimnastykę szwedzką, a także połączoną z gimnastyką szermierczą. Wspólne zebrania posłużą także do uczenia się w wolnych godzinach języka francuskiego. Niewiele w prawdzie nauczy się w ciągu tak krótkiego czasu dobrze po francusku, ale przynajmniej rzeczy najkonieczniejszych – informował węgierskich kibiców trener Kissa.

Życie dopisało do tego swoją pointę. W Paryżu los już w pierwszej rundzie skojarzył jego drużynę i naszą reprezentację. Przegraliśmy 0:5 i Węgrzy mogli nam powiedzieć „Adieu”. Inna sprawa, że w kolejnej rundzie sami przegrali z Egiptem 0:3.

Turniej wygrał Urugwaj przed Szwajcarią, a brązowy medal wywalczyli Szwedzi, z którymi w 1923 roku zremisowaliśmy u siebie (po najlepszym wówczas meczu w historii) 2:2. Tyle tylko że więcej o formie tej reprezentacji mówi spotkanie rozegrane jako „ostatni dla nas sprawdzian” przed igrzyskami. W maju 1924 roku w Sztokholmie skończyło się na 5:1 dla gospodarzy.



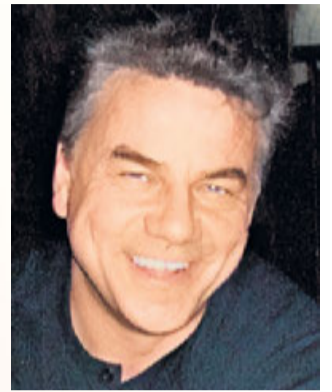
ADRIAN SZCZEPAŃSKI



Urodzony 30 października 1963 roku w Opolu; napastnik; kluby: Gwardia Warszawa (do 1985, 17 meczów/1 gol), Motor Lublin (1985-86, 40 meczów/11 goli), Lech Poznań (1986-87, 12 meczów/2 goli), Motor Lublin (1987, 9 meczów/0 goli), Lech Poznań (1987-88, 16 meczów/0 goli), JGA Nevers (1988-89), La Roche-sur-Yon VF (1989-91), JGA Nevers (1991-92), RC Arras (1992-94), USO Bruay-la-Buissière (1994-96), Aire-sur-la-Lys (1996-97), RC Bianch (1997-99), Liévin (1999)*

Zdobywca Pucharu Polski 1988

* uwzględnione są mecze i gole tylko w najwyższej klasie rozgrywkowej w danym kraju



(fot. arch. pryus)

SYN WIATRU I BURZY

Wykupiłem sobie wycieczkę, że niby wybieram się z żoną w romantyczną podróż poślubną do Saint-Tropez. Pojechałem do Francji i już nie wróciłem – mówi Adrian Szczepański, strzelec gola decydującego o brązowym medalu dla Polski w mistrzostwach świata U-20 w 1983 roku i syn legendarnego Henryka „Burzy” Szczepańskiego.

Antoni BUGAJSKI

Mój ojciec był naprawdę do-
mym piłkarzem, mistrzem Pol-
ski z ŁKS, jednym z Rycerzy Wiosny,
olimpijczykiem, kapitanem repre-
zentacji Polski, zagrał w niej 45 razy.
Moje życie od samych narodzin było
uzależnione od piłkarskiego rytmu
ojca. Przyszedłem na świat w Opolu,
bo grał wtedy w Odrze. Mieszkaliśmy
tam do 1967 roku. Gdy wyjeżdżali-
śmy, miałem niewiele ponad cztery
lata, dlatego z opolskiego dzieciństwa
mam tylko przebliski wspomnień.
Na przykład, że taplam się w ka-
łuży, bo rodzice kupili mi biały futer-
kowy płaszcz na zimę i uznałem, że
warto sprawdzić, jak działa na niego
woda. Ojca z boiska nie pamiętam,
ale na pewno bywałem na jego mec-
zach, bo mama zabierała mnie na
stadion Odry i miałem na trybunach
komfortowe miejsce, bo w swoim
wózku. Tata został trenerem i jak to
trener zmieniał kluby, więc ja musia-
łem zmieniać szkoły. Warszawa, Ko-
szalin, Olsztyn, Lublin, znowu War-
szawa. Jeden pozytywny efekt był
taki, że ciągle miałem bodziec do na-
uki, bo w każdym nowym miejscu na-
leżało się wykazać.

Aeronautyka albo piłka

Mam dwie siostry, a ja jestem najmłodszy,
więc ktoś może uznać, że jako jedyny syn
słynnego „Burzy” byłem skazany na fut-
bol. Ojciec wcale jednak nie naciskał, że-
bym został piłkarzem. Piłka mi się podo-
bała, ale miałem dylemat. Skończyłem
podstawówkę z dwiema czwórkami na
świadectwie, reszta same piątki. Pasjona-
wała mnie aeronautyka, wszystko, co do-
tyczyło awiacji. Bardzo poważnie zastana-
wiałem się nad średnią szkołą o profilu lot-
niczym, była taka pod Lublinem. W takim
razie musiałbym dać sobie spokój z piłką.
To był kluczowy moment, wtedy postawi-
łem na futbol.

Na dobre treningiem zająłem się w Gwar-
dii Warszawa. Od trampkarza przez ju-
niora aż do pierwszego składu. Wiosną
1980 roku debiutowałem w II lidze, wy-
walczyliśmy awans do ekstraklasy. Trene-
rem drużyny był mój ojciec. Był wobec
mnie bardzo wymagający. Musiałem po-
nad wszelką wątpliwość udowodnić, że
zasługuję na granie bez względu na to, jak
się nazywam. Ojciec zawsze mi to powta-
rzał: musisz być lepszy od konkurentów,
nawet nie taki sam, żebyś mógł u mnie
grać.



Bez Kraski ani rusz

Pierwszego i jedynego gola dla Gwardii
w ekstraklasie strzeliłem w wyjazdowym
meczu z Szombierkami Bytom. W 1982
roku, w taki charakterystyczny dzień, bo
17 października. Kojarzy się z remisem
Polski na Wembley dziewięć lat wcześniej.
Dla mojej Gwardii nie było tak szczęśliwie,
ale również dramatycznie. Najpierw gola
strzelił Darek Dziekanowski, a ja zaraz po
przerwie przymierzyłem głową i było już
2:0 dla nas. Mieliliśmy wszystko pod kon-
trolą. O zmianę poprosił Jurek Kraska,
bardzo ważny piłkarz naszej drużyny, były
reprezentant kraju z ekipy Kazimierza
Górskiego. Jurek miał problemy rodzinne,
myślami był gdzieś indziej i uznał, że nie jest
w stanie dalej grać, a że wynik wydawał się
bezpieczny, nikt nie robił z tego problemu.
Tyle że jak opuścił boisko, nagle wszystko
się posypało. To było aż niepojęte, jak nie-
obecność jednego piłkarza może spowodo-
wać, że wszystko wywraca się do góry no-
gami. Bardzo brakowało nam lidera. Nie
zdołaliśmy obronić nawet remisu, przegra-
liśmy 2:3.

Trzej muszkietierowie

W Gwardii grałem ze słynnymi „trzema
muszkietierami”, czyli z Dziekanowskim,
Krzykiem Baranem i Markiem Banasz-
kiewiczem. Każdy miał barwną historię,
chyba najbardziej niesety niejący się
już „Banan”. Ale przede wszystkim każdy

9 marca 1985 roku Adrian Szczepański
(z prawej) zaliczył swój debiut w bar-
wach Motoru Lublin. Jego klub przegrał
z Legią Warszawa 1:2.

(fot. Teodor Walczak/PAP)

umiał grać w piłkę, a „Dziekan” był wręcz
artystą. Umieeli pięknie współpracować na
boisku. Przy takich ofensywnych zawodni-
kach znacznie trudniej wskoczyć napastni-
kowi do składu, ale ja wiele się przy nich
nauczyłem, miałem dodatkową motywac-
ję, żeby im dorównać. A poza boiskiem?
Lubiłem iść do dyskoteki, spotkać się, po-
śmieć, pogadać, ale alkohol mnie nie po-
ciągał, nigdy nie skręciłem w tę złą stronę.
Przyszła chwila, że ojca zwolnili
z Gwardii i to oczywiście była dla mnie
specyficzna sytuacja, ale od tej pory przy-
najmniej już wszyscy mieli jasność: gra-
łem, bo na to zasługiwałem. Dużo od ojca
się nauczyłem i gdy sam we Francji byłem
już szkoleniowcem, korzystałem z jego do-
świadczeń. Do dzisiaj mam wszystkie jego
trenerskie notatniki, które prowadził bar-
dzo sumiennie – trening po treningu, mecz
po meczu, analizy, uwagi, statystyki. Wyko-
rzystywałem jego zapiski w pracy.

Ból zęba na turnieju

Najciekawszą przygodę przeżyłem na mi-
strzostwach świata U-20 w Meksyku.
W czerwcu 1983 roku zdobyliśmy brą-
zowy medal, a ja w meczu o trzecie miej-
sce z Koreą Południową (2:1) strzeliłem

zwyczajnego gola, w dogrywce. Podawał
Wiesiu Krauze i z woleja huknąłem po
długim rogu. Na turnieju byłem rezerwo-
wym, ale jako piłkarz wchodzący z ławki
dawałem radę, bo bramkę zdobyłem
też w grupowym spotkaniu z USA (2:0).
Wcześniej byłem podstawowym napastni-
kiem tej drużyny. Zimą byliśmy na turnieju
w Tajlandii, grałem w pierwszym składzie
i zostałem najlepszym strzelcem. Przed
Meksykiem pojechaliśmy jeszcze na tur-
niej do Groningen w Holandii. I tam zła-
pał mnie ból zęba. Zamiast grać, jeździ-
łem do dentysty, dostawałem antybiotyki.
Mój wyjazd na mistrzostwa świata stanął
pod dużym znakiem zapytania. Cieszyłem
się więc, że cokolwiek mogłem zagrać, a do
tego jeszcze zdobyłem decydującą o me-
dalu bramkę. Po tym meczu miejscowi ki-
bice, którzy najwyraźniej wspierali Koreę,
obrzucili nasz autokar kamieniami, wszyst-
kie szyby powybijali, musieliśmy położyć
się na podłodze. Mimo policyjnej eskorty
było naprawdę groźnie.

Chcieli mnie złamać

Gdy wróciłem z Meksyku, Gwardia była
już drugoligowcem. Nie uśmiechała mi
się gra w drugiej lidze, skoro spróbowa-
łem już wyższego poziomu, a na dodatek
w kieszeni miałem ten meksykański medal.
W Gwardii zaliczyłem już rok służby wojs-
kowej, no ale to dopiero połowa sukcesu,
czekał mnie jeszcze drugi, a nie było zgody
na zmianę klubu. Zacząłem grać więc w tej
drugiej lidze, ale nie dość, że przyplątał się
uraz, to jeszcze nie dogadywałem się z tre-
nerem Marianem Szczechowiczem. Kazał
mi grać, a ja naprawdę musiałem się po-
zornie wyleczyć. Szczechowicz mnie jed-
nak tak goił do grania, że aż wylądowa-
łem w szpitalu. Wkurzyłem się już na ca-
łego. Powiedziałem działaczom otwar-
cie, że w Gwardii już grać nie zamierzam.
Bardzo ryzykowna to była deklaracja, bo
oczywiście postanowili mnie złamać. Przez
rok służby mundur widziałem jedynie na
przysiedze, ale z dnia na dzień pokazali
mi, co to znaczy prawdziwe wojsko. Naj-
pierw zapakowali mnie na tydzień do ko-
szar w Warszawie, a potem wysłali pod Ar-
łamów, do Kwaszeniny – 500 metrów od
granicy z ZSRR, 6 kilometrów od najbli-
szej wioski. W zabudowaniach były trzy
wielkie obory z bykami, no i my, żołnierze,
że tak powiem gorszego sortu. Przez trzy
miesiące mnie tam rozmiękczali, musztry,
warty, apele, żebyśmy tylko grzecznie wró-
cił do Gwardii. Chciałem wszystko prze-
trzymać, ale moja mama zachorowała
na serce, bardzo to wszystko przeżywała.
Wróciłem na Raclawicką w trosce o jej
zdrowie, choć obiecałem sobie, że przy
pierwszej okazji odejdę, no i po odsłużeń-
niu wojska w końcu okazała się nadarzyla
– sprzedali mnie do Motoru Lublin.

Pomysł z AWF

W Motorze czułem się najlepiej, mieliśmy
fajną paczkę kumpli, tworzyliśmy grupę
kawalerów. Zawsze mieliśmy wsparcie try-

bun, czuło się tę publikę. Nigdy nie zapo-
mnę meczu przedostatniej kolejki w sezo-
nie 1984/85. Grałiśmy u siebie z Widze-
wem, który potrzebował zwycięstwa, żeby
zachować szansę na mistrzostwo Polski. Po
strzale Włodzimierza Smolarka prowa-
dzili, ale w ostatniej minucie mieliśmy rzut
wolny. Zagrał do mnie Krzysiu Witkowi-
ski. Uderzyłem piłkę głową. Henryk Bo-
lesta wyszedł z bramki, ale był spóźniony.
Gol, 1:1! Nawet dzisiaj mam dreszcze, gdy
o tym mówię. Widzew mógł zapomnieć
o mistrzostwie.

W Motorze było super, ale myślałem jesz-
cze o większych wyzwaniach. Dostałem
oferę z Lecha, ale nie było zgody na trans-
fer. Co robić? Wpadłem na superpomysł.
Przepis był taki, że klub nie mógł robić
przeszkód młodemu piłkarzowi ze zmianą
klubu, jeżeli w innym mieście podejmował
naukę na studiach. A ja jako medalista mi-
strzostw świata miałem prawo zapisać się
na AWF bez egzaminu wstępnego. Zapi-
sałem się na AWF w Poznaniu i w ten spo-
sób mogłem zacząć grać w Lechu. Tylko
że Motor był czujny. Sprawdził, czy fak-
tycznie studiuję, a niestety przez pół roku
na uczelni pojawiłem się tylko dwa razy.
Musiałem wrócić do Lublina, dograć se-
zon w Motorze i dopiero wtedy Lech mnie
wykupił.

W drużynie Marxa

Z Lecha wyjechałem do Francji, ale było
to bardzo trudne. Gdy jeszcze miałem te
wojskowe przeboje z Gwardią, zabrali mi
paszport, od razu zapowiedzieli, że na trzy
lata. Mogłem tylko od biedy jeździć do in-
nych krajów bloku wschodniego. Gdy już
zwrócili mi paszport. Skontaktowałem się
z mną Roman Dębiński, zaliśmy się ze
wspólną grą w Motorze Lublin, i zapro-
ponowałem grę we Francji, w trzecioligowym
JGA Nevers. Wykupiłem sobie wycieczkę,
że niby wybieram się z żoną w roman-
tyczną podróż poślubną do Saint-Tropez.
Odwiedziłem to urokliwe miejsce dopie-
ro kilka lat później, bo wtedy na lotni-
sku Orły czekał na mnie Roman i pojecha-
liśmy do nowego klubu. Po trzech miesi-
cach zacząłem grać. A potem podpisałem
kontrakt z drugoligowym La Roche VF,
który prowadził Joachim Marx. Byłoby na
pewno lepiej, ale na pierwszym treningu
rozwaliliśmy kolano, całkiem poszły więza-
dła krzyżowe. Miałem operację, sześć mie-
sięcy przerwy. Zawodowym piłkarzem
byłem do 33. roku życia, potem kopie-
łem piłkę amatorską, zająłem się wreszcie
pracą trenerską.

Córka biega maratony

Mieszkam na północy Francji, 20 kilome-
trów od Lille. Z moją ukochaną żoną Ur-
szulą. Mamy dwojkę dzieci, które już wy-
frunęły z domu. Córka Daria ma dyplom
inżyniera, pracuje w branży energetycz-
nej, biega maratony, z narzeczonym prze-
niosła się do Paryża. Syn Cyprian jest ma-
gistrem. Nie poszedł w piłkarskie ślady
dziadka i ojca, ale ma za to żyłkę artysty,
lubi fotografować. Niedawno wrócił z żoną
z rocznej podróży dookoła świata. Dzieci
urodziły się już we Francji, ale w domu za-
wsze mówiliśmy po polsku, dlatego dosko-
nale znają język swoich rodziców. Zawsze
o to dbaliśmy, bo choć już tyle lat miesz-
kamy na emigracji, ani na moment nie za-
pomnieliśmy, skąd pochodzimy.



PETROspekcja

MODLITWA I SPORT ZAMIAST KNAJP



Oficjalna nazwa reje-stracyjna założonej 100 lat temu organizacji YMCA brzmiała: Związek Młodzieży Chrześcijańskiej Polska YMCA. Głównymi jej celami było kształtowanie harmonijnego rozwoju fizycznego, umysłowego i duchowego w męskim pokoleniu młodzieży. Z czasem – obok modlitwy, studiowania Biblii i działalności charytatywnej – największy akcent zaczęto kłaść na ten pierwszy element, co w ogromnym stopniu przyczyniło się do rozwoju sportu w aż 120 krajach.

W listopadzie 1919, w wolnej już Polsce, zgodę na aktywność YMCA wydał specjalnym rozkazem minister spraw wojskowych. Pod szyldem tej organizacji rodziły się przedsięwzięcia kulturalne i sportowe.

Dziewiętnastowieczny założyciel tej nadzwyczaj pożytecznej organizacji – londyński sukienik, a jednocześnie rolnik George Williams – chciał w okresie narastającego uprzemysłowienia i ekspansji młodych ludzi ze wsi do miast stworzyć im nową płaszczyznę zajęć po pracy, żeby nie ograniczali się li tylko do odwieczania knajp i domów publicznych. Idea ta trafiła na podatny grunt i bardzo szybko zakiełkowała w Stanach Zjednoczonych, gdzie zaczął ją realizować od 1851 roku w Bostonie kapitan Thomas Valentine Sullivan, a zaraz po nim wersję YMCA dla czarnoskórych obywateli USA zaproponował świeżo wyzwolony niewolnik Anthony Bowen.

Obowiązujący w Anglii aż 12-godzinny dzień pracy w okresie rewolucji przemysłowej i nędzne warunki zakwaterowania przybyszów ze wsi nasunęły pobożnemu Williamowi myśl o wyciągnięciu do nich pomocnej dłoni.

Co ciekawe, w Stanach Zjednoczonych podział na białych i kolorowych w szeregach YMCA został oficjalnie zamknięty dopiero w 1967 roku, choć w niektórych ośrodkach utrzymywał się jeszcze przez pewien czas. Dominacja elementu sportowego w YMCA zaczęła być zauważalna w latach 80. XIX wieku, gdy w Bostonie ukuto termin body building, wiele lat później upo-

wszechniony u nas pod nazwą kulturystyki. W 1891 Kanadyjczyk James Naismith, mający już stopień naukowy z teologii, dostał zadanie stworzenia jakiejś gry w warunkach halowych w międzynarodowym centrum treningowym YMCA w Springfield (Massachusetts). No i on właśnie wymyślił dla swych podopiecznych koszykówkę, grę w zasadzie bez groźącego kontuzjami bezpośredniego kontaktu fizycznego z wykorzystaniem piłki nożnej i umocowanych po obu stronach sali na wysokości nieco ponad trzech metrów zwyczajnych koszy po brzoskwi- niach. Dopiero z czasem zmieni- ono nie tylko pierwsze przepisy gry w basketball, lecz również zaczęto używać koszy bez dna, co przysłało grze widowiskowości.

W 1895 roku William G. Morgan, szef YMCA w Holyoke (również Massachusetts) zainicjował grę w siatkówkę, która jego zdaniem miała łączyć cechy koszykówki, baseballu i tenisa. Jak widać więc, kolejne pokolenia chrześcijańskich młodzieńców wniosły do światowego sportu bardzo wiele, a dziś międzynarodowa federacja siatkówki (FIVB) zrzesza aż 222 kraje członkowskie i pod tym względem ustępuje bodaj tylko międzynarodowej federacji tenisa stołowego (227 państw).

Jednym z najbardziej skomplikowanych zadań YMCA była prowadzona w okresie 1840–1937 próba chrystianizacji Chin połączone z upowszechnianiem tam nowoczesnych sportów. W ślad za misjonarzami pojawili się w społeczeństwie chińskim angielscy i amerykańscy trenerzy. Choć w końcu górę wzięli chińscy nacjonalizm i ruch nazwany „muskularnym chrześcijaństwem” zakorzenił się w społeczeństwie chińskim w minimalnym stopniu, to jednak sportowa kultura zachodniej cywilizacji została przez Chińczyków w jakimś stopniu zaakceptowana. Po wielu latach do oficjalnych rozmów przedstawicieli ChRL i USA doprowadziła niezapomniana „dyplomacja pingpongowa”, a później sensacją stało się spopularyzowanie w Chinach rozgrywek NBA, zwłaszcza od momentu, gdy w tej lidze zaczął grać olbrzym (2,29 m wzrostu) Yao Ming. Za najlepszego w historii koszyka-



James Naismith, lekarz, pastor i kapelan wojskowy był twórcą koszykówki. Propagował też korzystanie z hełmów w sportach kontaktowych. (fot. Getty Images)

ryka, który zaczynał w YMCA, uważa się dziś rewelacyjnie grającego w NBA (Houston Rockets) 21-letniego Turka Alperena Sengüna (2,11 m), niedo- szłego pływaką, którego wprost nie może nachwalić się Dirk Nowitzki. Jak widać, wpływy YMCA wciąż pozostają nawet w sporcie wyczynowym nie- małe.

Jeśli chodzi o początki YMCA na naszej ziemi, to warto przypomnieć, że jej działalność rekomendował już na wstępie najsłynniejszy wówczas pianista świata, na dodatek premier rządu polskiego Ignacy Paderewski. Do kręgu działaczy YMCA włączyli się między innymi marszałek Sejmu Maciej Rataj i poeta Jan Kasprówic. W polskiej historiografii YMCA pozostaje niemal niezauważona. Zapewne dlatego, że od początku kojarzono ją z ignorowaną w naszym katolickim kraju prote- stancką odmianą chrześcijaństwa. O dziwo jednak ten właśnie model kształtowania osobowości młodzieży, zresztą obu płci, zaprezentował w swojej działalności duszpasterskiej w Krakowie przyszły papież Karol Wojtyła, o którym mało kto wie, że oprócz wędrówek górskich, jazdy na nartach, pływania i wiosłowania wprost wyczynowo w latach 30. ubiegłego wieku grał w szachy, uczestnicząc w turniejach z udziałem najlepszych w Polsce.

Wśród zawodników KS YMCA, którzy w 1929 roku zdobyli pierwszy w historii tytuł mistrzów Polski siatkarzy, znalazł się... Edward Ałaszewski, w przyszłości znakomity ka-

rykaturzysta, z którego rysunków korzystamy do tej pory (w ostatnim czasie umarł jego syn Marek Ałaszewski, świetny malarz i muzyk, lider zespołu Klan). W karierze wszechstronnie utalentowanego Edwarda (również mistrza Polski w koszykówce) były między innymi występy w pierwszoligowej drużynie piłkarskiej Polonii Warszawa, gdzie grał razem z bratem Mieczysławem, najpierw na pozycji napastnika, a po doznaniu kontuzji – bramkarza. Jak widać zatem, treningi w KS YMCA dały mu solidne podstawy sportowe.

Zaraz po drugiej wojnie światowej koszykarze łódzkiej drużyny YMCA, wtedy głównie wileńscy repatrianci, wywalczyli w 1948 roku mistrzostwo Polski, a w zespole grali między innymi przyszły trener reprezentacji kraju Władysław Maleszewski i przyszły rektor AWF Warszawa – Tadeusz Ulatowski.

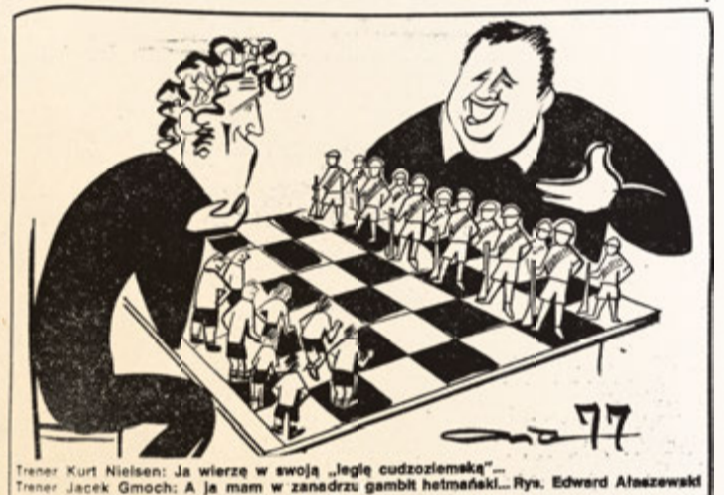
W 1949 stalinowski reżim rozwiązał struktury YMCA w Polsce, do których należeli m.in.: pisarz Leopold Tyrmand, przyszły gwiazdor aktorstwa Jan Kobuszewski, późniejszy reżyser TVP Janusz Rzeszewski, muzycy Jerzy Matuszkiewicz i Marek Sewen, legendarny bas Bernard Ładysz, a także bohaterki kurier w okresie II wojny światowej Jan Karcki... Przed wojną pod skrzydłami YMCA przy Konopnickiej 6 zaczynał karierę bokserską mistrz Europy 1939 Antoni Kolczyński zwany dzieckiem Warszawy. A nie zapominajmy, że w Polsce powstała pod patronatem żony Ignacego Paderewskiego Heleny – również żeńska wersja chrześcijańskiego stowarzyszenia (YWCA), tak samo propagująca sport i łącząca to z kulturą. Tak tworzyła się historia...

Dni klęsk i chwaty otówkiem Aty

Jacek Gmoch, z wykształcenia inżynier ze specjalnością budowy dróg i mostów, z zamiłowania piłkarz, m.in. gracz Legii Warszawa i repre-

zentant Polski, objął po Kazimierzu Górskim prowadzenie drużyny narodowej. Przed meczem z Danią doczekał się tak dowcipnego skaryka-

towania przez „Ate”. Warto przypomnieć, że wraz z ghost writerem Tadeuszem Olszańskim Jacek napisał książkę pt. „Alchemia futbolu”.



Trener Kurt Nielsen: Ja wierzę w swoją „legię cudzoziemską”... Trener Jacek Gmoch: A ja mam w zanadru gambit hetmański... Rys. Edward Ałaszewski

Pamiętam takie zdjęcie...

Długoletni bywalec wszelkich aren sportowych RP Jan Rozmarynowski sfotografował na tle Krokwi niezapomnianych dwoje zakopiańczyków, którzy już przenieśli się do lepszego ze światów. Siostra Helena Warszawska była wprost niezastąpioną pielęgniarką w COS w Zakopanem, zaś Stanisław Maruszak to legenda polskich skoków narciarskich. Ona pracowała przez kilkadziesiąt lat na potrzeby olimpijczyków, a wcześniej przeszła katargę

w niemieckich obozach koncentracyjnych. On, w 1938 wicemistrz świata z Lahti, podczas wojny kurier tatrzański, uwięziony przez Niemców w Krakowie na Montelupich zdołał uciec stamtąd wraz z kolegą po wyłamaniu krat i mimo postrzału w udo udało mu się dotrzeć do Zakopanego, by dożyć końca wojny na Węgrzech. Brał udział w turniejach skoków narciarskich jeszcze przez wiele lat po wojnie, wzbudzając niekłamany podziw.



(fot. Jan Rozmarynowski)

Komentarze

Felietony Opinie

BARTOSZ GĘBICZ
dziennikarz „Przeglądu Sportowego”



ATAK Z BEKHENDU

TENIS CHCE BYĆ JAK FORMUŁA 1

Wszystkie teksty Bartosza Gębicza dostępne po zeskanowaniu kodu QR za pomocą aparatu fotograficznego w smartfonie.



Wszystkie teksty Sebastiana Parfjanowicza dostępne po zeskanowaniu kodu QR za pomocą aparatu fotograficznego w smartfonie.



Czy tak w nieodległej przyszłości będzie wyglądał tenisowy tour? Zamiast czterech szlemów, dziewięciu turniejów z serii 1000, dużej grupy mniejszych i mikrych obecnych imprez – w elicie wszystko pod sznurek jak na torach Formuły 1? Czternaście zunifikowanych, równorzędnych, świetnie zarabiających widowisk? Dyrektor Australian Open Craig Tiley zakomunikował właśnie, że to jeszcze nie projekt na dziś, ale na jutro już jak najbardziej. I prace się toczą. Cztery szlemy i pozostałe tenisowe organizacje pilotujące najważniejsze wydarzenia miałyby się zjednoczyć i stworzyć nowy Premium Tour. Ewentualnie wpuszczając przez uchylone drzwi kapitał saudyjski, ale nie pozwalając mu zawłaszczyć wszystkiego. To jest więc de facto kontrofensywa obecnych władz, by odeprzeć atak z tej strony. By zawczasu poskromić bunt zawodników, nie dopuścić do wytransferowania ich do ewentualnego konkurencyjnego cyklu szeków i zaferować produkt najwyższej jakości. Bo premium może być teraz wszystko. Od tego, co czytacie i oglądacie, po to, co jecie, pijecie, zakładacie i czym jeździcie. No i jak gracie też.



Na kortach ma być więc generalnie jak w życiu i jak we wspomnianej „Jedynce”. Po części, patrząc na lidera, już jest, bo Novak Djoković (trzy zwycięskie szlemy i ATP Finals, finał Wimbledonu) = wypisz, wymaluj Max Verstappen (wygranych 19 z 22 GP w 2023 roku). Tu dominator i tam też. Zyski zasysa jedno źródło. Ale w tej kwestii nie chodzi akurat o wyniki jednostki, a o biznes i dobrostan całej sceny. Mniej więcej w takim rytmie jak poniżej. Zakładając, że do kalendarza na otwarcie sezonu wszedłby Rijad, dalej wszystko ruszyłoby po linii: Melbourne (Australian Open) – Indian Wells – Miami – Madryt

– Rzym – Paryż (Roland Garros) – Londyn (Wimbledon) – Montreal/Toronto – Cincinnati – Nowy Jork (US Open) – Szanghaj – Paryż. Mogłyby oczywiście nastąpić przesunięcia, bo według przecieków trwają negocjacje w sprawie sprzedaży imprez na Florydzie i w Hiszpanii. Nie wiadomo też, co stałoby się z Dubajem, Dohą i Pekinem, gdzie pieniądze jest dużo, ale nie ma odpowiedniej kategorii. No i wolnych terminów. Wszystkie turnieje zyskałyby zbliżony schemat. Jeśli równałyby do szlemów, oznaczałoby to dwa tygodnie gry i gigantyczne pieniądze do podziału. Oraz miejsce w drabince dla bardzo szerokiej czołówki. Tak wyglądałby więc sztywny kalendarz Igi Świątek, Huberta Hurkacza i ich młodszych rodaków, którzy, mamy nadzieję, kiedyś się w elicie pojawią. No i oczywiście innych wielkich gwiazd. W najbliższym sezonie jeszcze na pewno nie, ale już od następnego przy odpowiedniej dynamice zmian taki scenariusz można sobie wyobrazić.

Za projektem wypowiedział się do tej pory m.in. Taylor Fritz. Podobne zdanie jak Amerykanin, jeśli zarobki wzrosną, zaprezentuje zapewne większość. Każdy, kto wierzy, że w tenisie liczą się tradycja, wartości czy dziedzictwo, jest strasznie naiwny. Na kortach przede wszystkim liczy się pieniądź. Przykład pierwszy z brzegu – rozgrywany podczas minionego weekendu w Sankt Petersburgu i sponsorowany przez Gazprom Trofiej Siewiernoj Palmiry. Zagrani w nim, mimo protestów z Ukrainy, tenisiści i tenisistki z Francji, Hiszpanii, Bułgarii, Serbii czy Kazachstanu. Włoszka z powodu kontuzji zrezygnowała w ostatniej chwili. Adrian Panarino, Roberto Bautista Agut, Wiktorija Tomowa i inni uznali, że politycy niech spadają na drzewo. Wraz z gospodarzami (przy okazji małżeństwo zawarli Aleksandr Szewczenko i Anastazja Potapowa – szczęśliwości!) postanowili skorzystać z oferty. A oferta prezentowała się zacie,

bo według rosyjskich mediów do podziału za trzy dni mogło być 4-5 mln dolarów. Nie mam wątpliwości, że tak samo będzie z tourem spod znaku premium. Pieniądź się zgadzają, no to „pajechali”. – Dobry pomysł – ogłosił już Fritz, podobnie jak Nick Kyrgios wspierający transformację tenisa w tym kierunku. – Profesjonaliści powinni być przygotowani na udział we wszystkich najważniejszych wydarzeniach. Możesz wtedy zorganizować czternaście wspaniałych zawodów, co sprawi, że dyscyplina stanie się łatwa w obsłudze i obserwacji. Kibic będzie musiał zwracać uwagę tylko na te turnieje. Z punktu widzenia grających i ich fanów nie będzie wtedy szalonego harmonogramu – ocenił. Rzeczywiście, najważniejszej gry (reszta imprez właściwie przestałaby się liczyć) byłoby mniej niż teraz. W sumie na około siedem miesięcy. Przerwy stałyby się dłuższe, gracze z jednego źródła wyciągaliby więcej, rywalizacja dla mistrzów byłaby – modne ostatnio słowo – znacznie bardziej zrównoważona. Po prostu żyć nie umierać...



Na przeszkodzie do tej wielkiej reformy stoją jednak na razie sprzeczne interesy poszczególnych organizacji. Bo na przykład ATP na bogato to jedno, jadąca na minusach WTA drugie, a szlemy też znajdują się na różnych pozycjach. Australia z panem Tileym na pokładzie spłaca jeszcze długi za covid, gdy pustymi samolotami z całego świata zwoziła do siebie gwiazdy. Ameryka to finansowa potęga, a rozbudowujący się konserwatywny Wimbledon jako jedyny ze swym staromodnym podejściem średnio do tej całości pasuje. Wiele wskazuje jednak, że wszystko ostatecznie da się spiąć jednym mianownikiem. Ze będziemy mieli tenisową Formułę 1. Może już w sezonie 2025, może nieco później. Po to, by „grupa trzymająca władzę” zdołała się obronić!



SEBASTIAN PARFJANOWICZ
dziennikarz TVP Sport

STOP KLATKA

DLA KOGO PRACUJE POLSKA?

Są tacy sportowcy, którzy nigdy nie wygrają Plebiscytu „Przeglądu Sportowego”. Ba, oni pewnie nawet nie trafią na jego okładkę, choć w pełni zasługują, by tak się stało. Gdyby mierzyć sport zaangażowaniem w treningi, poświęceniem, wszelkimi szlachetnymi wartościami, to oni właśnie mieliby szafy pełne medali i pucharów. I w sumie mają, tyle że większość trofeów stoi gdzie indziej. W domach tych, których wspierali. Jeden z takich sportowców właśnie zakończył karierę i dla mnie w minionym tygodniu nie było istotniejszej informacji. Peter Sagan napisał o nim „cichy bohater”. Nie pomocnik, gregario, jak to się przyjęło mówić, bo te słowa nie oddają zupełnie, kim w peletonie był Maciej Bodnar. Dla trzykrotnego mistrza świata ze Słowacji – niezawodne wsparcie w latach wielkich sukcesów. Dla polskiego kolarstwa – fundament wszystkiego, co najpiękniejsze, wspólnie z Michałem Gołasiem, drugim „cieniem” zwycięzców. Ponferrada 2014, Rio 2016, inne piękne chwile – Bodnar zawsze tam był.

„Per chi tira la Polonia?” (Dla kogo pracuje Polska?) – pytali zdziwieni włoscy komentatorzy 28 września 2014 roku, widząc wąż biało-czerwonych koszulek na szczycie peletonu mistrzostw świata. Przez 50... 100... 150... 200 kilometrów. Nam – nielicznym dziennikarzom w Hiszpanii – też zdawało się to misją samobójczą, nie da się przecież kontrolować wyścigu od startu do mety. Bodnar miał jedną z pierwszych zmian. Pamiętam jak dziś, zjechał do bufetu, usiadł na plastikowym krzeselku i powiedział tylko: „Kwiatek jest potwornie mocny. Wszyscy dziś jedziemy dla niego”. Kilka godzin później skakaliśmy ze szczęścia w autobusie reprezentacji Polski. Rio 2016. Przedziwne okoliczności, bo organizatorzy zapomnieli na starcie wspólnym o jakiegokolwiek cywilizowanej strefie oczekiwania dla zawodników. Ci przebierali się za drzewami, siedzieli na krawężnikach, próbując schować się przed bezlitosnym brazylijskim słońcem. Włosi się piekli, Hiszpanie machali rękami, a Maciej z selekcjonerem Piotrem Wadeckim

załatwili z pobliskiej restauracji kilka krzeselek i rozładowywali napięcie żartami. I znów dzień skończył się polskim medalem, brązem Rafała Majki. Spójrzcie, jak niewdzięczna to rola. Te szczegóły pamiętam ja, bo miałem przyjemność tam być i zaszczyt je opisać. Pamięta trzon reprezentacji, pamiętają najbardziej zagorzali kibice kolarstwa. Dla reszty, która zerknie w wyniki, Bodnar będzie tym, który nawet nie ukończył obu tych wyścigów. Nie ukończył, bo całą swą energię oddawał liderowi na 100-150 kilometrach. A potem zjechał do bazy, bo takie jego zadanie, taka rola, takie polecenie trenera. Na wyścigach wieloetapowych jest podobnie – pomocnicy mają wykonać swoją działkę i oszczędzić siły na następny dzień. To, czy zajmą 19. czy 119. miejsce, nie ma bowiem żadnego znaczenia, a różnica w wysiłku jest ogromna. Tylko wytłumaczyć niedzielnemu kibicowi, na jaki szacunek zasługuje taki Bodnar, jest na co dzień bardzo, bardzo trudno.

Na szczęście miał też Maciek kilka bardzo swoich chwil. 2016 rok, o którym już wspominałem, był dla niego powrotem po serii kontuzji. Łamał obojczyki, łamał szczękę, ale nie przestawał walczyć. W sierpniu w Rio zajął szóste miejsce w olimpijskiej czasówce, w październiku w Katarze był czwarty w mistrzostwach świata. Żałował tych sześciu sekund dzielących go od upragnionego medalu bardzo, ale gdy stanął przed kamerą, powiedział tylko: „Jestem cierpliwy. Poczekam jeszcze chwilę”. Nie czekał długo. Rok później wygrał etap Tour de France. Marzy mi się, by o takich właśnie sportowcach chcieli dziś czytać młodzi ludzie, zamiast emocjonować się wyzwiskami patocelebrytów ze świata freak-fightów. Marzy mi się, by Maciej Bodnar trafił wreszcie na Galę Mistrzów Sportu, bo naprawdę do tych mistrzów należy. Może w tym roku, gdy wreszcie – po prawie 20 latach harowy – nie musi spędzać stycznia na zgrupowaniu? „Przełądzie”, prze-myśl ten temat!

ENERGETYKI

TO NASZ SUKCES!

Z Rafałem K

Dyrektor Instytutu Sportu – Państwowego Instytutu Badawczego Rafał Kubacki opowiada o największych wyzwaniach i planach na najbliższe lata, o tym, jak zmienia się nasze społeczeństwo, jak ważne staje się pokolenie alfa i dlaczego w całym kraju będzie trzeba wymienić nawierzchnie na boiskach ze sztuczną trawą. Jednak za najważniejsze osiągnięcie ostatnich miesięcy uważa doprowadzenie do zmian w prawie, dzięki którym dzieci i młodzież nie będą mogły kupić napojów energetyzujących.

MACIEJ SZMIGIELSKI: Od 1 stycznia 2024 roku nieletni nie będą mogli w Polsce kupić napojów energetycznych, co jest olbrzymią zasługą Instytutu Sportu. Jak doprowadziliście do zmiany prawa w tym zakresie?

RAFAŁ KUBACKI: Zanim do tego doszło, przeprowadziliśmy szereg badań i ekspertyz oraz obserwacji, jak bardzo niekorzystny wpływ na rozwój młodych ludzi mają składniki zawarte w napojach energetycznych. Chodzi przede wszystkim o ogromną ilość cukru, o kofeinę i taurynę. Te trzy połączone składniki tworzą bombę, która bardzo pobudza młodych ludzi. Potrafi uzależniać, doprowadzać do zachowań agresywnych. A to z kolei ma wpływ na rozwój mózgu, który u młodej osoby rozwija się do 25. roku życia. Nasze badania i wnioski przekazaliśmy do Ministerstwa Sportu i Turystyki, które z kolei doprowadziło do zaostrzenia przepisów, jeśli chodzi o sprzedaż napojów energetyzujących.

Sytuacja była aż tak poważna, że trzeba było wprowadzić takie obostrzenia?

Wiele młodych osób potrafi rozpocząć dzień nie od normalnego śniadania, a od jednej puszki tych napojów lub nawet kilku. W szkołach wśród młodzieży dochodziło do wielu niepożądanych zachowań. W wyniku obserwacji, wywiadów, badań, we współpracy z pedagogami ustaliliśmy główne przyczyny. Te energetyki są wspomagaczem nieodpowiednich zachowań. Wiele osób nie zdaje sobie nawet sprawy, jak wielki wpływ na układ nerwowy u młodzieży mają takie napoje.

Dlatego zostały zrównane z alkoholem i teraz tylko osoby pełnoletnie będą mogły je legalnie kupić?

Alkohol też wpływa na nasz układ nerwowy. Tylko w inny sposób. Jest bardziej spowalniczem. Natomiast ener-

getyki mają dodać mocy. Jeśli ktoś miesza alkohol z napojami energetyzującymi, to tak, jakby prowadząc samochód, równocześnie wcisnąć pedał gazu i hamulec.

Silnik wówczas zaczyna wariować.

I tak samo jest z mózgiem, który dostaje dwie sprzeczne informacje, a to nie może wyjść na zdrowie. Dlatego musieliśmy zareagować. Bo uzależnienie od energetyków jest widoczne. I też takie było oczekiwanie społeczne, żeby sprzedaż tych produktów uregulować. Uważam, że to duży sukces Instytutu Sportu.

Instytut Sportu jest dla wielu osób trochę mglistym pojęciem. A okazuje się, że macie bardzo duży wpływ na bieżące prawo w Polsce.

Nasz instytut działa w ramach ustawy o państwowych instytutach badawczych. Dlatego pełna nazwa brzmi Instytut Sportu – Państwowy Instytut Badawczy. Podlega bezpośrednio ministrowi sportu i to minister powołuje i odwołuje dyrektora instytutu. Wykonujemy zadania na rzecz ministerstwa i naszego państwa. Jesteśmy wiodącą instytucją w Polsce badającą sportowców w sposób ukierunkowany, czyli przy współpracy ze związkami sportowymi, wykonujemy zlecane badania, dokonujemy identyfikacji talentów za pomocą różnego rodzaju badań, realizujemy zapotrzebowania ze strony ministra i posłów, na przykład za sejmowej komisji sportu lub komisji edukacji, przygotowujemy różne ekspertyzy, chociażby związane ze spożywaniem przez dzieci i młodzież napojów energetycznych.

Jednak zajmujecie się również poważnym, profesjonalnym sportem.

Zajmujemy się każdym sportem. I tym dotyczącym zbliżających się igrzysk olimpijskich w Paryżu w przyszłym roku, i tym wśród dzieci, dlatego realizujemy wiele programów, między innymi zwią-

zanych z wyszukiwaniem Sportowych Talentów czy działalnością Szkolnych Klubów Sportowych. Dodatkowo obsługujemy tak zwany Team 100, czyli program realizacji stypendiów przyznawanych przez ministerstwo sportu. A to są olbrzymie środki. W tym roku mówimy o kilkudziesięciu milionach złotych. Stypendiów obsługiwanych przez nasz instytut jest ponad 2400.

Mówimy o stypendiach, które są celem większości sportowców. Czyli wysokie miejsce w zawodach międzynarodowych gwarantuje wsparcie przez państwo polskie?

Dokładnie. I tu są dwie możliwości dla ministra, który te stypendia przyznaje. Mowa o art. 32b i 32c Ustawy o Sporcie. Ten pierwszy mówi o zawodnikach spełniających określone kryteria, dzięki którym mogą ubiegać się o sty-

Bar
do mi
zależy, żeby
nasz insty-
tut pełnił rolę
zdecydowanie
bardziej opi-
niotwórczą.
Obecnie jeste-
śmy na etapie
realizacji no-
wej strategii.

SPORTOWIEC, NAUKOWIEC I AKTOR

DR RAFAŁ KUBACKI

(ur. 23 marca 1967 roku) to były wybitny polski judoka. Był aż siedemnaście razy mistrzem Polski, dwukrotnym mistrzem świata, mistrzem Europy, wielokrotnym medalistą tych imprez. Trzykrotnie wystąpił w letnich igrzyskach olimpijskich. W 1993 roku w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego” został wybrany Najlepszym Sportowcem Polski. Wykładowca na Akademii Fizycznej we Wrocławiu. Po zakończeniu kariery skoncentrował się na działalności naukowej i wspólnie z żoną Agnieszką Rauk-Kubacką prowadzi Stowarzyszenie Sportowe „Altius”. Jednocześnie oboje szkolą trenerów i przyszłych sportowców. Olbrzymią popularność zdobył po roli Ursusa w filmie „Quo vadis” w reżyserii Jerzego Kawalerowicza. Od lipca 2023 roku jest dyrektorem Instytutu Sportu – Państwowego Instytutu Badawczego.

pendium. Czyli medalistach mistrzostw świata, Europy czy sportowcach, którzy zajęli punktowane miejsca. Natomiast 32c oznacza, że to ministerstwo decyduje, czy przyznać stypendium na przykład młodemu sportowcowi, który dobrze rokuje, lub trenerowi, który angażuje się w wiele spraw.

Czyli tej pracy jest całkiem sporo.

Zgadza się. Prowadzimy różne badania, które też publikujemy, bo jesteśmy instytutem badawczym, wspomagamy związki sportowe – jak wspomniałem – realizujemy różne programy związane z polskim sportem. Bardzo mi zależy, żeby nasz instytut pełnił rolę zdecydowanie bardziej opiniotwórczą. Obecnie jesteśmy na etapie realizacji nowej strategii. I ja kieruję się w stronę funkcjonowania słoweńskiego instytutu sportu.

Czyli obywatelom hasło w przypadku Słowenii: mały kraj, wielkie sportowe sukcesy.

Z czegoś te sukcesy się biorą. Dlatego wprowadziliśmy program Sportowe Talenty. To baza informacji zebrana przez naszych naukowców we współpracy z naukowcami z innych uczelni. Program ma na celu znalezienie talentów sportowców przy równoczesnym przebadaniu jak największej liczby dzieci i młodzieży w celu uzyskania ogóln-

nej informacji, jaka jest tak naprawdę sprawność fizyczna młodych ludzi. Do tej pory w Polsce nie było, gdzie moglibyśmy wpisywać tego typu wyniki dla całej populacji dzieci i młodzieży. Słoweńcy już od kilku dekad taką bazę prowadzą. Rok w rok testują 220 tysięcy młodych osób, czyli dziesięć procent populacji. I dokładnie wiedzą, jaki jest poziom sprawności u młodych ludzi.

U nas musiałyby to być niemal cztery miliony młodych osób.

W tym roku przeprowadziliśmy pilotaż, na razie na dwóch województwach – opolskim i lubelskim. I ten program pilotażowy cieszy się dużym zainteresowaniem.

Na czym polega ten program?

Zasada jest taka, że testujemy dzieci i młodzież na lekcjach wychowania fizycznego pod względem sprawności. I zebrane informacje wpisujemy do systemu. Ministerstwo Edukacji i Nauki ma możliwość zapoznania się z tymi danymi. Informacje te są analizowane przez nasz instytut, przy czym nie wiemy, czyje one są. Po prostu badamy same wyniki, a nie konkretnego młodego człowieka. I wskazujemy, kogo uważamy za utalentowanego w pewnym kierunku. Dzięki temu nauczyciel, dyrektor szkoły oraz rodzice wiedzą, że sprawność



KUBACKIM

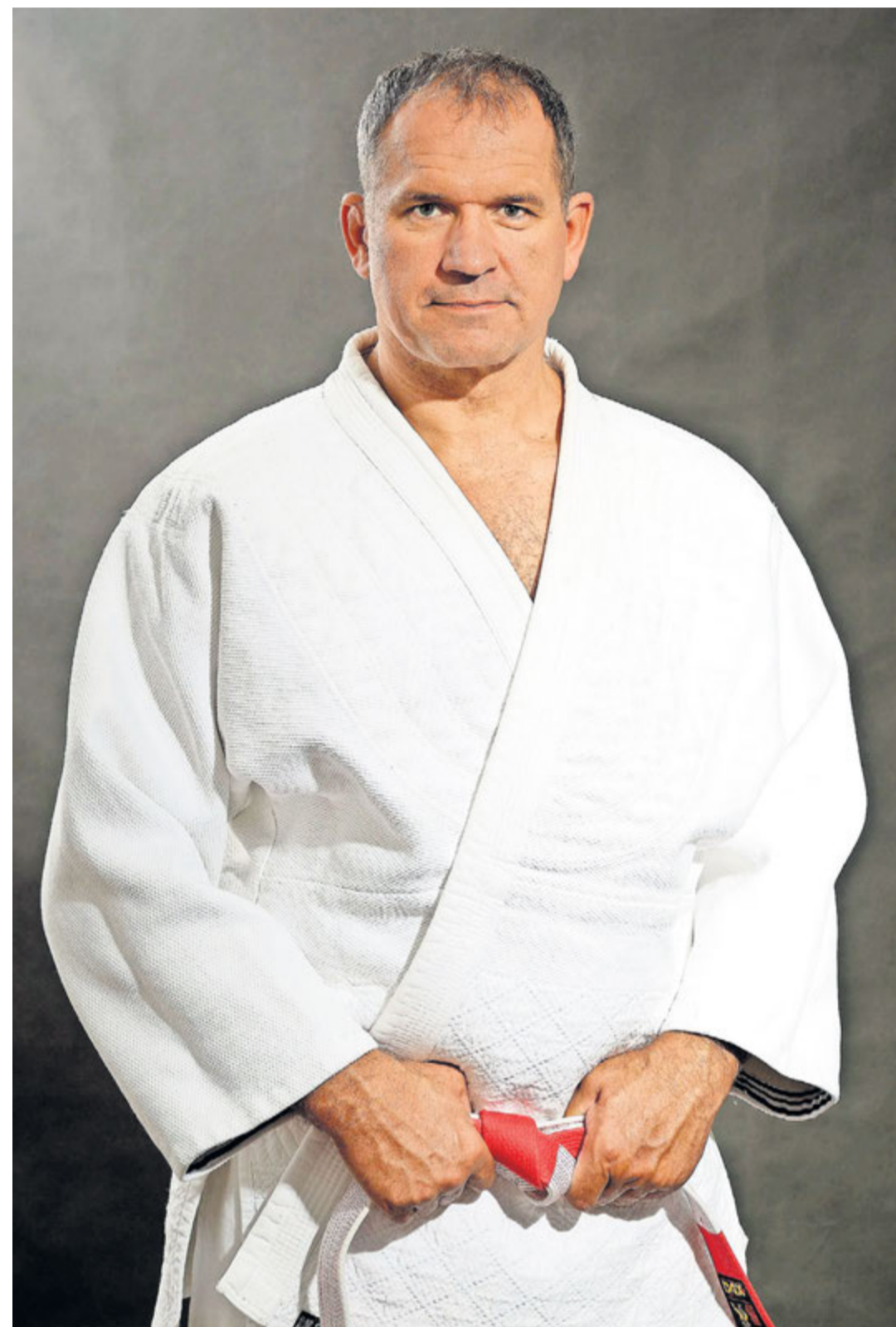
rozmawiał
Maciej
SZMIGIELSKI

foto © Materiały prasowe (2)

ich dziecka jest na odpowiednim poziomie. Do tego systemu mogą się zgłaszać również kluby sportowe. A to bardzo istotne. Proszę sobie wyobrazić, że według naszych badań aż 80 procent rodziców nie ma wiedzy, jakie zajęcia są proponowane przez kluby sportowe w ich okolicy. A teraz te kluby same mogą się zgłaszać, gdy zobaczą młodą osobę z – jak to określamy – wewnętrznym silnikiem napędowym.

Co to oznacza?

Już tłumacze – 95 procent społeczeństwa nie nadaje się do wyczynowego uprawiania sportu. Reszta ma do tego predyspozycje. I jeśli pojawia się na przykład młody chłopak, który ma wytrzymałość, szybkość lub siłę wybijającą się na tle rówieśników, to klub ma prawo zaprosić go do siebie na próbny trening. Na przykład klub wioślarski zaprasza takiego chłopaka do siebie na zajęcia, żeby zoba-

czył, na czym to polega, o co chodzi. Oczywiście musi wyrazić zgodę. Bo klub nie wie, czy chodzi o Kowalskiego, Nowaka czy Iksińskiego. Klub zgłasza się do szkoły, szkoła do rodziców i ci przyprowadzają syna na trening. Celem tego systemu jest, żebyśmy byli w stanie wyłowić te pięć procent utalentowanych młodych osób. Równocześnie dzięki temu mamy wyobrażenie na temat całej populacji dzieci i młodzieży, co ułatwia podejmowanie konkretnych decyzji, kierowanie środkami.

Generalnie poziom sprawności u młodych ludzi nie jest chyba najwyższy.

Niestety, to się zgadza. Dodatkowo należy pamiętać, że w dorosłe życie wkracza obecnie pokolenie alfa, czyli ludzie już wychowani na smartfonach. I jako instytut – tak w dużym skrócie – też zastanawiamy się, w jaki sposób do nich dotrzeć, namówić do aktywności fizycznej. Chyba naj-

łatwiej będzie to zrobić przez smartfony. Prognozy są takie, że za trzy lata sztuczna inteligencja będzie w stanie trenować człowieka. I może to będzie odpowiedni autorytet dla pokolenia alfa. Z punktu widzenia dyrektora instytutu stawiam bardzo odważną tezę, że jesteśmy zmuszeni przygotować się do współpracy ze sztuczną inteligencją. Musimy być też przygotowani na zmiany, które zachodzą w sporcie, w naszym życiu. Bo to wszystko jest powiązane. Tradycyjne dyscypliny olimpijskie powoli stają się dla młodych ludzi mniej atrakcyjne. Zresztą na igrzyskach widownie stanowią osoby sprzed pokolenia alfa.

Dlatego od dłuższego czasu takie dyscypliny jak zapasy czy podnoszenie ciężarów są zagrożone, a pojawiają się pomysły wprowadzenia do programu igrzysk tańca na rurze.

I my musimy być na to przygotowani. Nasze państwo musi

być na to przygotowane. Nie chodzi o to, żeby teraz wszyscy tańczyli na rurze. Ale trzeba być gotowym na zmiany, które niedługo nastąpią.

Zmiany nastąpią też na wszystkich boiskach ze sztuczną trawą i to nie tylko w Polsce, lecz także w całej Unii Europejskiej.

Zgadza się, 25 września wprowadzono regulacje dotyczące tych boisk. Chodzi o granulat rozsypany na sztucznej trawie. To jest sieczka z utylizowanych opon samochodowych. Te kulki dostają się do wodociągów, wód otwartych, połykają to ryby. I teraz czeka nas wymiana nawierzchni na

gotowaliśmy program wspólnie z WHO i PKDP. Prowadzimy pilotażowe szkolenia w całej Polsce – zarówno nauczycieli, jak i trenerów. Inne programy chcemy zorganizować przy współpracy z nową panią Rzecznik Praw Dziecka. Generalnie działalność instytutu chciałbym oprzeć na trzech kolumnach: propagowanie sportu wśród dzieci i młodzieży, profesjonalna pomoc zawodowym sportowcom i zajęcie się seniorami.

Skoro Instytut Sportu podlega ministrowi sportu, to pewnie też odczujecie zmiany, jakie zaszyły po wyborach 15 października?

Funkcję dyrektora Instytutu Sportu objąłem 15 lipca 2023 roku. Zostałem poproszony przez ówczesnego Ministra Sportu Kamila Bortnicka o przyjrzenie się działaniu tej instytucji. Wprowadziłem program naprawczy, który już jest realizowany. Nasi naukowcy pracują na całkowicie innych zasadach, mają wyznaczone zadania. Pozyskaliśmy w tym czasie rekordowe środki na inwestycje. W ciągu trzech lat instytut znacząco się zmieni, rozwinie. Czy z moim udziałem? To już zależy od nowego ministra. Ja doskonale znam ten instytut, jego potrzeby. Ale nie upieram się, że muszę pozostać na tym stanowisku. Na pewno wyprowadziłem instytut na prostą i mogę odejść z podniesioną głową, zwolnić miejsce dla mojego następcy. Ale jeśli nowy minister uzna, że widzi możliwość współpracy ze mną, to chętnie będę to kontynuować. Moja wizja prowadzenia Instytutu Sportu jest znana.

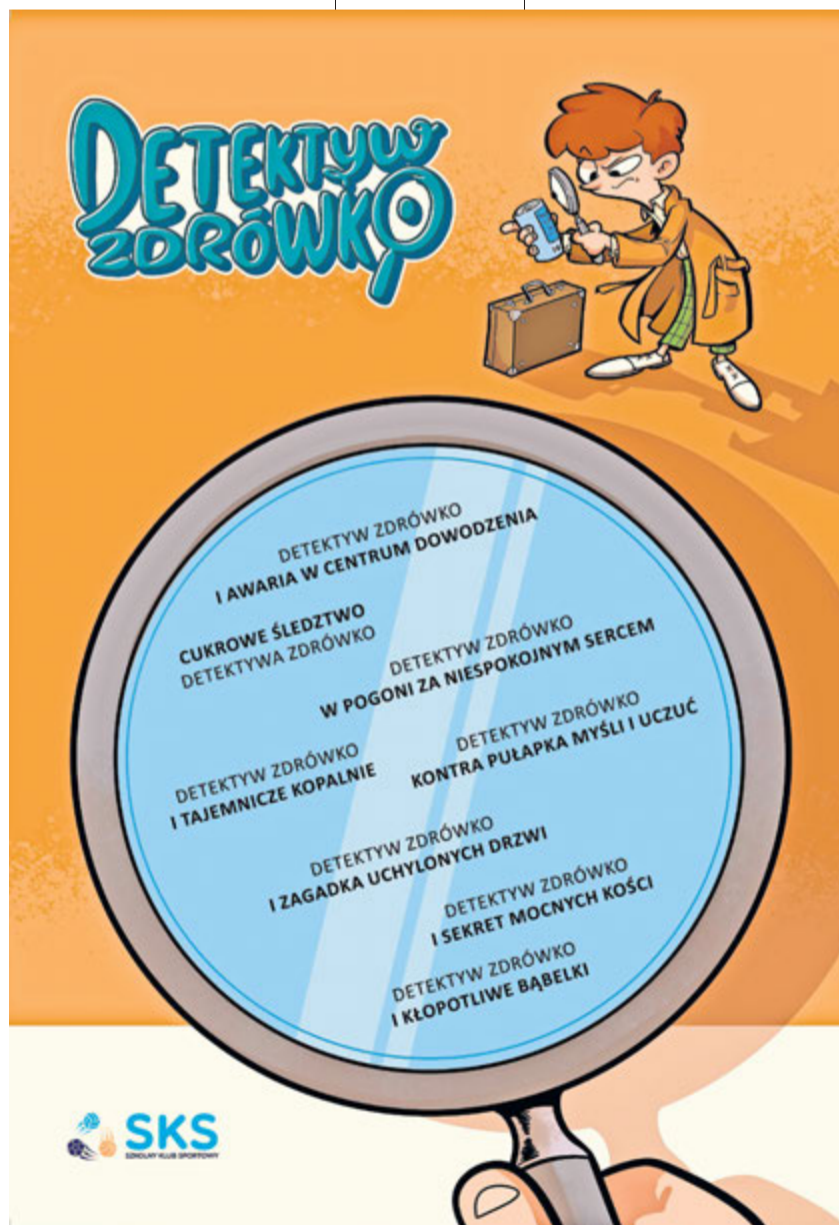
” Bardzo mi zależy, żeby nasz instytut pełnił rolę zdecydowanie bardziej opiniotwórczą.

wszystkich boiskach, na których jest ten granulat. Instytut Sportu jako jedyny w kraju może wydać certyfikaty, że wymiana boisk została przeprowadzona odpowiednio. A trzeba to kontrolować, bo mowa o olbrzymich pieniądzach publicznych.

Jakie jeszcze cele ma Instytut Sportu?

Chcemy wprowadzić program Duch, zapobiegający przemocy i dyskryminacji seksualnej. Bo to poważny problem w polskim sporcie. I widzimy dla siebie rolę nie tylko w sporcie zawodowym, lecz także na polu szeroko pojętej kultury fizycznej. Będziemy o tym rozmawiać z parlamentarzystami, ministrami. Zmiany są konieczne, regulacja przepisów również. Przy-

W najbliższym wydaniu „Przeglądu Sportowego” (11 grudnia) przybliżymy akcję Detektywa Zdrowko, skierowaną do dzieci i młodzieży, ale warto, żeby zapoznali się z nią również rodzice.





Karolina Kochaniak-Sala po spotkaniu z Serbkami, w którym przyznano jej tytuł MVP spotkania, utonęła w objęciach koleżanek.

Sukces rodził się w bólach. Polki podniosły się jednak po laniu od Niemek i pokonały Serbki.

NA LUZIE JEDNĄ BRAMKĄ! POLKI NIE TRACĄ NADZIEI

Po dramatycznym meczu i wygranej 22:21 z Serbkami polskie szczypiornistki podtrzymały szanse na awans do ćwierćfinału skandynawskich mistrzostw świata. W sobotę starcie z Danią.

Z Danii

Piotr WESOŁOWSKI

@PiotrWes

Co to był za mecz! Pełen zwrotów akcji i – co najważniejsze – okazał się zwycięski dla Polek. Emocjonalny rollercoaster, w którym... – Od początku szło nam jak po grudzie. To my miałyśmy ruszyć z furją na Serbki, a tymczasem to one rzuciły się na nas z całą mocą – powiedziała nam kilka chwil po triumfie uśmiechnięta kołowa naszej kadry Sylwia Matuszczyk. – Ja jednak naprawdę cały czas wierzyłam w nasz zespół. Na boisku czułyśmy, że rywalki są w naszym zasięgu, bo też popełniały wiele błędów. Chyba naoglądaliśmy się zbyt dużo meczów z udziałem naszej męskiej reprezentacji, która wygrywała po horrorach różnicą jednej bramki. Ale to wszystko nie ma wielkiego znaczenia, bo najważniejsze jest zwycięstwo – dodała obrotowa JKS Jarosław.

Polki źle rozpoczęły mecz i pozwoliły odskoczyć rywalkom z Bałkanów na cztery bramki. Co prawda Serbki nie były w stanie wypracować sobie wyższej przewagi, lecz i Biało-Czerwone nie mogły dogonić przeciwniczek. Na przerwę nasza drużyna prowadzona przez Arne Sen-

stada zeszła, przegrywając 10:13.

Po zmianie stron nasze szczypiornistki z ogromnym trudem odrabiały straty. Fantastycznie walczyły w obronie, wspierane udanymi interwencjami przez Barbarę Zimę. Dopięły swego i objęły prowadzenie dopiero w 48. minucie spotkania po trafieniu Karoliny Kochaniak-Sali. – Bez ciebie, Karolino, trudno byłoby nam wygrać – podziękował Senstad rozgrywającej Zagłębia Lubin podczas oficjalnej konferencji prasowej po spotkaniu.

Bo faktycznie, to Kochaniak-Sala w najtrudniejszych momentach bitwy z Serbkami brała odpowiedzialność za wynik. – Walczymy krok po kroku... – stwierdziła skromnie, kiedy zapytaliśmy ją o to, czy wierzy w ćwierćfinał i tym samym na podtrzymanie nadziei na występ w turnieju kwalifikacyjnym do igrzysk w Paryżu 2024.

A przecież kilka dni temu drżeliśmy o jej zdrowie. W meczu z Japonkami skreśliła kostkę, ale nasz sztab medyczny błyskawicznie postawił ją na nogi. Dzięki temu po czwartkowym spotkaniu byli-

śmy świadkami łez radości Magdy Balsam. Prawoskrzydłowa nie rozgrywała wybitnego meczu, lecz kiedy było trzeba, w końcówce wykorzystana arcyważnego karnego! Za postawienie muru w defensywie naszym obrońcom należą się oklaski. Brawa dla debiutujących w wielkiej imprezie rozgrywającej Pauliny Uścińowicz oraz kołowej Marleny Urbańskiej. – Cieszę się, że trener obdarza mnie zaufaniem i często posyła na boisko. Spełniam swoje marzenia – powiedziała nam Urbańska.

Spadł kamień z serca

Po starciu z Serbkami Senstad wyglądał, jakby spadł mu z serca olbrzymi i ważący co najmniej tonę kamień. – To nie był najlepszy mecz w naszym wykonaniu – podsumował szkolenowiec. Norweg praktycznie od początku pracy z Polkami podkreślał, że mistrzostwa

LICZBA

15

POLEK

wystąpiło w meczu przeciwko Serbii. Na boisko nie weszła tylko Paulina Masna. Trener rywalk zaufał zaledwie 11 zawodniczkom, a 5 nie podniosło się z ławki.

świata 2023 są najważniejszym turniejem, do którego przez cztery lata przygotowywał Biało-Czerwone. Tymczasem do czwartkowej konfrontacji Biało-Czerwone przystępowały pod wielką presją i po bolesnym laniu. Bowiem w poniedziałek w ostatnim meczu grupy F – z Niemkami – zagrały bardzo słabo, przegrały 17:33. Dlatego do tzw. rundy głównej przystąpiły w minorowych nastrojach i jedynie z dwoma punktami za wygraną z Japonią.

Całej winy za tę wpadkę z ekipą naszych zachodnich sąsiadek nie można zrzucić na złe losowanie. Nie kupujemy tłumaczeń, że w grupie A lub B byłoby nam łatwiej wejść do ósemki i spokojnie przygotowywać się do wiosennego turnieju kwalifikacyjnego do igrzysk w Paryżu. Bo niewykluczone, że z Polkami – będącymi w takiej formie jak przeciwko Niemkom – poradziłyby sobie Szwecja, Chorwacja, Czarnogóra i Węgry.

Wyciągnęły wnioski

Chcieliśmy wierzyć, że niespodziewanie wysoka porażka z Niemkami była dla naszego zespołu wypadkiem przy pracy. – Są takie spotkania, kiedy zawodniczki modlą się, aby zakończyło się jak najszybciej, bo nic nie

wychodzi – tłumaczyła nam przed spotkaniem z Serbkami asystentka Senstada – Monika Marzec. Wtórował jej drugi trener kadry Adrian Struzik: – Nie zagraliśmy dobrze w żadnym elemencie handbalowego rzemiosła – przyznał bez owijania w bawełnę szkolenowiec, który dołączył do sztabu latem tego roku.

Po obu tych opiniach ludzi będących najbliższej naszej kadry mieliśmy podstawy, by wierzyć, że polska ekipa podniesie się i w starciu z Serbią zaprezentuje styl gry, którym raptem dwa tygodnie temu wzbudziła podziw wśród norweskich ekspertów. Przecież kilkanaście dni temu w sparingu w Lillehammer z mistrzyniami świata oraz Europy wybranki Senstada o mały włos nie utarły nosa faworytkom. Zastanawialiśmy się, czy może forma przyszła za wcześnie? Czy może najzwyczajniej w świecie taka jest aktualna moc naszej ekipy. Bez Karoliny Kudłacz-Głoc i Kingi Achruk w drugiej linii czy Joanny Drabik na kole zaczniemy się przyzwyczajać do twardej walki na noże z zespołami również będącymi w przebudowie – czyli z Serbią, oraz do odbierania lekcji od ekip ze światowej czołówki – czyli od Niemek. Bo żaden ekspert nie przyzna, że serbska kołowa Katarina Bojičić, która grając w Starcie Elbląg, nie błyszczała w polskiej ekstraklasie, jest lepsza od naszych obrotowych. A w spo-



Aleksandra Rosiak w meczu z Serbkami zdobyła jedną bramkę.

Sensacja w Orlen Arenie!

Wisła Płock w fenomenalnym stylu żegna rok 2023 w Lidze Mistrzów. Nafciarze pokonali wielki Telekom Veszprem 37:30. Industria Kielce uległa natomiast Pickowi w Szegedzie 25:26. W Lidze Europejskiej porażki Górnik Zabrze i Chrobrego Głogów.

Wojciech OSIŃSKI

@przeglad

Z Węgrami na remis w 10. kolejce Champions League – tego mogliśmy się spodziewać, ale nie w takiej konfiguracji. Nafciarze zagrali jeden z najlepszych – a może i najlepszy mecz ostatnich lat i sprawili chyba największą sensację w tym sezonie Ligi Mistrzów. A przy porażce Porto z Magdeburgiem sytuacja płoczian w tabeli grupy B jest o wiele lepsza, niż można było oczekiwać. Natomiast mocno pogmatwane jest położenie kielczan, którzy mimo porażki zachowali wprawdzie trzecie miejsce, ale od siódmej pozycji dzieli ich zaledwie trzy punkty.

Stłamszeni agresją

Osiem lat czekał Pick Szeged na zwycięstwo nad Industrią Kielce. Poprzednio Węgrzy pokonali mistrza Polski we wrześniu 2015 roku też jedną bramką 31:30. Potem ponieśli siedem porażek z rzędu, wszystkie za trenerskiej kadencji Juana Carlosa Pastora, którego Talant Dujsebajew chyba nieco ironicznie nazywał najlepszym trenerem na świecie. Tymczasem sposób na ekipę Dujsebajewa znalazł niepozorny następcą Hiszpana, awansowany do pierwszego zespołu z klubowej młodzieżowej akademii Krisztian Karpati.

Węgier w tym sezonie najpierw odebrał punkt Industrii w Hali Legionów, a teraz dokończył dzieła w Szegedzie. A ten sposób na Kielce wcale nie był przesadnie wyrafinowany. Właściwie można go streścić dwoma słowami – wola walki. Węgrzy stłamsili gości agresją w obronie od początku. Gospodarze zaryglowali środek obrony, eliminując najgroźniejszą broń Kielce – obroto-



Obrona Industrii miała duże problemy z rosyjskimi rozgrywającymi Picku Szeged.

wych. Nicolas Tournat i Artem Karalek zdobyli przez godzinę łącznie zaledwie po jednej bramce, podczas gdy kołowi Picku Bence Banhidi, Gleb Kalarasz i Matej Gaber trafili aż osmiokrotnie.

Zresztą mistrzów Polski w ogóle nie chyba nie było w stanie pobudzić, pod względem zaangażowania przez 50 minut odstawiali od graczy Picku. Prawda jest taka, że gdyby nie świetny Andreas Wolff (obronił aż pięć z ośmiu karnych!), kielczanie już w przerwie mogliby pakować sprzęt i wracać do domu. Kielczanie długo bili głową w mur. Daleko od normalnej formy jest Szymon Sićko (5/12), ale on choć rzutowo wypadł słabo, to przynajmniej odważnie atakował obronę z w l a s z - c z a w koń-

LICZBA

37

PROC. SKUT. uzyskał w meczu z Pickiem Andreas Wolff. Bramkarz Industrii odbił 15 z 40 rzutów.



W pierwszej połowie meczu z Telekomem Marcel Jastrzębski miał wspaniałe 41 proc. skuteczności.

cówce, wywalczając kolejne rzuty karne. Jak zwykle mnóstwo zdrowia na boisku zostawił Alex Dujsebajew, ale zbyt wielu jego kolegów zagrało po prostu za słabo, by marzyć choćby o remisie. Paradoksalnie jednak ten remis był nawet blisko. W ostatnich dziesięciu minutach goście zmniejszyli straty z sześciu (18:24 w 52. min) do zaledwie jednej bramki na pół minuty przed końcem. Ale happy endu nie było.

Dokreślił śrubę

Chociaż... Może jednak był, ale nie dla Kielce, tylko dla Wisły Płock i całego polskiego handballu. Nafciarze rozegrali kosmicznie dobry mecz, pokonując jeden z najsilniejszych i najbogatszych klubów świata. Nie było mowy o żadnym przypadku, wiślacy od samego początku grali koncertowo, swój najlepszy mecz od przyjazdu do Wisły (czyli w tym sezonie) rozgrywał Miha Zarebec, niemal bezbłędny był drugi ze środkowych Gergo Fazekas – zresztą do końca tego sezonu wypożyczony do Płocka z... Telekomu. Fantastycznie

LIGA MISTRZÓW

GRUPA A

PICK SZEGED – INDUSTRIA KIELCE 26:25 (15:11).
PICK: Imsgard, Mikler – Stepančić 1, Bodo, Martins 2, Jelinić 2, Szita, Gaber 2, Šošarić 4, Frimmel, Banhidi 4, Kalarasz 2, Garcandia 4, Bombać 4, Mačkovšek 1, Szilagyi. **Trener:** Karpati.

INDUSTRIA: Walach, Wolff – Olejniczak, Wiaderny 1, Koukoud 2, Sićko 5, A. Dujsebajew 6, Tournat 1, D. Dujsebajew 2, Thrastarson 4, Paczkowski 1, Gębala, Karalek 1, Nahi 2. **Trener:** T. Dujsebajew.

Inne mecze: THW Kiel – Kolstad 26:25, Pelister Bitola

– Zagreb 22:23, Aalborg – Paris Saint-Germain 30:32.

| Drużyna | M | Pkt | Bramki |
|------------------------|----|-----|---------|
| 1. THW Kiel | 10 | 15 | 284-271 |
| 2. Aalborg | 10 | 12 | 299-271 |
| 3. Industria Kielce | 10 | 12 | 285-273 |
| 4. Paris Saint-Germain | 10 | 11 | 302-300 |
| 5. Pick Szeged | 10 | 11 | 286-291 |
| 6. HC Zagreb | 10 | 10 | 267-257 |
| 7. Kolstad | 10 | 9 | 284-280 |
| 8. Pelister Bitola | 10 | 0 | 230-294 |

1-2.: ćwierćfinał; 3-6.: 1/8 finału.

Następne mecze – 14.02: Pelister – PSG (18.45), Industria – THW (20.45); **15.02:** Aalborg – Zagreb (18.45), Pick – Kolstad (18.45).

GRUPA B

ORLEN WISŁA PŁOCK – TELEKOM VESZPREM 37:30 (18:11).

ORLEN WISŁA: Alilović, Jastrzębski – Daszek 2, Zarabec 5, Lućin 8, Piroch 2, Sroczyk, Serdio 2, Samojła, Fazekas 7, Krajewski 2, Perez, Terzić, Dawydzik 5, Mihić 3, Mindegia 1. **Trener:** Sabate.

TELEKOM: Biosca, Corrales 1 – Yahia, Descat 8, Sandell, Nilsson, Elisson, Ligetvari, Marguč 4, Remilić 3, Nagy, Mahe, Pechmalbec 2, Casado 4, Fabregas 2, Kosorotow 6. **Trener:** Ilic.

Inne mecze: Montpellier – GOG 36:25, Barcelona

– Celje Laško 39:30, FC Porto – SC Magdeburg 31:40.

| Drużyna | M | Pkt | Bramki |
|---------------------|----|-----|---------|
| 1. FC Barcelona | 10 | 18 | 341-287 |
| 2. SC Magdeburg | 10 | 16 | 315-279 |
| 3. Telekom Veszprem | 10 | 14 | 350-318 |
| 4. Montpellier | 10 | 10 | 293-282 |
| 5. GOG Gudme | 10 | 10 | 309-319 |
| 6. FC Porto | 10 | 6 | 290-341 |
| 7. Wisła Płock | 10 | 6 | 271-280 |
| 8. Celje Laško | 10 | 0 | 292-355 |

1-2.: ćwierćfinał; 3-6.: 1/8 finału.

Następne mecze – 14.02: Gudme – Barcelona (18.45), Montpellier – Celje (20.45); **15.02:** Magdeburg – Orlen Wisła (20.45), Porto – Telekom (20.45).

LIGA EUROPEJSKA

GRUPA B

GÓRNIK ZABRZE – TSV HANNOVER-BURGDORF 29:32 (19:14).

GÓRNIK: Ligarzewski, Wyszomirski – Szyszko, Tokuda, Morkovsky 5, Bačko, Artemienko 4, Krawczyk 1, Mauer 2, Bogacz, Dudkowski, Minocki 9, Kaczor 1, Ilczenko 2, Wąsowski, Przytuła 5. **Trener:** Strzabala.

TSV: Gade, Quenstedt – Uscins 3, Steinhäuser 1, Michalczik 4, Kulész 3, Strmljan 2, Edwardsson 3, Gerbl 6, Hanne 1, Brozović 2, Fischer 4, Feise 1, Ayar, Büchner 2. **Trener:** Prokop.

Inny mecz: HC Kriens-Luzern – AEK Ateny 39:27.

| Drużyna | M | Pkt | Bramki |
|------------------|---|-----|---------|
| 1. TSV Hannover | 6 | 11 | 192-164 |
| 2. Górnik Zabrze | 6 | 7 | 179-171 |
| 3. Kriens-Luzern | 6 | 4 | 179-180 |
| 4. AEK Ateny | 6 | 2 | 158-193 |

TSV i Górnik awansowały do 2. rundy grupowej.

GRUPA H

MOL TATABANYA – KGHM CHROBRY GŁOGÓW 37:24 (20:8).

MOL: Szekely, Bartucz – Maras 3, Juhasz, Obradović 4, Topić 3, Vadegari 1, Eklemovic 4, Ugaldé, Pergel 3, Krancz, Vilovski, Rodriguez 4, Enomoto 5, Vajda 2, Krakovszki 8. **Trener:** Sibalin.

CHROBRY: Stachera, Ziemiak – Grabowski 2, Strelnikow, Wrona 1, Zieniewicz 3, Kosznik, Tiltte 4, Orplik 7, Jamioł, Dadej 1, Matuszak 1, Otrzewo, Paterek 1, Hajnos 2, Skiba 2. **Trener:** Nat.

Inny mecz: Sporting Lizbona – CSM Constanta 34:28.

| Drużyna | M | Pkt | Bramki |
|---------------------|---|-----|---------|
| 1. CSM Constanta | 6 | 9 | 172-158 |
| 2. Sporting Lizbona | 6 | 8 | 199-158 |
| 3. MOL Tatabanya | 6 | 6 | 175-171 |
| 4. Chrobry Głogów | 6 | 1 | 138-197 |

CSM i Sporting awansowały do 2. rundy grupowej.

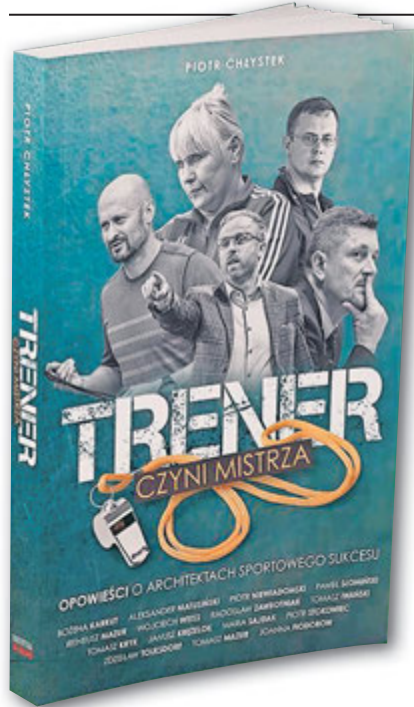
Zespoły awansujące z grupy zaberają bilans meczów między sobą do drugiej rundy.

DRUGA RUNDA – GRUPA I

| Drużyna | M | Pkt | Bramki |
|--------------------------|---|-----|--------|
| 1. TSV Hannover-Burgdorf | 2 | 4 | 66-57 |
| 2. HBC Nantes | 2 | 2 | 64-61 |
| 3. Rhein-Neckar Löwen | 2 | 2 | 61-64 |
| 4. Górnik Zabrze | 2 | 0 | 57-66 |

1.: ćwierćfinał; 2-3.: 1/8 finału.

Następne mecze – 13.02: Nantes – TSV, Löwen – Górnik; **20.02:** TSV – Löwen, Nantes – Górnik; **27.02:** Nantes – Górnik, Löwen – TSV; **5.03:** TSV – Nantes, Górnik – Löwen.



O metodzie kija i marchewki

Janusz Krężelok w książce „Trener czyni mistrza” wspomina swoją pracę z Aleksandrem Wierietielnym.

Jeden z najlepszych polskich biegaczy narciarskich w historii od kilkunastu lat realizuje się w roli szkoleniowca. Zanim jednak zajął się pracą trenerską, osiągał bardzo dobre rezultaty jako zawodnik. W 2004 roku wygrał zawody Pucharu Świata w sprincie w Trondheim, a rok później był trzeci w Reitim Winkl. Ale czy tych miejsc w czołowej trójce nie mogło być więcej? – Mogło, bo wielokrotnie byłem blisko podium. Przegrywaliśmy jednak „wyścig zbrojeń” z przedstawicielami innych nacji. Norwegowie od dawna mają przy sobie wielki sztab ludzi. Gdy poleciałem na swoje pierwsze igrzyska do Na-

gano w 1998 roku, oni już wtedy pod mikroskopem badali strukturę śniegu. U nas nikt o tym nie myślał. Do dziś nie mamy odpowiednich laboratoriów czy fabryk produkujących smary. Poza tym brakowało nam wsparcia. Na igrzyskach w Salt Lake City w 2002 roku całą polską kadrę w biegach narciarskich tworzyły dwie osoby. Ja i trener Aleksander Wierietielny.

Nie miałem serwismana, musiałem sam przetestować narty, a trener musiał je smarować – wspomina Krężelok, opowiadając przy

okazji o Wierietielnym, który do wielkich sukcesów poprowadził również Justynę Kowalczyk i biathlonistę Tomasza Sikorę. – Przy nim nie można było bać się ciężkiej roboty. Ci, którzy nie dawali rady, musieli się z nim rozstać – wyjaśnia. Przed laty na łamach „Przeгляdu Sportowego” trener Wierietielny oznajmił, że jego ideał trenera to „surowy ojciec, który czasem przy-
myka oko”.

– Czy trener rzeczywiście taki był? Czasem faktycznie przymykał oko, ale generalnie był dość su-

rowy, choć można było z nim rzeczowo porozmawiać. Nie był zamknięty na dyskusję. Podpisuję się pod tym, co powiedział na temat ideału trenerskiego. Szkoleniowiec to człowiek, który musi w pewnych okolicznościach stosować metodę kija i marchewki. Zawodników trzeba motywować na różne sposoby, czasem wręcz wymuszać na nich pewne rzeczy. Gdzieś trzeba odpuścić, żeby przykręcić śrubę w innym obszarze. A to wszystko po to, by zawodnik osiągnął cel – komentuje Krężelok w książce „Trener czyni mistrza” autorstwa Piotra Chystry, która jest w sprzedaży.

rytowi śrubę i odprawili go do domu z bagażem siedmiu goli. Coś wspaniałego! W Lidze Europejskiej Górnik Zabrze skończył rok porażką, ale awansował do drugiej rundy, gdzie sprawdzi się na tle potęg – HBC Nantes i Rhein-Neckar Löwen. Chrobry Głogów żegna się z pucharami bez zwycięstwa.



ORLEN

ZŁAP ZESTAW HOT DOG + KAWA

10 zł

Z APLIKACJĄ
ORLEN VITAY



GENERALNY SPONSOR
POLSKIEGO NARCIARSTWA



Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników Programu VITAY. Promocja nie łączy się z innymi programami rabatowymi lub promocyjnymi i obowiązuje do 31.12.2023 lub do wyczerpania zapasów. Regulamin promocji oraz lista stacji uczestniczących w promocji na stopcafe.pl/kampanie

KLASYFIKACJA
GENERALNA PŚ

1. STEFAN KRAFT
(Austria)
400 pkt



2. ANDREAS
WELLINGER
(Niemcy)
270 pkt



3. PIUS PASCHKE
(Niemcy)
206 pkt

4. Jan Hörl
(Austria) 202
5. Daniel
Tschofenig (Austria)
161

6. Stephan Leyhe
(Niemcy) 158

7. Karl Geiger
(Niemcy) 153

8. Ryoyu
Kobayashi
(Japonia) 127

9. Michael
Hayböck (Austria)
104

10. Peter Prevc
(Słowenia) 98

24. Dawid Kubacki
27

25. Piotr Żyła
23

33. Paweł Wąsek
8

40. Kamil Stoch
(wszyscy Polska)
3



Kamil Stoch zajmuje 40. miejsce w klasyfikacji generalnej PŚ. Nic dziwnego, że został wycofany z cyklu, by potrenować.



Maciej Kot trzy razy indywidualnie stał na podium PŚ. Po raz ostatni w lutym 2017 roku.

Czekając na przełamanie

Klingenthal będzie trzecim przystankiem w kalendarzu Pucharu Świata. W Niemczech zabraknie trzykrotnego mistrza olimpijskiego Kamila Stocha. Do stawki dołączą Maciej Kot i Andrzej Stękała.

Podobnie jak w Ruce oraz Lillehammer na starcie w Klingenthal także zobaczymy pięciu reprezentantów Polski, jednak trener naszej kadry Thomas Thurnbichler postanowił przeprowadzić dwie zmiany. Kolejne starty w PŚ zaliczą Dawid Kubacki, Piotr Żyła oraz Paweł Wąsek, a skład uzupełnią Andrzej Stękała z Maciejem Kotem, którzy zajmą miejsca Kamila Stocha i Aleksandra Zniszczoła. Ten ostatni wystąpi w weekend w Pucharze Kontynentalnym, natomiast Stoch w najbliższym czasie będzie trenował.

W poszukiwaniu formy

Trzykrotny mistrz olimpijski przeżywa aktualnie najsłabsze otwarcie PŚ od 15 lat. Ma na koncie zaledwie trzy oczka, dwukrotnie odpadał po pierwszej serii, a raz nie przeszedł nawet kwalifikacji. Przed weekendem Stoch odbędzie dwudniowy trening pod okiem Krzysztofa Miętusa, asystenta Thurnbichlera, w austriackim



@BartasWnuk

Eisenerz, a po krótkim odpoczynku w domu na początku następnego tygodnia będzie skakał na Średniej Krokwi w Zakopanem.

– Kamil potrzebuje w tej chwili większej liczby prób w spokojnych warunkach. Podczas rywalizacji dochodzi stres, a do tego w Klingenthal może oddać maksymalnie dziewięć skoków. W trybie treningowym może skoczyć nawet 20 razy i bez nerwów. Zakładamy, że pojedzie do Engelbergu, jeżeli do tego czasu złapie dobrą formę – stwierdził Thurnbichler.

W ostatnich dniach u Stocha dało się zauważyć sporą frustrację. Przed kamerami Eurosportu mówił, że potrzebuje uwierzyć w określoną wizję trenera, zwracał też uwagę na czę-

ste kombinacje związane z pozycją dojazdu. W środowisku zaczęto spekulować, że relacje zawodnika ze szkoleniowcami nie są zbyt dobre. Stoch przekonuje jednak, że jest inaczej. – Wierzę w nasz zespół i w to, że wszystko może się jeszcze odmienić. W mojej karierze nie takie rzeczy się działy. Wierzę w trenerów, którzy dają z siebie wszystko. Nie jest tak, że każdy siedzi i ma to wszystko głęboko w poważaniu. Wszyscy się denerwują i martwią. Chodzi o to, abyśmy byli w tym razem i trzymali się obranej drogi. Proszę kibiców o cierpliwość i wiarę w nas. To nie jest łatwa sytuacja, ale wspólnie sobie z tym wszystkim poradzimy – skomentował skoczek w rozmowie z portalem skijumping.pl

Szczęśliwe miejsce

Z Klingenthal Polacy mają kilka bardzo dobrych wspomnień, jak choćby pierwszy zagraniczny pucharowy triumf Stocha czy jedyne w karierze zwycięstwo

Krzysztofa Bieguna, ale przede wszystkim Vogtland Arena kojarzy się nam z sukcesami zespołowymi. To tam w 2016 roku Biało-Czerwoni, prowadzeni wówczas przez Stefana Horngachera, po raz pierwszy w dziejach wygrali drużynowy konkurs PŚ. Trzy lata później zwyciężyli na tej niemieckiej skoczni ponownie, już pod wodzą Michała Doleżala.

Teraz w Klingenthal odbędą się wprawdzie dwa konkursy indywidualne, ale liczymy, że właśnie w Niemczech nastąpi przełamanie naszej mocno pogubio-

PROGRAM PŚ W KLINGENTHAL

Piątek 8.12
13.30 Oficjalny trening
15.40 Kwalifikacje

Sobota 9.12
14.45 Seria próbna
16.00 Konkurs indywidualny (I)

Niedziela 10.12
14.00 Kwalifikacje
16.00 Konkurs indywidualny (II)

nej na początku sezonu kadry. W czterech pierwszych zawodach zimy Polacy w sumie wywalczyli zaledwie 61 punktów, co jest najsłabszym na tym etapie wynikiem od 11 lat. Czy oblicze zespołu będą w stanie odmienić Maciej Kot oraz Andrzej Stękała, których w tym sezonie zobaczymy w akcji po raz pierwszy.

– Maciej dołącza do zespołu, ponieważ przez całe lato i jesienią skakał na wysokim poziomie. W minionym tygodniu trenował na śniegu na skoczni w Ramsau. Prezentował się dobrze i powtarzalnie. Postanowiliśmy zatem dać mu szansę. Andrzej pojedzie z nami do Klingenthal, ponieważ na ostatnim zgrupowaniu w Kranju skakał najlepiej i najrówniej spośród członków kadry narodowej B. Jest zmotywowany, prezentuje dobry poziom – skomentował trener naszej reprezentacji. Konkursy i kwalifikacje będzie można obejrzeć w Eurosporcie oraz serwisie Player, a same zawody pokaże także TVN.

THURNBICHLER: Przestańmy ciągle mówić o sprzęcie

Trener kadry polskich skoczków analizuje przyczyny słabej postawy zespołu.

NATALIA ŻACZEK („PRZEGLĄD SPORTOWY” ONET): Czy kiedykolwiek miał pan bardziej stresujący czas w życiu?

THOMAS THURNBICHLER (TRENER REPREZENTACJI POLSKI): To oczywiście wymagający czas, ale jest on częścią mojej pracy. Jeśli nie mamy rezultatów, jakich byśmy chcieli, zawsze jest dużo do zrobienia. Muszę pozostać analityczny, twardo stąpać po ziemi i utrzymywać drużynę na właściwej ścieżce. Taka jest moja praca, lubię ją i staram się robić wszystko, co w mojej mocy, by nasi zawodnicy dorównywali naj-

lepszym. Rywale zrobili duży krok do przodu, skoki są na zupełnie innym poziomie niż weszłym roku.

Po zawodach w Ruce wspominam pan też o błędach, które zostały popełnione, jak choćby termin zgrupowania na Cyprze.

Tak, obóz odbył się o tydzień za późno, przez co rytm skoków w Ruce nie był odpowiedni. Nie wykorzystaliśmy też tej skoczni do treningów. Powinniśmy zaplanować obóz lepiej, tak, by później mieć jeszcze dwa tygodnie na skoki treningowe. Jednak nie mogliśmy przewidzieć, że za-

wodnicy zachorują. Z tego powodu w pełni nie wykorzystaliśmy możliwości treningowych, które mieliśmy. Początek był trochę niewyrażny, ale złożyło się na to wiele okoliczności. Tak jak podkreślałem, musimy po prostu zrobić krok do przodu, by gonić najlepszych.

Czyli to nie tylko kwestia sprzętu, o której tak dużo mówią ostatnio Norwegowie?

Przestańmy rozmawiać o sprzęcie. W momencie gdy nie je-



Thomas Thurnbichler prowadzi Polaków od poprzedniego sezonu.

steś w sztabie trenerskim, nie analizujesz krok po kroku każdego ze skoków, nie widzisz wszystkich niuansów w technice. Teoretycznie mogą się zgodzić, że powinniśmy być trochę bardziej na limicie, ale to nie jest coś, co odbiera nam 15 metrów. Daleko mogą skakać tylko zawodnicy, którzy wyglądają dobrze technicznie. Musimy mieć odpowiednie nastawienie i tak też jest. Do innych skoczków dotarło, że można zrobić więcej i teraz musimy za tym iść. Ten krok zajmie trochę czasu, ale wie-

rzę w zawodników, w ich potencjał.

Nasi skoczkowie powtarzają, że nie czują się do końca świeżo.

Wśród kibiców czy ekspertów pojawiają się głosy, że być może przesyłaliście z treningiem siłowym.

Dla mnie to oczywiste, że fizycznie zawodnicy są na wysokim poziomie. Fakt, że nie czują się świeżo, może wynikać z tego, że zaczynają sezon i od razu okazuje się, że muszą gonić za innymi. To wymagające dla głowy. Jednocześnie uważam, że będąc w tym stanie, o jakim mówią, wciąż stać ich na odpowiednio wykonywanie swojej pracy.

Ze Zbigniewem BRÓDKĄ

rozmawiał
Dominik LUTOSTAŃSKI



Wyjątkowy Puchar Świata

DOMINIK LUTOSTAŃSKI: Rozumiem, że Zbigniewa Bródki podczas Pucharu Świata w Tomaszowie Mazowieckim nie może zabraknąć?

ZBIGNIEW BRÓDKA (MISTRZ OLIMPIJSKI Z SOCI, CZŁONEK PZŁS): Oczywiście, nie mógłbym opuścić Pucharu Świata, który odbywa się w Polsce i jeszcze tak blisko mojego domu. Dla mnie to jest duże łyżwiarskie święto i możliwość spotkania ze znajomymi, obecnymi łyżwiarzami, którzy będą walczyć o medale, oraz tymi byłymi, którzy działają już w innych rolach – na przykład w sztabie szkoleniowym jako trenerzy. To zawsze inne odczucia obejrzeć zawody na żywo. Chętnie sprawdzę, w jakiej formie znajdują się nasi reprezentanci.

Kto z obecnej kadry robi na panu największe wrażenie – Karolina Bosiek czy Damian Żurek?

Myszę, że oboje są w dobrej dyspozycji. Damian Żurek jeździ bardzo regularnie. Od długiego czasu obserwuję jego rozwój i nastawiał nas na to, że będzie podnosił swoje umiejętności i zbliżał się do światowej czołówki. A teraz jest jej naprawdę blisko.

Już podczas startów kontrolnych, które miały miejsce w Inzell (Żurek poprawił tam m.in. rekord życiowy na 1500 metrów – przyp. red.), jego występy były dobrym prognostykiem. Niektórzy oczekiwali by więcej medali indywidualnych w jego wykonaniu, ale myślę, że to z czasem nadejdzie. Widać, że jego kariera idzie w dobrym kierunku, a przede wszystkim to zawodnik, który cały czas notuje progres.

Jak oceniliby pan formę Polaków w tym sezonie?

Trudno jest to jednoznacznie ocenić. Rozłożyłbym to raczej na części. Na pewno patrząc na sprinterów, można mówić

o zadowoleniu. Jestem usatysfakcjonowany tym, jaką pracę wykonuje ta grupa i jakie wyniki osiąga. Mówię oczywiście zarówno o mężczyznach, jak i kobietach. Wyniki w biegach sprinterskich i drużynowych naprawdę napawają optymizmem. W klasyfikacji sprintu drużynowego nasze panie zajmują drugą pozycję, a panowie trzecią, a to cieszy.

Trafiają się też dobre przejazdy w biegach masowych. Ostatnio w Stavanger dobrze spisala się Magdalena Czaczoń, która zajęła czwarte miejsce. Do tego z przyzwyczajonej strony pokazał się Artur Janicki. Dwa okrążenia przed metą był trzeci, ale rywalizację zakończył na dziewiątym miejscu. Myślę, że jego oczekiwania są większe, ale takie wyniki budują pozytywnie przed zawodami w Tomaszowie Mazowieckim.

Na razie z każdego Pucharu Świata wracaliśmy z medalem. Kto ma największe szanse, by w Polsce zdobyć krążek?

Doszukiwałem się największych szans u kobiet w biegu drużynowym. Oczywiście nie skreślałbym Damiana Żurka. Jest w stanie powtórzyć to, co osiągnął w zeszłym roku – czyli co najmniej brąz na 1000 metrów. Myślę, że z naszej kadry jest najbliższej podium w grupie A. Tego chyba jako kibice byśmy sobie życzyli. Myślę, że każde inne podium w wykonaniu naszego reprezentanta bę-



Zbigniew Bródka jest obecnie członkiem zarządu PZŁS i w tej roli pojawi się na zawodach Pucharu Świata w Tomaszowie Mazowieckim.

dzie sporym zaskoczeniem. Ale na to liczymy też podczas tych zawodów. Wierzę, że naszych kadrowiczów stać na dobre wyniki, tym bardziej że zobaczymy znacznie więcej polskich panczenistów niż zwykle. Jako gospodarze mamy możliwość wystawić maksymalną ilość zawodników, czyli pięciu na każdym dystansie. Oczywiście muszą oni posiadać limity czasowe, ale daje to ogromne możliwości sprawdzenia ich. Szczególnie na tych dystansach, na których normalnie w innych pucharach mamy po jednym miejscu.

A jak na pana działają występy przed własną publicznością?

To zawsze coś niesamowitego! Dla mnie to było wręcz

spełnienie marzeń, że po bardzo dobrych startach na igrzyskach olimpijskich mogłem wystartować w Pucharze Świata w Tomaszowie

na pewno motywuje i cieszy. Myślę, że nasi zawodnicy też to czują i doping fanów sprawi, że będą chcieli pokazać się z jak najlepszej strony.

No i te pamiętne w pana wykonaniu zawody w Tomaszowie w 2021 roku.

Wciąż wywołują wiele emocji. Zająłem w nich trzecie miejsce w biegu masowym. To było coś niesamowitego! Nie wszyscy wierzyli w to, że po takiej przerwie jestem w stanie powalczyć o medal Pucharu Świata. To była kwintesencja ciężkiej pracy, którą wtedy wykonałem. I myślę, że dla wielu ta historia była motywująca. Nie można zapominać, że tego dnia rozgrywane były półfinały i finały biegu masowego oraz finał na 1500 metrów grupy B. To był bardzo męczący dzień, ale finalnie skończył się szczęśliwie.

Gdy odbywają się takie zawody w Polsce, nie tęskni pan trochę za rywalizacją?

Już pogodziłem się z tym, że zakończyłem karierę i to jako reprezentant Polski. Zrobiłem miejsce dla młodych. Nie brakuje mi adrenaliny, bo cały czas działam na rzecz PZŁS jako członek zarządu. Poza tym aktywnie pracuję

„Największych szans na medal w Tomaszowie doszukiwałem się u kobiet w biegu drużynowym. Oczywiście nie skreślałbym też Damiana Żurka.”

wie przed praktycznie pełną halą bo tak się stało na inauguracyjnych zawodach. Najczęściej wrzawy doświadczaliśmy w Holandii. Tam trybuny są wypełnione po brzegi. Jednak gdy słyszysz wsparcie swoich kibiców, to

jako strażak pełniący służbę w Komendzie Powiatowej PSP w Łowiczu, więc realizuję się teraz na innych polach i w innych projektach. Tu też mam sporo adrenaliny, za którą często tęsknią sportowcy.

Nareszcie supergigant

Maryna Gąsienica-Daniel wystartuje w weekend w Sankt Moritz. Po raz pierwszy w tym sezonie odbędzie się supergigant.



Maryna Gąsienica-Daniel po średnio udanych Pucharach Świata w amerykańskim Killington (28. miejsce) i kanadyjskim Tremblant (21. pozycja i wypadnięcie z trasy) wystartuje w Sankt Moritz.

W Szwajcarii po raz pierwszy w tym sezonie rozegrane zostaną zawody w supergigancie. Jesteśmy ciekawi, jak poradzi so-

bie w nich nasza zawodniczka. Szczególnie że w przerwie letniej, jak sama mówiła, włożyła sporo wysiłku, by poprawić wyniki w tej konkurencji. Do tej pory jej najwyższą lokatą w PS była szesnasta uzyskana w Lenzerheide przed rokiem.

Gąsienica-Daniel na razie startowała tylko w slalomie gigantcie. Oprócz wspomnianych występów w Ameryce Północnej rywalizowała także w Sölden. W Austrii była trzynasta. O Marynie na tym etapie sezonu można powiedzieć, że

szuka odpowiedniej drogi. Niektóre fragmenty trasy pokonuje w tempie godnym czołówki, by później popełniać błędy, przez które traci prędkość i cenne sekundy. Stąd też wzięły się dwa miejsce w trzeciej dziesiątce i wypadnięcie z trasy. – Zbyt wiele dużych błędów – skomentowała swoje ostatnie występy w Kanadzie. – Dzięki Bogu już niedługo starty w supergigancie – dodała.

W Sankt Moritz po raz pierwszy w tym sezonie panie będą rywalizować w zjeździe. DL

Zawieszona, ale na krótko

Natalia Maliszewska (na zdjęciu) została zawieszona na czternaście miesięcy za naruszenie przepisów antydopingowych – poinformowała Polska Agencja Antydopingowa. 28-latką to pięciokrotna medalistka mistrzostw Europy i wicemistrzyni świata w short tracku. O Maliszewskiej zrobiło się głośno we wrześniu podczas okresu przygotowawczego. Wówczas została zawieszona po trzykrotnym złamaniu przepisów antydopingowych. W sprawie nie chodziło o pozytywne wyniki testów dopingowych, a błędy przy podawaniu informacji o aktualnym miejscu pobytu. Przy trzeciej próbie, kiedy Maliszewska spóźniła się na kontrolę,

jej wynik okazał się negatywny. „Ustalono również, że rozpoczęcie biegu tej dyskwalifikacji nastąpi od 11 maja 2023 roku, co w efekcie pozwoli zawodniczkę wrócić do rywalizacji sportowej o cztery miesiące szybciej” – można przeczytać w oświadczeniu. Powodem skrócenia dyskwalifikacji był fakt, że Maliszewska przyznała się do naruszenia przepisów. – Cieszę się, że cała sprawa znalazła już swój finał. Wiem, na czym stoję i mogę planować najbliższą przyszłość. Najważniejsze, że będę mogła powrócić do profesjonalnych treningów już od przyszłego sezonu i spokojnie przygotowywać się do igrzysk – powiedziała Maliszewska. DL



Teraz wszyscy łapią za broń

Przed nami drugi w tym sezonie weekend z Pucharem Świata. Najwięcej Biało-Czerwonych wystartuje w szpadzie i we florecie kobiet.

Wojciech OSIŃSKI

@przeklad

Miesiąc temu wolne miały florecistki, a teraz do boju o zwycięstwa i rankingowe punkty przystąpią już przedstawiciele wszystkich broni i obu płci. W Vancouver powalczą szpadzistki i szpadziści, we francuskim Orleanie zobaczymy panie i panów specjalizujących się w szabli, floreciści polecą do dalekiego Tokoname w Japonii, a najbliższej wyjadą florecistki – do serbskiego Novego Sadu.

Młodzież naciska

Puchar Świata stanowi teraz najwyższy punktowany rodzaj zawodów w kontekście kwalifikacji olimpijskich. Wyższe bonusy można zdobyć za mistrzostwa świata i kontynentów, ale te imprezy już się odbyły, dlatego to Puchar Świata jest oczkiem w głowie każdej światowej federacji. Także PZSzerm bardzo poważnie podchodzi do tych zawodów i wysyła wszystkich, którzy mają chociaż cień szansy na Paryż, ale i tych, którzy na razie jeżdżą głównie po doświadczeniu. Największe nadzieje na pucharowe podium wiążemy ze szpadzistkami. Mistrzyni świata, nominowane w Plebiscycie „PS” do tytułu Najlepszego Sportowca Polski, miesiąc temu zajęły w Legnano trzecie miejsce, a również trzecia indywidualnie

nie była Aleksandra Jarecka, co stanowiło niespodziankę, bo to był pierwszy międzynarodowy występ 28-letniej Polki po dwóch latach przerwy macierzyńskiej.

Akurat drużyna szpadzistek kwalifikację olimpijską ma już w kieszeni (a więc pewnie mamy też trzy miejsca w turnieju indywidualnym), ale z ciekawością będziemy śledzić walkę Polek o miejsca w czteroosobowym składzie, bo chętnych – zwłaszcza po powrocie Jareckiej – jest znacznie więcej. A młodzież naciska, tydzień temu nasza drużyna wygrała zawody juniorskiego PS. Z tamtego składu do Vancouver zgłoszono jednak tylko liderkę Alicję Klasik.

Floret bliski szczęścia

Duże szanse na olimpijski występ mają nasi przedstawiciele floretu. Panowie miesiąc temu w Stambule wypadli przeciętnie indywidualnie, ale jako zespół sięgnęli po dobre szóste miejsce, dystansując goniących ich w rankingu Niemców, Brytyczków i Belgów. Każdy występ naszych florecistów do końca olimpijskiego wyścigu (czyli do 31 marca) będzie piekielnie ciekawy. Polacy pojedą na igrzyska, jeśli znajdą się w czołowej czwórce rankingu FIE (na to szanse są prawie żadne) lub jeśli zajmą poza tą czwórką najwyższe miejsce z krajów Europy. Na razie piąta jest Francja z 253 punktami, a Biało-Czerwoni z 210 pkt zajmują dziewiątą lokatę. Trzeba zatem albo wyprzedzić na koniec Trójkolorowych, albo trzymać kciuki za

Miesiąc temu szpadzistka Aleksandra Jarecka niespodziewanie zajęła trzecie miejsce w Legnano. Czy w Vancouver pójdzie jej równie dobrze?



LICZBA

9.

MIEJSCE

w rankingu FIE zajmuje florecistka Julia Walczyk-Klimaszuk. To najwyższa lokata w indywidualnej klasyfikacji z naszych szermierzy.

awans gospodarzy igrzysk do najlepszej czwórki, która ma za pewniomy udział w olimpijskim turnieju.

Florecistki są w podobnej, ale... lepszej sytuacji. Czwarty zespół rankingu (Japonia) ma wprawdzie 300 pkt i dla zajmujących ósmą pozycję Polek (204) jest nieosiągalny, ale Biało-Czerwone na wyciągnięcie floretu mają Niemki. Drużyna naszego zachodniego sąsiada jest bowiem tylko o pięć oczek lepsza i wyniki tej ekipy będą nas interesować w równym stopniu co naszych zawodniczek.

W igrzyskach na pewno nie będzie naszych drużyn w szabli. O indywidualny start w tej broni walczy jeszcze Krzysztof Kaczkowski, ale cel się od niego oddała. W czwartek już w eliminacjach przegrał z Darylem Homerem (USA) i odpadł z turnieju, w którym z Polaków został tylko Szymon Hryciuk. Szablistki nie liczą się wcale. Szpadziści w drużynie są bez szans, a indywidualnie może jeszcze powalczyć Mateusz Antkiewicz. No ale musi się bić znacznie lepiej niż miesiąc temu w Bernie, gdzie zajął 98. miejsce.

SKŁAD NA PUCHAR ŚWIATA

SZPADA Vancouver, 7-10.12

- ind. i dr.

Kobiety: Renata Knapik-Miazga (nr 15 FIE), Kamila Pytka (48), Martyna Swatowska-Wenglarczyk (56), Magdalena Pawłowska (70), Aleksandra Jarecka (84), Kinga Zgrzyżniak (123), Anna Mroszczak (151), Ewa Trzebińska (169), Barbara Brych (200), Gloria Klughardt (310), Alicja Klasik (347), Weronika Janicka (446).

Mężczyźni: Mateusz Antkiewicz (35), Maciej Bielec (52), Wojciech Kolańczyk (137), Radosław Zawrotniak (142), Damian Michalak (238), Jan Socha (445).

SZABLA Orleans, 7-9.12 - ind.

Kobiety: Sylwia Matuszak (27), Małgorzata Kozaczuk (42), Zuzanna Cieślak (46), Daria Skonieczna (213), Małgorzata Zawodniak (243), Julia Cieślak (418), Aniela Kozłowska (nieklasyfikowana).

Mężczyźni: Krzysztof Kaczkowski (21), Szymon Hryciuk (40), Piotr Szczepanik (95), Olaf Stasiak (162), Kacper Nowinowski (444), Filip Józefowski (659).

FLORET MĘŻCZYZN Tokoname, 8-10.12 - ind. i dr.

Andrzej Rządowski (25), Michał Siess (45), Adrian Wojtkowiak (54), Leszek Rajski (58), Jan Jurkiewicz (134), Mateusz Kozak (143), Adam Podrański (171), Maxime Tarasiewicz (265), Maciej Bem (269), Adam Jakubowski (304), Mateusz Kwiatkowski (371).

FLORET KOBIET Novi Sad, 8-10.12 - ind. i dr.

Julia Walczyk-Klimaszuk (9), Hanna Łyczbińska (42), Aleksandra Jeglińska (70), Karolina Żurawska (82), Martyna Synoradzka (145), Renata Tomczak (237), Dominika Wasilczuk (245), Amelia Olszewska (274), Aleksandra Wiczyrek (319), Julia Włosińska (593), Malwina Kołodziejczyk, Antonina Lachman (obie nieklasyfikowane).

Wielkie tenisowe wyzwania

Od piątku do niedzieli na obiekcie Akademii Tenisowej Kozarki rozegrany zostanie Final Four LOTTO SuperLIGI. Wystąpią w nim cztery drużyny: broniący tytułu zespół BKT Advantage Bielsko-Biała, który w piątek zmierzy się w półfinale ze świetnie finiszującym w sezonie zasadniczym CKT Grodzisk Mazowiecki, a także tworzące drugą parę ekipy KT KUBALA Ustroń oraz OSAVI TENNIS TEAM Kalisz. Nowego drużynowego mistrza Polski poznamy w niedzielę. Ten tydzień na obiekcie na Mazowszu, które pełni także rolę Narodowego Centrum Tenisa, upłynął pod znakiem przygotowań do finiszu klubowych rozgrywek, ale także do sezonu 2024. Na miejscu pod okiem kapitana Mariusza Fyrstemberga odbywało się zgrupowanie reprezentacji Polski. Wzięli w nim udział między innymi nasz najlepszy deblista Jan Zieliński, Maks Kaśnikowski, utalentowany Tomasz Berkiet, a także od pewnego momentu Łukasz Kubot. Lubinianin nie powiedział jeszcze na zawodowych kortach ostatniego słowa. Podobnie jak Kamil Majchrzak, który wkrótce wróci do gry po 13-miesięcznym zawieszaniu za naruszenie przepisów antydopin-



W Final Four LOTTO SuperLIGI Łukasz Kubot jest w składzie CKT Grodzisk Maz.

gowych. Kara uniemożliwiająca grę starty zakończy się 29 grudnia, potem urodzony w Piotrkowie tenisista będzie jak najszybciej próbną odbudować swój ranking. Ostatni mecz rozegrał 1 listopada 2022 roku, gdy przegrał w Bergamo z Aleksandrem Szewczenką. –Zacznę od całkowitego zera, czyli najniższych turniejów rangi Futures z pulą nagród 15 tys. dol. Zapewne od eliminacji. Jest to najtrudniejszy okres dla każdego i zwykle następuje wtedy, gdy przechodzi się z junióra do seniora. Ja zaliczyłem go parę lat temu i znów będę musiał pokonać, je-

śli dalej myślę o zawodowym graniu – powiedział nasz drugi do niedawna zawodnik, który przed rokiem jesienią zajmował 77. miejsce na liście ATP. Teraz niczego nie będzie mógł ominąć na skrót, bo w takich sytuacjach nie można wykorzystać, jak w przypadku kontuzji, zamrożonej pozycji w światowej hierarchii. O tych wszystkich dylematach będzie można także pomyśleć i podyskutować podczas weekendu, oglądając w Kozerkach Final Four LOTTO SuperLIGI. Tenis to sport piękny, ale jednocześnie pełen różnych wyzwań...

BG

REKLAMA

CÓŻ TO BYŁ ZA SEZON! NIE TYLKO „ATOMÓWKI” ..

To był świetny rok dla polskiego kajakarstwa. Nasi sprinterzy zdobyli dziewięć medali mistrzostw świata i pięć mistrzostw Europy seniorów, a slalomiści za sprawą Klaudii Zwolińskiej i męskiej drużyny kajakarzy stawali na podium MŚ i ME. – Liczymy, że w jeszcze lepszych humorach będziemy po przyszłorocznych igrzyskach olimpijskich w Paryżu – mówi Grzegorz Kotowicz, prezes zarządu Polskiego Związku Kajakowego.



Anna Puławska, Adrianna Kąkol,
Dominika Putto i Karolina Naja



fot: PZKaj

Biało-czerwoni sprinterzy nie przestają rozpieszczać sympatyków kajakarstwa w naszym kraju. Kolejny sezon z rzędu polscy kibice byli świadkami ekscytujących występów polskich reprezentacji, które dostarczyły nie tylko wielu wspaniałych wrażeń, ale także uzupełniły gabloty o następne trofea. Klasą samą w sobie ponownie były nasze kajakarki. „Atomówki”, jak pieszczotliwie są nazywane podopieczne trenera Tomasza Kryka, przez cały sezon imponowały wysoką formą i błyszczwały na wszystkich międzynarodowych akwenach. Nie zawiodła zwłaszcza sztandarowa osada Polek. Startująca w niezmiennym składzie czwórka

Karolina Naja, Anna Puławska, Adrianna Kąkol i Dominika Putto najpierw w Krakowie została najlepsza w Europie, by dwa miesiące później na mistrzostwach świata w Duisburgu wywalczyć srebro i cieszyć się z kwalifikacji olimpijskiej na przyszłoroczne igrzyska w Paryżu. Z kolei w K2 500 m złoto ME zdobyły Naja i Puławska, a tytuł wicemistrzyni świata w tej konkurencji uzyskały 24-letnie Martyna Klatt i Helena Wiśniewska, które triumfowały też na MŚ w K2 200 m. Z Duisburga dwa medale w jedynkach przywozły też Justyna Iskrzycka (srebro na 1000 m) i Putto (brąz na 200 m). Wyjazd do Niemiec był również udany pod kątem igrzysk w Paryżu. Polki



Klaudia Zwolińska

fot: PZKaj

Z energią PGE na szerokie wody

Drugi rok współpracy Polskiego Związku Kajakowego z PGE Polską Grupą Energetyczną SA był kolejnym obfitującym w sukcesy naszego kajakarstwa. – Jesteśmy dumni, że mogliśmy towarzyszyć naszym kajakarzom i wspierać ich w tych ważnych wydarzeniach – mówi Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu spółki.

Zawarta w maju 2022 roku współpraca z jednym z największych przedsiębiorstw sektora elektroenergetycznego w Polsce sprawiła, że przed kajakarstwem w naszym kraju otworzyły się możliwości wypłynięcia na jeszcze szersze wody. W tym czasie biało-czerwoni sprinterzy czy slalomiści seryjnie sięgali po najważniejsze trofea, a już za kilka miesięcy mogą powiększyć polski dorobek medali olimpijskich. Pewnych startu w przyszłorocznych

igrzyskach w Paryżu jest pięć osad sprinterskich, a także minimum pięciu naszych zawodników w slalomie kajakowym i kayak crossie.

– Z Polskim Związkiem Kajakowym współpracujemy już drugi sezon. Przez ten czas nasi kajakarze zdobyli blisko 250 medali. Jesteśmy dumni, że mogliśmy im towarzyszyć i ich wspierać w tych ważnych wydarzeniach – nie ukrywa Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu

PGE Polskiej Grupy Energetycznej SA. – Zgodnie z naszą strategią biznesową rozwijamy odnawialne źródła, wykorzystując wiatr i wodę do produkcji zielonej energii, dlatego w ramach naszej strategii sponsoringowej wspieramy sporty, które tak jak my wykorzystują energię wiatru czy wody. Taką dyscypliną sportu jest właśnie kajakarstwo i dlatego podjęliśmy współpracę z Polskim Związkiem Kajakowym, który zrzesza najlepszych polskich

kajakarzy, od lat nieprzerwanie zdobywających medale na najważniejszych imprezach na świecie. Nasza współpraca obejmuje nie tylko wsparcie polskiej kadry narodowej, ale także edukację kajakową i upowszechnianie kajakarstwa wśród dzieci i młodzieży z całej Polski. Jesteśmy partnerem zaangażowanym, dlatego wybierając podmioty do współpracy, zależy nam, żebyśmy wspólnie z nimi mogli promować polski sport. Po-

magamy kształtować przyszłych polskich mistrzów, jak również – co jest dla mnie szczególnie istotne – promujemy polskie kajakarstwo jako sposób aktywnego spędzania czasu. Współpraca z Polskim Związkiem Kajakowym jest dla nas bardzo ważna, a liczne medale i tytuły tylko nas w tym utwierdzają. Cieszę się, że możemy wspólnie działać na rzecz polskiego sportu – dodaje prezes Dąbrowski.

Artur Kluskiewicz

w komplecie wywalczyły kwalifikacje olimpijskie, dzięki czemu mogą w spokoju przygotowywać się na najważniejszą imprezę przyszłego sezonu.

– Nie jesteśmy już na żadnym szczycie, tylko twardo stąpamy po ziemi. Na tym polega pokora, żeby za bardzo nie chęłpić się tym, co się zdobyło. To już historia i patrzymy przed siebie. Każda z dziewczyn zaczyna nowy sezon z czystą kartą, z przybitą piątką i sercem na dłoni – mówi **Tomasz Kryk**, trener reprezentacji kajakarek. Partnerem Polskiego Związku Kajakowego jest Suzuki Motor Poland.

Dwie kolejne przepustki na igrzyska dorzucili kanadyjkarze, a mianowicie mistrzyni Europy

Dorota Borowska (C1 200 m) oraz czwarty w tym roku na świecie i na Starym Kontynencie Wiktor Głazunow (C1 1000 m). Bardzo bliskie zapewnienia Polsce miejsca w konkurencjach olimpijskich były również osady C2 500 m (Aleksander Kitewski/Norman Zezula oraz Sylwia Szczerbińska/Katarzyna Szperkiewicz) czy męska czwórka kajakarzy, która mimo zajęcia dziewiątej pozycji w finale MŚ w Duisburg, nie przedostała się do Paryża. Przed kanadyjkowymi dwójkami czy kajakarzami w K1 1000 m i K2 500 m rysuje się jeszcze szansa walki o igrzyska w maju przyszłego roku podczas kontynentalnych kwalifikacji w węgierskim Szeged. Partnerem Polskiego Związku Kajakowego jest Lotto.

– Na pewno dziewiąte miejsca osad C2 500 m to duże rozczarowanie, bo te dwójki było stać na kwalifikacje i mamy nadzieję, że przyszły rok będzie należał do nich. Z kolei nasza czwórka kajakarzy drugi rok z rzędu była najmłodszą w finale MŚ i na własnej skórze odczuła, że to Europa rozdała karty w tej konkurencji. Chociaż byliśmy dziewiąci w stawce, to zasady kwalifikacji są bezwzględne i premijują osady z różnych kontynentów, w wyniku czego w Paryżu wystartuje dziesiąta i czternasta osada z Duisburga. Wielka szkoda, że dwójce K2 500 m wyrwał się podnózek w półfinale, przez co musimy poczekać na swoją szansę do maja i kwalifikacji olimpijskich w Szeged – mówi **Adam Seroczyński**, wiceprezes Polskiego Związku Kajakowego ds. sprintu kajakowego, a w przeszłości znakomity kajakarz i medalista olimpijski z Sydney.

Ze świetnej strony w tym sezonie pokazali się też polscy slalomści kajakowi z Klaudią Zwolińską na czele. 25-latką w ostatnich miesiącach była niekwestionowaną liderką naszej reprezentacji. Zawodniczka Startu Nowy Sącz najpierw podczas IE 2023 została podwójną wicemistrzynią Europy

w K-1 i C-1, a na wrześniowych MŚ w Londynie zdobyła brąz w K-1. Dzięki jej postawie Biało-Czerwoni są spokojni o start na igrzyskach olimpijskich w obu konkurencjach.

Na przepustkę w męskim C-1 zapracował dla Polski Grzegorz Hedwig, olimpijczyk z Rio de Janeiro i Tokio. Miłym akcentem tego sezonu były także występy polskiej drużyny K-1 wspieranej przez PGE Polską Grupę Energetyczną SA, która na IE 2023 w Krakowie i MŚ w Londynie zdobyła po medalu. Tercet Dariusz Popiela, Mateusz Polaczyk i Michał Pasiut zakończył ten sezon ze statusem wicemistrzów Starego Kontynentu oraz trzeciej ekipy globu. W ślady starszych kolegów chcą pójść slalomści. Na MMS w Krakowie czwarte miejsce w kayak crossie wywalczył Mikołaj Mastalski, a obiecująco w tej konkurencji podczas MŚ w Londynie i finału PŚ w Paryżu zaprezentował się Tadeusz Kuchno, meldując się dwukrotnie w czołowej szesnastce imprezy.

– Jak najbardziej był to dla mnie przełomowy sezon. Musiałam przejść pewien proces, aby wskoczyć na wyższy poziom i walczyć o najwyższe lokaty. Przez wiele lat dążyłam do tego celu i udało się go zrealizować. Teraz liczę się w czołówce, walczę o medale i nie zamierzam na tym poprzestać – deklaruje **Zwolińska**, pięciokrotna złota medalistka tegorocznych mistrzostw kraju w Krakowie.

To nie koniec, gdyż sukcesy odnosiliśmy też we freestyle'u kajakowym. Wicemistrzynią świata została Zofia Tuła. Nasza zawodniczka debiutowała w konkurencji kanadyjek. – *Wspaniale jest zdobyć srebrny medal po cudownych i wymagających przygotowaniach w tym roku. Od maja, więc przez prawie pół roku, podróżowałam, trenowałam i startowałam w USA i Kanadzie. Znalazłam wiele radości w pływaniu z mniejszą kontrolą i tylko jednym piórem. To były moje pierwsze zawody w C-1 i myślę, że to całkiem niezły początek* – uśmiecha się **Tuła**.

Artur Kluskiewicz

Grzegorz Kotowicz i Tomasz Kryk



foto: PZKaj

Dorota Borowska



foto: PZKaj



TO NASZ WSPÓLNY SUKCES
Dziękujemy, że jesteście z nami!



PARTNER STRATEGICZNY



AUDYTOR PLEBISCYTU



PARTNERZY



PRZEGLĄD SPORTOWY



PATRONAT HONOROWY



JAK GŁOSOWAĆ

Oprócz wypełnienia kuponu zamieszczonego w „Przebieg Sportowym” lub w gazecie „Fakt” istnieją także inne sposoby głosowania. Można to zrobić przez strony internetowe www.plebiscyt.przebiegsportowy.pl oraz www.polsatsport.pl (1 głos to 1 punkt dla sportowca), gdzie każdy użytkownik ma możliwość wskazania jednego kandydata raz na 12 godzin. Możliwe jest również wysłanie SMS pod numer 7371 (koszt 3,69 zł z VAT), w którym wpisuje się numer nominowanego. Wiadomość zaliczana jest jako jeden głos (1 punkt dla sportowca), ale z tego samego numeru telefonu zagłosować można maksymalnie 30 razy na każdą nominację.

Magda Linette udowodniła, że w turniejach wielkoszlemowych też można na nią liczyć. W Melbourne wygrała pięć kolejnych spotkań.

Premia za wytrwałość

Magda Linette awansowała do półfinału Australian Open i udowodniła, jak silna potrafi być w wielkich imprezach.



Bartosz GĘBICZ

@bartek76

Tenisistka z Poznania w końcu doczekała się wspaniałego występu w jednym z czterech najbardziej prestiżowych turniejów na świecie. Do tej pory we wszystkich potrafiła zagrać niezwykle solidnie, wygrywała w nich z największymi gwiazdami – by przypomnieć tylko zwycięstwa nad Ashleigh Barty (nie udało się to ani Idze Świątek, ani Agnieszce Radwańskiej – przyp. red.) oraz Ons Jabeur we French Open czy Jelinę Switoliną w Wimbledonie. Jednak te wyniki nie składały się potem w spektakularną całość. Teraz w Melbourne było zupełnie inaczej. Sukcesy w starciach z Egipcjanką Mayar Sherif, Estonką Anett Kontaveit, Rosjanką Jekatieriną Aleksandrową, Francuzką Caroline Garcia oraz Czeszką Karoliną Pliškovą dały jej miejsce w najlepszej czwórce szlenu. W półfinale Linette też zaimponowała, tocząc zacięty bój z późniejszą zwyciężczynią Aryną Sabalenką. To był bez wątpienia najlepszy start Magdy w karierze!

Nasze dobro narodowe

– All love, miłość dla wszystkich – napisała na szybcie kamery Polka, gdy zgodnie ze zwyczajem po ćwierćfinale pozdrowiała swoich kibiców. Do tego dodała

LICZBA

3

RYWALKI
z Top 20 Magda Linette pokonała w drodze do półfinału Australian Open: Anett Kontaveit (WTA 19), Jekatieriną Aleksandrową (WTA 18) i Caroline Garcia (WTA 4).

Cała Polska kibicowała w Melbourne poznając. To były jej wielkie dwa tygodnie!



Oddaj głos w Plebiscybie, skanując poniższy kod QR.



również wielkie serce, które było nie tylko symbolem szczęścia, ale w tym przypadku także wiary w to, jak dobrze, ambitnie i skutecznie pracowała. Na swój życiowy wynik czekała bowiem do momentu, gdy przekroczyła trzydzieści lat.

Historia doświadczonych zawodniczek z Wielkopolski wszystkim, którzy związani są z tenisem, daje wielowymiarową nadzieję. To dyscyplina, w której nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie przyjdzie ten wymarzony występ. W tym przypadku pojawił się on na drugim końcu świata, blisko piętnaście tysięcy kilometrów od domu i do tego w momencie, który wcale nie wydawał się oczywisty.

– Magda to polskie dobro narodowe – nie miał jednak wątpliwości jej angielski trener Mark Gellard, opisując niezwykłą etykę, sumienną i determinację podopiecznej. – Zrobi absolutnie wszystko, by się poprawić i by nie mieć sobie nic do zarzucenia, że coś przeoczyła. Bardzo cenię to jej podejście. Ukończyła studia w Stanach, działała w WTA Players' Council, robiła równoległe wiele rzeczy, których teoretycznie naprawdę nie musiała. Cały czas zależało jej na rozwoju. Tenisowym, ale nie tylko. Ona jest znakomitym sportowcem, lecz również dobrym człowiekiem. Bardzo się cieszę, że na siebie trafiliśmy i możemy współpracować – podkreślał szkoleniowiec. Wyniki naszej drugiej rakiety to również jego zasługa. W tym sezonie Linette po świetnym Australian Open poszła w górę w światowym rankingu.

W marcu znalazła się na 19. miejscu i choć rozgrywki skończyła pięć oczek niżej, na pewno może je uznać za udane. Potwierdziła to obecność w WTA Elite Trophy w Zhuhai, czyli tak zwanym małym Mastersie. A także sukcesy w konfrontacjach z takimi mistrzyniami jak np. Wiktoria Azarenka.

Początki były trudne

Warto przypomnieć, że droga naszej tenisistki na szczyt była pełna zakrętów. Początki miała trudne. Nie pochodzi z zamożnej rodziny i musiała oszczędzać. Na wielu zawodach spała z tatą w hotelach robotni-

czych czy schroniskach młodzieżowych. Wszędzie, gdzie się dało, żeby tylko było najtańiej. – Dwa, trzy turnieje i jeśli się nie uda, to koniec – opowiadał o tamtych dylematach Tomasz Linette. Na szczęście wszystko się potem ułożyło, charakter zaprowadził jego córkę do czołówki, a tego typu wyzwania zniknęły.

Potem Magda potrafiła „oddać” to, co kiedyś dostała od innych. Jej wrażliwa dusza ma w tym duży udział. W wolnych chwilach zamienia się w wolontariuszkę. Odpręża się, gdy na spacer wyprowadza psy ze schroniska...

Specjalnie dla nas komentuje

ALICJA ROSOLSKA

PÓŁFINALISTKA WIMBLEDONU W DEBLU



POMOGLA JEJ KADRA

Magda osiągnęła w Australii ogromny sukces. Pokonała tam pięć wysoko klasyfikowanych przeciwniczek i zaprezentowała tenis na najwyższym poziomie. Byłam pod wrażeniem, jak grała, jak przyspieszała, jak nie odpuszczała w kluczowych momentach, w jaki sposób miała wpływ na przebieg wydarzeń w trakcie meczów. I tu nie chodzi tylko o suche wyniki. Myślę, że w znaczącym stopniu w doświadczeniu do takiej dyspozycji pomogły jej wcześniejsze występy w Billie Jean King Cup w Glasgow. Fantastycznie spisywała się tam z bardzo mocnymi przeciwniczkami – Madison Keys i Karoliną Pliškovą. I to w naprawdę wymagających warunkach, w spotkaniach rozgrywanych o późnej porze. Nic nie było jej tam w stanie zaskoczyć. To zaprezentowała później w nowym sezonie, bo weszła w niego z bardzo wysokim poziomem pewności siebie. Udowodniła, jak pozytywny wpływ na rezultaty i osiągnięcia indywidualne może mieć reprezentacja. Jestem pewna, że w tourze nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. W przyszłości wiele razy będziemy się jeszcze cieszyć z jej ważnych zwycięstw w największych turniejach.

I znowu jest pierwszy!

To był dla Adriana Meronka jeszcze lepszy rok niż poprzedni, choć nie obyło się też bez gorzkiej pigułki.

**Jakub
WOJCZYŃSKI**

@Wojczyn

W zakończonym niedawno sezonie 2023 cyklu DP World Tour Meronk zajął czwarte miejsce, ale tak naprawdę był pierwszy. Z tego drugiego najważniejszego na świecie cyklu do najpotężniejszego i najbardziej prestiżowego amerykańskiego PGA Tour zakwalifikowało się na stałe dziesięciu zawodników, którzy nie mieli do tego prawa wcześniej. Przed Meronkiem na koniec sezonu uplasowali się tylko trzej golfiści grający w PGA Tour, a w DP World Tour występujący jedynie gościnnie. A zatem Polak był w swojej „lidze” najlepszy.

Wygrywa co kilka miesięcy

Zawdzięcza to m.in. największej wśród wszystkich zawodników liczbie wygranych, których odniósł trzy. Pierwszą na początku sezonu jeszcze pod koniec ubiegłego roku w Australian Open. Drugą w Italian Open w maju, a trzecią w Andalucia Masters w październiku. Jeśli dodamy do tego, że w lipcu 2022 roku Meronk był najlepszy w Irish Open w Irlandii, to można zauważyć prawidłowość, że co kilka miesięcy Polak wygrywa jakąś imprezę. Mało? Wcale nie, bo na każdym poziomie w turniejach golfowych o zwycięstwa nie jest łatwo, bo decydują detale.

LICZBA

23.

MIEJSCE
zajął Adrian Meronk w tegorocznym The Open Championship. To na razie jego najlepszy wynik w turnieju wielkoszlemowym.



Oddaj głos w Plebiscyście, skanując poniższy kod QR.



Wspomnianą gorzką pigułką był dla Meronka Ryder Cup, czyli prestiżowy mecz Europa – USA. Długo wydawało się, że jest na dobrej drodze, by znaleźć się w składzie reprezentacji Europy. Ostatecznie jednak zabrakło dla niego miejsca, co wywołało zdziwienie i krytyczne komentarze nie tylko w Polsce, ale i w międzynarodowym środowisku golfowym. Przynajmniej potwierdziło się, że jest ceniony.

Włochy szczególnie ważne

Meronk zaznacza, że każde dotychczasowe zwycięstwo było przyjemne, ale właśnie to w Italian Open uważa za szczególne i na pewno będzie je długo pamiętał. – W tamtym czasie wydawało się, że to ważny turniej w kontekście występu w Ryder Cup na tym samym polu w Rzymie. Z perspektywy czasu okazało się, że było to bez znaczenia. Ówczesnym zwycięstwem udowodniłem sobie, że jestem w stanie wygrywać, grając pod dużą presją. Dla każdego to był ważny występ, a ja okazałem się najlepszy – mówi nam.

W 2024 roku Meronk znajdzie się w zupełnie nowej sytuacji, bo w PGA Tour nie będzie zawodnikiem z pierwszego szeregu, ale w pewnym sensie początkującym. Oczywiście nie do końca, bo już grywał w nim gościnnie i szło mu nieźle. – W tym roku miałem parę dobrych turniejów w USA, więc się pokazałem. Myślę, że większość wie, kim jestem. Tegoroczne starty

pomogły mi się zaaklimatyzować i czuć pewnie. Dzięki temu będzie mi łatwiej w przyszłym roku. Na PGA Tour jest jednak masa dobrych zawodników i trzeba grać naprawdę dobrego golfa, by zarabiać punkty co tydzień – podkreśla. Meronk marzy o tym, by wygrać turniej PGA Tour w swoim pierwszym pełnym sezonie w tym cyklu, choć wiadomo, że będzie o to trudniej niż do tej pory w DP World Tour. Innym celem na ten rok są igrzyska olimpijskie w Paryżu. A krótkoterminowo Polak chciałby poprawić swoje osiągnięcie z ubiegłorocznego

Plebiscytu „Przeгляdu Sportowego”, gdy w głosowaniu fanów zajął siódme miejsce.

– Bardzo się cieszę z kolejnej nominacji. Widziałem całą listę i jest na niej wielu świetnych sportowców. Mam cichą nadzieję, że uda mi się być jeszcze wyżej. Pod względem sportowym ten rok był dla mnie lepszy niż poprzedni i liczę, że kibice to docenią. Żałuję, że niestety nie będę mógł pojawić się na Gali Mistrzów Sportu, bo będę wówczas tuż przed startem sezonu w Dubaju – wyjaśnia.

AUTOR JEST DZIENNIKARZEM „PRZEGLĄDU SPORTOWEGO” ONETU

Specjalnie dla nas
komentuje

ANDRZEJ PERSON

HONOROWY PREZES PZG



NASZ LODOŁAMACZ

Znakomity sezon Adriana jest efektem ogromnych postępów we wszystkich elementach gry. Jego najsilniejszą stroną są wspaniałe, regularne długie drajwy, coraz lepsze „żelaza” i w efekcie siódme miejsce w kategorii „green w regulacji”. Imponuje ekspertom i rywalom wybić piłki z głębokiej trawy (tzw. rough). Trzynastą lat współpracuje z trenerem Mattew Tipperem – Walijczykiem, który prowadzi Akademię Golfową we Wrocławiu. Mają do siebie zaufanie. Podobnie jak do cadięgo – Szkota Stuarta Becka. Drużynę Meronka uzupełniają fizjoterapeuta i psycholog. Mnie najbardziej zaimponowała odporność psychiczna naszego golfisty. Kiedy nie dostał powołania do reprezentacji Europy na mecz z Ameryką, mężnie zniósł ten cios i wkrótce wygrał kolejny turniej w Hiszpanii. Od stycznia w najsilniejszej lidze golfowej świata PGA będzie rywalizował o miejsce, stawę i wielkie pieniądze. Z bazy w Dubaju przeniesie się na Florydę, w Europie będzie startował rzadziej, za to my będziemy śledzić losy pierwszego polskiego „lodołamacza” golfowego z jeszcze większym zainteresowaniem i dumą.



Adrian Meronk zajmuje obecnie 48. miejsce w światowym rankingu golfistów.

PARTNER STRATEGICZNY



AUDYTOR PLEBISCYTU



PARTNERZY



PATRONAT HONOROWY



Wygrana Kinga z Kingiem

Mistrz kraju blisko wyjścia z grupy w LM. Starcie „sportowych marek” w stolicy i marka Polski Cukier rozszerzająca sponsoring.



Rafał TYMIŃSKI
@TyminVIP

King Szczecin wygrał po raz drugi w koszykarskiej Lidze Mistrzów i jest na najlepszej drodze do tego, aby w tych rozgrywkach uzyskać awans do kolejnej rundy. W przypadku mistrza Polski byłaby to faza play-in, w której zespoły z miejsc 2. i 3. w swoich grupach powalczą o awans do najlepszej szesnastki rozgrywek. Pewne udziału w niej są tylko zwycięzcy grup pierwszej rundy. Na to, aby stać się jednym z nich, King nie ma już szans, jednak jego postawa w Basketball Champions League stanowi przyjemną odmianę od tego, co polskie ekipy prezentowały w trzech ostatnich sezonach. King w spotkaniu, które może okazać się kluczowe dla jego występów w LM, wygrał u siebie z MHP Riesen Ludwigsburg 80:60. – To był mecz o drugie miejsce w grupie – podsumo-

wał trener niemieckiej ekipy, która nazywa się... King, Joshua King. Przed ekipą ze Szczecina jeszcze jeden mecz grupowy. We Włoszech mistrzowie Polski zmierzą się z Dinamo Sassari. I nawet porażka nie przekreśla szans na awans. – Chcemy wygrać kolejne spotkanie. Wierzę, że to zrobimy – stwierdził najlepszy w meczu rozgrywający szczecinian Andrzej Mazurczak.

W sobotę w lidze King zagra u siebie ze Stalą Ostrów Wlkp., która ma za sobą wygraną w ostatniej kolejce nad Śląskiem Wrocław 108:51, a przed sobą... cztery mecze wyjazdowe z rzędu. Terminarz, w którym jedna ekipa rozgrywa na przykład serię trzech spotkań u siebie, a następnie przez miesiąc nawet raz nie występuje we własnej hali, to cecha charakterystyczna tego sezonu.

Na tym tle układ meczów mistrzów Polski wygląda na całkiem regularny. W ich przypadku są to najwyżej dwa występy (jeden po drugim) u siebie lub na wyjeździe. Po meczu ze Stalą, a jeszcze przed wyjazdem do Włoch szczecinianie zjawia-



foto © Krzysztof Cichonka/veeps.pl

Bardzo dobra gra w ataku sprawiła, że mistrz Polski nie musiał „szarpać się” o wygraną z MHP Riesen. King z niemieckim rywalem ma dodatni (+16) bilans meczów bezpośrednich.

się jeszcze w Warszawie, gdzie czekać ich będzie stracie z Legią. Stołeczna ekipa w niedzielę podejmuje z kolei Śląsk Wrocław. Dla niej będzie to drugi z serii trzech występów z rzędu u siebie, dla rywali – druga z serii gier wyjazdowych. Mecze Legii i Śląska to starcia dwóch największych „marek sportowych” w Orlen Basket Lidze. Nie da się ukryć, że duża w tym zasługa drużyn piłkarskich, jednak i na koszykówce należy spodziewać się bardzo go-

rającej atmosfery na trybunach. W tygodniu i Legia, i Śląsk poniosły porażki w rozgrywkach pucharowych – wrocławianie przegrali u siebie 63:72 z francuskim JL Bourg-en-Bresse, gdzie występuje Bryce Brown – były gracz Kinga i MVP finałów naszej ekstraklasy, w których zespół ze Szczecina pokonał Śląsk. Bardziej wyrazisty od jego występu był sam fakt, że pozbawiony czterech bardzo ważnych graczy gospodarze powalczyli z wyżej notowa-

nym rywalem. Legia natomiast na rozpoczęcie rozgrywek 2. rundy Pucharu Europy FIBA przegrała w Stambule 90:100 z Bahcesehir. W Warszawie więcej szans na wygraną należy przyznać gospodarzom, ale mecz w Turcji mocno pokazał, że ich gra defensywna pozostawia bardzo wiele do życzenia. I aby gra Legii fajnie się układała, to jej kluczowi gracze muszą mieć przede wszystkim... dobry dzień w ataku.

Na marginesie wypada odnotować kolejną w tym sezonie zmianę nazwy w koszykarskiej ekstraklasie – Arriva Twarde Pierniki Toruń po powrocie dawnego sponsora stały się Arrivą Polskim Cukrem. Już na początku stycznia zobaczymy zatem najśladzsze derby świata: Polski Cukier Toruń zmierzy się z Polskim Cukrem Startem Lublin. Ale w naszej koszykówce nie powinno to stanowić zaskoczenia. W żeńskiej ekstraklasie już od początku sezonu grają Polski Cukier AZS UMCS Lublin oraz Energa Polski Cukier Toruń. Cukrowa marka należy do Krajowej Grupy Spożywczej, która jest także sponsorem Arki Gdynia.

89 PLEBISCYT PRZEGLĄD SPORTOWY

Wybierz Najlepszego Sportowca Polski 2023 roku

PARTNER TELEWIZYJNY GALI



Przyporządkuj 10 miejsc dla 10 Nominowanych Sportowców, wytnij kupon i wyślij go w kopercie drogą pocztową w przesyłce zwykłej, polecanej lub pocztą kurierską na adres:

Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o., ul. Domaniewska 49, 02-672 Warszawa z dopiskiem na kopercie 89. Plebiscyt.

W Plebiscycie wezmą udział wszystkie kupony wypełnione zgodnie z Regulaminem, które dotrą na wskazany adres **do dnia 29.12.2023 r.** Regulamin dostępny na www.przehladsportowy.onet.pl.



Nominowani

Miejsce

Nominowani

Miejsce

| | |
|--|--|
| 1. Michał Bryl, Bartosz Łosiak (siatkówka plażowa) | |
| 2. Krzysztof Chmielewski (pływanie) | |
| 3. Krystian Dziubiński (hokej na lodzie) | |
| 4. Hubert Hurkacz (tenis) | |
| 5. Natalia Kaczmarek (lekkoatletyka) | |
| 6. Martyna Klatt i Helena Wiśniewska (kajakarstwo) | |
| 7. Renata Knapik-Miazga, Martyna Swatowska-Wenglarczyk, Magdalena Pawłowska i Ewa Trzebińska (szermierka) | |
| 8. Dawid Kubacki (skoki narciarskie) | |
| 9. Oskar Kwiatkowski (snowboard) | |

| | |
|---|--|
| 10. Robert Lewandowski (piłka nożna) | |
| 11. Magda Linette (tenis) | |
| 12. Adrian Meronk (golf) | |
| 13. Wojciech Nowicki (lekkoatletyka) | |
| 14. Mateusz Ponitka (koszykówka) | |
| 15. Magdalena Stysiak (siatkówka) | |
| 16. Ewa Swoboda (lekkoatletyka) | |
| 17. Aleksander Śliwka (siatkówka) | |
| 18. Iga Świątek (tenis) | |
| 19. Bartosz Zmarlik (żużel) | |
| 20. Piotr Żyła (skoki narciarskie) | |

Liczba punktów odpowiadająca przypisanemu miejscu:

1. miejsce – 10 pkt; 2. miejsce – 9 pkt; 3. miejsce – 8 pkt; 4. miejsce – 7 pkt; 5. miejsce – 6 pkt; 6. miejsce – 5 pkt; 7. miejsce – 4 pkt; 8. miejsce – 3 pkt; 9. miejsce – 2 pkt; 10. miejsce – 1 pkt.

Akceptuję Regulamin

podpis*

*pole obowiązkowe

PARTNER STRATEGICZNY

AUDYTOR PLEBISCYTU

PARTNERZY

PATRONAT HONOROWY



Master, czas na happy end!

Spał w sali treningowej, oskubano go z wypłaty za występ przed Kliczką i Adamkiem. Na twarzy założono mu bez znieczulenia 18 szwów. Dopiero teraz, 36-letni Mateusz Masternak stoczy walkę o pełnoprawne mistrzostwo świata. Czy w niedzielę spełni marzenia?

Przemysław OSIĄK

@PrzemyslawOsiaK

Urodziłem się w wielodzietnej rodzinie na wsi. Mogłem tylko pomarzyć, że będę walczył o mistrzostwo świata. Moja droga pokazuje, że jeśli ktoś wierzy i chce, to można. Nieważne, z jakiego pułapu startujesz – przekonuje Mateusz Masternak przed pojedynkiem o tytuł federacji WBO, który stoczy w niedzielę w angielskim Bournemouth z obrońcą trofeum, Anglikiem Chrisem Billamem-Smithem. W ciągu 17 lat zawodowej kariery „Master” sięgnął po pas mistrza Europy, walczył w 9 krajach świata, wygrywając 47 z 52 pojedynków. Czas, aby zwyciężył w tym najważniejszym.

Nocował na korytarzu

Pochodzi ze Starej Łagowicy w województwie świętokrzyskim, był jednym z jedenaściorga dzieci w rodzinie rolników. Wspomina, że gdy rówieśnicy cieszyli się z prezentów na mikołajki, święta Bożego Narodzenia czy urodziny, on nie dostawał nic. Nie chciał całe życie pracować na wsi. Jako nastolatek, po pół roku treningów bokserskich w KSZO Ostrowiec Świętokrzyski, odważył się powalczyć o marzenia. Spakował plecak i wyjechał do wujka pod Wrocław. Niedługo potem jego domem stała się sala treningowa Gwardii.

– Kiedyś poszliśmy na górę. Okazało się, że Mateusz wcale nie ma pokójku. Mieszkał w korytarzu pomiędzy lokum dwóch innych zawodników. Miał tam wstawione łóżko – opowiada Daria Masternak w świetnym reportażu Huberta Kęski. A Mateusz w tym samym tekście wspominał, że największą atrakcją była dla niego wyprawa do supermarketu. Bywało, że dziewczyna pochodząca z Ukrainy dokarmiła niedożywionego pięściarza. I to od niej dostał bodaj pierwszy większy prezent w życiu – telefon komórkowy na 18. urodziny. Poznali się właśnie w sali Gwardii Wrocław. Daria też trenowała boks, została mistrzynią Polski juniorek tak jak Mateusz (w 2005 roku). Od lat są małżeństwem i zgranym duetem. Na Dolnym Śląsku wybudowali dom, przy którym mieści się też bokserska salka treningowa „Mastera”. Wychowują troje dzieci.

Ta noga się nie zgina!

Mateusz od lat nie wypada ze światowej czołówki wagi junior ciężkiej (90,7 kg). Można pokusić się o stwierdzenie, że na międzynarodowym poziomie jest najrówniej boksującym polskim pięściarzem ostatniej dekady albo i 15-lecia. Mistrzem Europy był już dawno (2012–13). W paru



Mistrz świata WBO wagi cruiser Chris Billam-Smith i Mateusz Masternak podczas konferencji prasowej.

najważniejszych potyczkach zabrakło mu szczęścia, przychylności sędziów albo postawienia kropki nad i. A karierę zawodowca – choć początkowo było to zawodowstwo tylko z nazwy – rozpoczął, mając niespełna 19 lat – w 2006 roku. Już trzy lata później na wielkiej gali w Łodzi z walką wieczoru Andrzej Gołota – Tomasz Adamek znokautował Łukasza Janika, po czym zaczął się głośno domagać potyczki z panującym wówczas mistrzem świata WBC Krzysztofem Włodarczykiem. Wielu byłoby gotowych założyć się, że Masternak „obskoczy” nieraz anemicznego, choć obdarzonego piekielnym ciosem „Diabła”. Promotor czempiona Andrzej Wasilewski nie chciał o tym słyszeć. I w sumie miał rację, bo w boksie musi zgadzać się biznes i nie było powodu, by dobrowolnie dawał szansę zawodnikowi, którym opiekowali się konkurenci z krajowego podwórka – z trenerem Andrzejem Gmitrukiem na czele. „Master” musiał więc pójść inną drogą, choć finalnie, po kilkunastu latach, to Wasilewski doprowadził go do upragnionego, pierwszego w karierze pojedynku o pełnoprawne mistrzostwo świata z Billamem-Smithem.

Na początku drugiej dekady XXI wieku wrocławianin najczęściej boksował na galach O’Chikara Gmitruk Team, transmitowanych w Canal+. Tak bardzo pragnął wykorzystać życiową szansę, że gotów był stanąć do boju nawet wtedy, gdy się do tego nie nadawał. – Ali Ismailow dwa lata wcześniej rywalizował o pas WBO z Victorem Emilio Ramirezem i był to pojedynek na granicy remisu. Czekal mnie ważny sprawdzian. Studiowałem na wrocławskiej AWF, byliśmy po gimnastyce. Kolano przesunęło się o pięć centymetrów! Nie czułem bólu, ale kość wychodziła i z powrotem wchodziła. Kolega najpierw zrobił się zielony, a potem zemdlął – opowiadał nam „Master”. Był początek marca 2011 roku, gala w Olsztynie. – Dostałem za-

LICZBY

6.

MISTRZEM świata zawodowców z Polski może zostać Masternak. Czempionami byli Dariusz Michalczewski, Tomasz Adamek, Krzysztof Włodarczyk i Krzysztof Glowacki, a od kwietnia jest nim Łukasz Różański (mistrz WBC wagi brydger; 101,6 kg).

18

WALK zawodowych wygrał Billam-Smith (12 przed czasem), przegrał jedną. Bilans Masternaka to 47-5 (31 KO). Niedzielną walkę w Bournemouth ma się zacząć ok. 22.00 polskiego czasu. Transmisja gali od 19.00 w TVP Sport.

strzyki. W przerwie trener Gmitruk mówi: „Mateusz, zegnij nogę, bo nie mogą tutaj stać”. Ja na to: „Panie trenerze, ona się nie zgina!” – śmiał się po latach Mateusz. Tamtą walkę wygrał przez TKO w 5. rundzie.

Wymioty w karetkce

Kontrakt z liczącą się w Europie niemiecką grupą rodziny Sauerlandów zapewniło mu efektowne zwycięstwo przez nokaut na wielkiej gali we Wrocławiu, gdzie Witalij Kliczko obronił pas WBC wagi ciężkiej w potyczce z Tomaszem Adamkiem. We wrześniu 2011 roku „Master” miał zarobić ok. 20 tysięcy dolarów. – Davis powiedział, że z zawodnikiem mającym bilans 23-0 nie będzie boksował za mniej niż 40! Przychodzi Kathy Duva, promotorka Tomka Adamka, i pyta: „Mateusz, walczysz czy nie?”. Ze swej gaży oddałem rywalowi 18,5 tysiąca. Pamiętam, że Michał Kwiatkowski z O’Chikara Gmitruk Team z własnej kieszeni zapłacił mi 12 tysięcy złotych – wspomina Mateusz.

W Norymberdze 15 grudnia 2012 roku został mistrzem Europy, ale sukces był połowiczny, bo 12-rundowe starcie z Juho Haapoja nie było zbyt efektowne, toteż kierownictwo niemieckiej stacji ARD nie przekonało się do Polaka. W konsekwencji „Master” znów trafił na wielką galę (Władimir Kliczko – Aleksander Powietkin, październik 2013), ale w Moskwie w potyczce



Daria i Mateusz poznali się w sali bokserskiej. Mieszkają we Wrocławiu, mają troje dzieci.

z Grigorijem Drozdem był już tzw. stroną B. Utrudniano mu życie na wszelkie sposoby, próbowano zmusić, by rozgrzewał się w zimnej szatni zagraconej kartonami. Było też sporo wątpliwości co do uczciwego podejścia ze strony zawodnika gospodarzy. Wtedy jedyny raz Mateusz nie dotrwał do końca walki (TKO w 11. rundzie), choć nie został znokautowany. – Pękł mi łuk brwiowy, więc wsadzili mnie do karetki i kazali się położyć. Zwymiotowałem, prawie napelniając kosz na śmieci, bo przed odaniem moczu na kontrolę antydopingową wypłem jakieś 12 litrów wody. Lekarz obudził w środku nocy, na wpół żywy. Czuć było od niego alkohol, ale widocznie dobrze radził sobie w takim stanie, skoro łuk zszyl mi perfekcyjnie. Trzeba było założyć bodaj 6 szwów wewnętrznych i 12 zewnętrznych. Boże, do tej pory skóra mi się jeży, gdy przypomnę sobie ból, jaki wywołuje ciągnięcie nitki przez skórę bez znieczulenia – opowiadał Masternak.

Wskutek nieporozumień z Gmitrukiem ich drogi się rozeszły – choć tylko na trzy lata. Kalle Sauerland załatwił Polakowi walkę o tymczasowe mistrzostwo świata WBA z Yourim Kalengą. W czerwcu 2014 roku w Monako „Master” przegrał na punkty. Potem płuł sobie w brodę i powtarzał, że powinien być walczyć „jak o życie swoich dzieci”. Bo kiedy on po prostu odpoczywał w szatni, triumfującego przeciwnika, skrajnie wyczerpanego, trzeba było kłaść na noszach. Pół roku później pod Paryżem odniósł natomiast jedno ze swych najcenniejszych zwycięstw: znów walcząc na wyjeździe, nie ugiął się pod naporem ciosów legendy wagi cruiser Jeana-Marka Mormecka i wygrał na punkty. W 2015 roku sędziowie perfidnie oszukali Masternaka w RPA w potyczce z Johnnym Mulletem, a następnie w Londynie minimalnie przegrał właściwie remisową walkę z Tonym Bellewem, w której mógł odzyskać mistrzostwo Europy. Anglik, póź-

niejszy mistrz świata (czyli tak jak Drozd), po zejściu z ringu nie mógł się nachwalić Mateusza, ale cóż z tego, skoro znów nie było wielkiego triumfu.

Przytulił go jak syna

Na gali Mateusza Borka w kwietniu 2018 roku w Częstochowie „Master” rozprawił się w rewanżu z Kalengą, a znajomość z Sauerlandami zaowocowała angażem do drugiej edycji prestiżowego turnieju wagi cruiser – World Boxing Super Series. W Orlando powtórzył się przewidywalny już nieco scenariusz. Zmagając się z urazem oka, Mateusz walczył bardzo dzielnie, wygrał parę rund, ale to było za mało, aby Yuniel Dorticos (jako tzw. strona A) zszedł z ringu pokonany. Na Florydę wrocławianin znów leciał bez trenera Gmitruka, który w tamtym okresie zdecydował, że więcej uwagi poświęci Maciejowi Sulęckiemu. Niedługo wcześniej spotkali się w studiu TVP Sport. – To było dla mnie dziwne, trener pierwszy raz przytulił mnie tak mocno jak syna. Okazało się, że było to nasze ostatnie spotkanie – wspomina Mateusz. Nieodżałowany szkoleniowiec zmarł nagle pod koniec 2018 roku wskutek nie szczęśliwego wypadku w domu. „Master” wymyślił, że skorzysta ze zmiany polityki AIBA i spróbuje spełnić inne marzenie – o zdobyciu medalu igrzysk. Stoczył parę walk w boksie olimpijskim, został nawet... mistrzem Polski, ale ostatecznie wycofał się z turnieju kwalifikacyjnego w Londynie, gdy przetrwano go z powodu pandemii. Igrzyska w Tokio przesunięto o rok, Mateusz nie chciał czekać. Nawiązał współpracę z promotorem Wasilewskim, z którym przez lata było mu nie po drodze, wygrał kilka potyczek. Rok temu w Zakopanem – co wymusił rynek – zarobił mniej niż dotkliwie pobity przez niego Jason Whateley. Masternak jeszcze raz się poświęcił, by zapewnić sobie upragniony bój o mistrzostwo świata. Oby w niedzielę powiedział, że było warto.



33-letni Billam-Smith zdobył pas WBO pół roku temu, wygrywając na punkty z Lawrence'em Okolielem. Rywal był liczony trzy razy.